



PRAWA DO EKRYNIZACJI  
SPRZEDANE!

# JACEK OSTROWSKI

# KUBA

Gorąca wyspa,  
gorący romans  
Zuzy Lewandowskiej



SKARPA  
WAR  
SZAW  
SKA

**JACEK  
OSTROWSKI**

**KUBA**

SKARPA  
WAR  
SZAW  
SKA

# Spis treści

Karta redakcyjna

Motto

Wstęp

KUBA

POLSKA

KUBA

POLSKA

KUBA

POLSKA

KUBA

POLSKA

KUBA

POLSKA

KUBA

POLSKA

POLSKA

Redakcja  
*Monika Orłowska*

Korekta  
*AJanusz Sigismund*

Projekt graficzny okładki, skład i łamanie  
*Agnieszka Kielak*

Zdjęcia na okładce  
© *LuisMolinero/AdobeStock, Knipsersiggi/AdobeStock, Javier/AdobeStock*

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2023

© Copyright by Jacek Ostrowski, Warszawa 2023

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze  
ISBN 978-83-83293-16-5



**Wydawca**

Agencja Wydawniczo-Reklamowa  
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.  
ul. Borowskiego 2 lok. 24  
03-475 Warszawa  
tel. 22 416 15 81

[redakcja@skarpawarszawska.pl](mailto:redakcja@skarpawarszawska.pl)

[www.skarpawarszawska.pl](http://www.skarpawarszawska.pl)



Konwersja: [eLitera.s.c.](http://eLitera.s.c)

*To, co się wydarzyło na Kubie,  
pozostaje na Kubie.*

Wszystkie postacie wymienione  
w tej książce są wymyślone przez autora,  
a ich ewentualne podobieństwo do kogokolwiek  
jest zupełnie przypadkowe i niezamierzone.

Zima zbliżała się wielkimi krokami. Tego dnia już od rana pogoda była paskudna, lało jak z cebra, wiał przeszywający lodowaty wiatr. Ulicami Płocka przemykali zziębnięci przechodnie poukrywani pod czaszami parasolów. Zużę takie drobne utrudnienia nigdy nie zrażały. Była twarda jak mało kto, jak mawiano, prawdziwa kobieta z jajami. W kaloszach i pelerynie przeciwdeszczowej, brnąc po kostki w wodzie, zmierzała w stronę kancelarii.

– Pani mecenas! Pani mecenas, proszę poczekać! – Usłyszała zza pleców znajomy głos. Kilka kroków za nią biegła jakaś kobieta w długim ciemnym płaszczu z kapturem. To listonoszka. Od razu ją poznała.

– Mam list polecony! Urzędowy!

Zuza wcale się nie zdziwiła. Znow pewnie coś z magistratu, pomyślała, bo ostatnio wciąż była nękana pismami dotyczącymi kamienicy, a wszystko przez spadający tynk. Kiedy chodziło o remonty, wtedy sobie przypominano, że to jej własność, ale kiedy trzeba było jej dokwaterować sublokatorów, w mig o tym zapomniano. Tak właśnie działała ta przeklęta komuna.

– Tu na deszczu nie da rady, zejdźmy z ulicy. – Zuza szarpnęła listonoszkę za mankiet.

Schowały się w bramie najbliższej kamienicy. Listonoszka sięgnęła do torby i chwilę w niej szukała.

– Gdzieś to powinno być – mamrotała pod nosem, przerzucając korespondencję.

– O, jest – oznajmiła z nutką triumfu w głosie. – Tym razem to list z milicji. Wydział paszportowy.

Faktycznie, Zuza zupełnie o tym zapomniała, a przecież znow złożyła wniosek o paszport. Tak kazał jej uczynić Eduardo, a że nie chciała mu zrobić przykrości, to choć niechętnie, spełniła jego życzenie.

– No tak. Pewnie znow odmowa. Daj, kochanieńka, podpiszę i lecę dalej, bo późno, a jeszcze zanim dojdę do kancelarii, muszę skrócić do baru na śniadanie, bo mi kiszki marsza grają.

Listonoszka rzuciła jej pełne troski spojrzenie, bo sporo złego ostatnio słyszała o tym lokalu.

– Pani wciąż tam chodzi? To się pani dziwię. Tam ponoć wieczorami szczury harcują. Widać je z ulicy przez okna.

Zuza poczuła nagle silny ucisk w żołądku. Czemu ona jej to mówi? Chyba każdy w Płocku słyszał o jej przygodzie na barce. Niestety nie ukryło się przed gawiedzią, czym się razem z Piosikiem wtedy karmili. To wszystko jego wina. Sukinsyn ma za długi język, wygadał się komuś przy wódce i od razu poszło to dalej. Tak działa ta cholerna poczta pantoflowa.

– Wiem, byłam w tej sprawie w sanepidzie. Mieli lokal odszczurzyć – odparła sucho.

Zamaszystym podpisem potwierdziła odbiór listu, od nowa zarzuciła kaptur na głowę i ruszyła dalej przed siebie.

Pisma nie przeczytała, nie było warto, bo i tak znała jego treść na pamięć. Od lat zawsze było to samo. Nie znosisz, babo, Polski Ludowej, to za karę w niej siedz, kiś się w niej razem z całym narodem. Często się nad tym zastanawiała. Nie wiedziała, czemu to miało służyć. Czy myśleli, że w końcu zmieni zdanie na temat komunizmu? Jeśli tak, to się wredne sukinsyny nie doczekają. Niestety, tu w sprawie paszportu nawet rodzina Eduarda jest na nich za cienka. Tu by trzeba chyba interwencji samego Fidela Castro, to może wtedy, kto wie?

W barze mlecznym, jak zwykle o tej porze, było sporo klientów. Zuza jako stała bywalczyni i osoba wzbudzająca ogólny szacunek została obsłużona poza kolejką. Kakao, kajzerka i marmolada, dziś takie menu sobie wybrała. Niestety, kiosk wcześniej mijany po drodze dziś był zamknięty i nie udało jej się kupić „Trybuny”, więc z braku innej literatury sięgnęła po list. Przeczytała jeden raz, następnie drugi i znow zaczęła. Chyba się pomylili, bo jak wół było tam napisane, że ma się zgłosić po odbiór paszportu. To przecież niemożliwe, to na pewno jakieś nieporozumienie. Siedziała tak przy stoliku wpatrzona w pismo niczym sroka w gnat, zapomniawszy zupełnie o śniadaniu.

– Przepraszam, czy tu wolne?

Uniosła nieprzytomne spojrzenie, przy stoliku stał radca prawny Karol Miller z kubkiem w jednej dłoni i talerzykiem z dymiącą jajecznicą w drugiej. Lubiła go i jednocześnie współczuła nazwiska, bo mu wciąż dokuczano, że jego ojciec, a już na pewno dziadek, był Niemcem i jak nic służył w Wehrmachcie. Dobrze chociaż, że nie był rudy.

– Przepraszam, czy tu wolne? – powtórzył z uśmiechem.

– Wolne, wolne, panie Karolu. Przepraszam, ale dostałam ważną wiadomość i to mnie rozkojarzyło. Pierwszy raz pana tu widzę, co za zmiana? Zrezygnował pan z domowych śniadań na rzecz tego czegoś, co tu serwują? To chyba był spory błąd.

– Droga pani, tak żyje słomiany wdowiec. Żona wyjechała do swoich rodziców i teraz przez kilka dni muszę sam gospodarzyć. Co u pani słyhać? Wiem, że niedawno sporo pani przeszła, współczuję. To musiało być straszne.

– Nie ma czego. – Zaśmiała się. – Lewandowscy to twardzi ludzie. Właśnie dostałam pismo urzędowe z wydziału paszportowego i niech pan sobie wyobrazi, że każą mi się zgłosić po paszport. Kilkanaście lat składałam i zawsze porażka. Aż nie wierzę w treść tego pisma.

– No to gratuluje, ja wciąż dostaję odmowy, bo mój brat nawiał do Republiki Federalnej Niemiec. Głupcy, myślą, że i ja tak uczynię, ale co ja bym tam robił? Tu jestem radcą, a tam bym jedynie w najlepszym wypadku podawał cegły na budowie. Na pewno za większe pieniądze, ale forsa to nie wszystko. Liczą się jeszcze inne rzeczy.

– Cholerni komuniści. Kiedyś im skopiemy dupy. To wszystko kwestia czasu.

Spojrzała na talerz przed sobą, cholera, zupełnie zapomniała.

– Stygnie – mruknęła pod nosem sama do siebie i zaczęła smarować bułkę margaryną.

Zuza wpadła do kancelarii niczym bomba, cała rozentuzjasmowana.

– Mam go! – krzyknęła do aplikantki i weszła do swojego pokoju.

Jolka natychmiast poderwała się z krzesła i pobiegła za nią.

– Co się stało? Kogo pani ma? – spytała ze strachem w oczach, bo nieczęsto widziała szefową w takim stanie.

– Zamknij drzwi i siadaj! – rozkazała Zuza, wyciągając z biurka butelkę stocka. – Trzeba to opić, i to jak najszybciej.

– Ale co opić, szefowo, bo do tej pory nie wiem?

– Kurwa mać, ile razy mam ci powtarzać, żebyś tak na mnie nie mówiła?

Jolka zrobiła przeproszącą minę.

– Przepraszam, pani mecenas, zapomniałam się. Już się to nie powtórzy.

– Dobra, nieważne. – Zuza rozlała brandy. – Wypijmy za mój wyjazd. Dostałam paszport!

– Co proszę? – Oczy aplikantki zrobiły się wielkie niczym spodki filiżanek.

– No co? Ogłuchłaś? Dostałam wezwanie do odbioru paszportu. Jadę na wesele Eduarda, lecę na Kubę! Aż sama nie wierzę w to, co mówię. Jeszcze wczoraj brzmiałoby to jak jakaś czysta abstrakcja, a dziś to prawda.

Wypiły. Zuza z szuflady biurka wyjęła cygaro.

– Teraz nie muszę ich oszczędzać. Przywiozę sobie cały zapas, i to najlepszych.

– Pani Zuzo, ale Eduardo mówił, że u nich ciężko o dobre cygara, bo wszystko idzie na eksport.

Zuza machnęła ręką, jakby przeganiała natrętną muchę.

– Tak jak u nas o mięso i wędliny, a wszyscy je jedzą. Znasz mnie, dla mnie nie ma rzeczy niemożliwych. Skoro mówię, że je przywiozę, to przywiozę. Należę jeszcze na drugą nóżkę.

Trzasnęły drzwi wejściowe, zjawił się Kowalski.

– Co oblewacie? Może i ja się dołączę?

– Mój wyjazd, dostałam paszport – poinformowała go Zuza z triumfującą miną.

Aż usiadł z wrażeń, ale nawet słowa nie powiedział, zero komentarza, pewnie przez jego chorobliwą zazdrość.

– Nalać ci? To co? Opijasz to z nami?

– Nalej – rzekł z ponurą miną. – Ale wiesz, że to jest długi lot? Wytrzymasz? Jantar, ta piosenkarka, leciała takim samym samolotem i wiesz, jak to się skończyło. Ja bym się dobrze zastanowił, zanimbym wsiadł do tego ruskiego szajsu, ła sześciziesiąt dwa. Pomyślałaś o swoich zwierzakach? Kto się wtedy nimi zajmie?

Zuza słuchała tego z otwartymi ustami, aż w końcu wybuchła niepohamowanym śmiechem.

– Ty mi naprawdę zazdrościsz? Poważnie?

– Ja? – Zrobił głupkowatą minę. – Ależ skądże, ja tylko jako dobry przyjaciel mówię o czyhających na ciebie zagrożeniach i nic więcej. Ja nigdy nikomu niczego nie zazdroścę.

– Wiem o nich i właśnie to mnie rajcuje najbardziej. Kocham wyzwania. Oczyma wyobraźni widzę rozradowaną minę Mariańskiego, kiedy kijem grzebie we wraku, szukając moich szczątków, ale jego niedoczekanie. Musicie popytać znajomych, co opłaca się tam zawieźć? No wiecie, handel wymienny, ja im kalesony, oni mi cygara.

– Kalesony na Kubie? Chyba za bardzo odleciałaś? – wydukał Kowalski.

– Oj, ty zawsze wszystko bierzesz na poważnie, to taki może niezbyt fortunny przykład. Może potrzebują kremu Nivea, a może jakichś lekarstw, popytajcie.

– No nie wiem, czy znam kogoś, kto tam był. Nie każdego stać na takie wycieczki – rzekła Jolka. – Ale popytam w Orbisie. Może te kobitki będą coś wiedzieć? Matka koleżanki tam pracuje.

– A co zrobisz ze swoim zwierzyńcem? Chyba ich tak nie zostawisz? – Kowalski za wszelką cenę starał się choć trochę studzić jej entuzjazm.

Spojrzała na niego zdziwiona. Co za durne pytanie?



– Jak to co? Zgagą ty się zajmiesz, Borysa powierzę Jolce, a Wrzoda dam na przechowanie proboszczowi. Wiem, że lubi koty.

– C-co proszę? – wyjąkała aplikantka, kompletnie zaskoczona tym podziałem ról.

Zuza wbiła w nią piorunujące spojrzenie.

– Chyba mi nie odmówisz? Co to za robota? Wystarczy wyprowadzić go trzy razy dziennie. Mogę pogadać z Geńką, to cię trochę w tym odciąży.

– No a jedzenie? Przecież musi coś jeść.

– On wszystko zje, ale najbardziej lubi wołowinę.

– Ale ona jest na kartki. Skąd ją wezmę? – Jolka była przerażona perspektywą zaspokajania potrzeb życiowych Borysa kosztem jej jedzenia, bo na to się zanosilo.

– Ten tu kolega ma znajomości u rzeźnika przy Grodzkiej. Jedna z ekspedientek wpadła mu w oko, więc wciąż tam chadza, licząc, że ją przeleci. – Zuza posłała Kowalskiemu szeroki uśmiech. – On ci na pewno pomoże.

Spojrzała na zegarek.

– Późno już! Zaraz idę do biura paszportowego, a w drodze powrotnej zajrzę do proboszcza – oznajmiła, po czym chwyciła torebkę i wyszła z kancelarii.

– Temat załatwiony, role przydzielone, cała Zuza – mruknął Kowalski pod nosem, dopił stocka i poszedł do siebie.

W wydziale paszportowym w kolejce oczekiwała jedna osoba, czarnoskóry mężczyzna, pewnie z Afryki po przedłużeniu wizy. Innych petentów było brak, bo wciąż trwał stan wojenny, więc obowiązywał ogólny zakaz wyjazdów. Po kwadransie Zuza doczekała się i weszła do środka. Za biurkiem siedziała jakaś flądra okularnica odziana w mundur milicyjny, na pagonach miała wyszyte dwie gwiazdki. Mimo że od lat Zuza tu co jakiś czas zaglądała, ją widziała pierwszy raz na oczy. Dobrze pamiętała, że ostatnim razem za tym biurkiem przelewało się tłuste cielsko porucznik Pawłowicz. Teraz babsko, stwierdziła, pewnie siedzi w jakimś zachodniobierlińskim barze, śmieje się z nich i zajada te swoje wielkie Brötchen mit Sülze.

Milicjantka omiotła ją nieprzyjaznym, wręcz wrogim spojrzeniem zza grubych szkieł okularów.

– A obywatelka po co tu przyszała?

Zuza popatrzyła na nią zadziornie.

– Po paszport. To taka grantowa książeczka z gapą na okładce.

– Po paszport? Niemożliwe. To pewnie jakaś pomyłka, bo nie wydajemy paszportów, jest zakaz. Chyba o tym wiecie?

– Też tak myślę, ale dostałam wezwanie, to jestem. – Zuza z trudem ukryła rozczarowanie. A więc znów kłapa. No tak, na co głupia liczyła? Tak jak ktoś już jej powiedział, gdyby Fidel Castro ją zaprosił, to wtedy może władza by to przelknęła, ale nie jakiś tam zwykły kubański czarnuch, choćby nawet spokrewniony z ich ambasadorem.

– Pokażcie je.

Wyjęła z torebki pismo i rzuciła je na biurko.

Milicjantka wzięła je w ręce i zaczęła studiować. To były dwa zdania, a zeszło jej chyba z kwadrans. Zuza jednak cierpliwie czekała na finał sprawy. Była ciekawa, czym teraz uzasadnią odmowę i jak wyjaśnią to całe zamieszanie, jaką bzdurę tu na poczekaniu wymyślą.

W pewnym momencie milicjantka nagle podniosła się od biurka i wyszła z pokoju. Zuza rozsiadła się na krześle dla petentów i zapaliła ekstra mocnego. Zapowiadało się na dłuższe posiedzenie. Pewnie teraz tam za ścianą głowią się, co jej odpowiedzieć, jaki kit wcisnąć. To musi być wielkie wyzwanie dla ich ciasnych umysłów.

Zdążyła całego papierosa wypalić, nim tamta znów się zjawiała. Zuza ze zdumieniem zobaczyła w jej dłoni granatową książeczkę. Serce natychmiast mocniej jej zabiło, czyżby niemożliwe stało się możliwe? No proszę, cuda się zdarzają.

– Musicie mieć znajomości bardzo wysoko, że dostaliście zgodę na wyjazd. Dajcie dowód! Po powrocie macie natychmiast zdać paszport, wtedy go odzyskacie.

Zuza podpisała jakieś papiery i opuściła urząd z paszportem w dłoni.

Stała na środku chodnika przed Komendą Wojewódzką Milicji i roześmiała się w głos. A jednak, wylot na Kubę stawał się coraz bardziej realny.

Tak jak wcześniej to sobie zaplanowała, teraz udała się do proboszcza. Nie było go w domu, wikary poinformował ją, że jest w kościele, siedzi w konfesjonale i spowiada parafian. Zajrzała do fary z nadzieją, że może akurat wychodzi. Nic z tego. Jakaś stara dewotka opowiadała mu o swoich grzechach. Zapewne fascynujące historie, ociekające seksem i krwią, pomyślała z drwiną i usiadła w najbliższej ławce. Spowiedź trwała i trwała, a Zuza się niecierpliwiła,

bo aż ssalo ją coś od środka na papierosa, a przecież w kościele nie zapali. W końcu spowiedź dobiegła końca. To był ten moment, ruszyła w stronę konfesjonału równocześnie z jakąś inną leciwą bezbożną parafianką. Jednak Zuza była tak zdesperowana, że nawet gotowa była podstawić tamtej nogę, byle być przed nią. Na szczęście nie zaszła taka potrzeba, bo dotarła do klęcznika jako pierwsza. I tu był problem, bo musiała klęknąć przed kratką. Nie było rady, inaczej się nie dało, więc walnęła na kolana. W okienku zobaczyła nalaną twarz proboszcza. Od razu ją rozpoznał i zdumiał się niezmiernie.

– Kogo moje oczy widzą? Nie, to niemożliwe, to jakaś fatamorgana, chyba wczoraj przesadziłem z koniakiem – kpił.

– To nie fatamorgana. Tak to ja, we własnej osobie.

– W takim razie szkoda, że nie wzięłem sobie kanapek, bo to będzie niekończąca się opowieść. Zaczynaj, bo kościelny zamyka kościół o dwudziestej, a już jest dziesiąta rano. – Dalej kpił z niej w najlepsze.

– Spokojnie, to będzie krótka spowiedź. Wyjeżdżam na dwa, no może trzy tygodnie i potrzebuję opiekuna dla Wrzoda. Myślę, że ksiądz mi nie odmówi i przyjmie go na ten czas pod swój dach? Wiem, że ksiądz uwielbia koty.

– Co?! – krzyknął na cały kościół. Parafianie czekający w kolejce do konfesjonału jak na komendę z trwogą się przeżegnali. Zuza już wiedziała, że w miasto pójdzie fama o spowiedzi słynnej pani adwokat, o jej strasznych grzechach, które do głębi wstrząsnęły nawet samym proboszczem.

– To tylko maksimum trzy tygodnie. Lubicie się, to i się dogadacie.

– Nie ma mowy. To nie kot, to diabeł wcielony.

Zdziwił ją jego upór. Nieraz mówił, że lubi kociaka, że mógłby mieć podobnego. Czy to znaczy, że wtedy kłamał?

– Nie chcę tego za darmo. Przywiozę księdzu oryginalne cygara.

Parsknął śmiechem.

– Przecież wiesz, że ich nie palę i w końcu ty byś je dostała. A w ogóle, to dokąd się wybierasz? Przecież nie na Kubę, bo tam nie pojedziesz bez paszportu.

– No jak to dokąd? – Myślała, że wszyscy już o tym wiedzą. – Właśnie lecę na Kubę.

– Gdzie? – wydukał kompletnie zaskoczony. – Przecież nie masz paszportu. To chyba jednak nie ja, ale ty wczoraj przesadziłaś z koniakiem. Zawsze ci powtarzałem, że za dużo pijesz.

– No to się ksiądz bardzo zdziwi, bo mam go w torebce. Jutro rano jadę do Warszawy starać się o wizę i żeby wykupić bilet na lot do Hawany.

– Mówisz poważnie czy znów sobie ze mnie żarty stroisz? Jeśli tak, to miej litość, bo mam sporą kolejkę do spowiedzi, a już mnie zadek boli od siedzenia na tej twardej ławie.

Bez słowa wyjęła z torebki paszport i mu go pokazała.

– Otwórz i pokaż zdjęcie. – Jeszcze nie dowierzał. Jeszcze się łudził.

Spełniła i to jego życzenie.

– No i? – Patrzyła na niego z triumfem w oczach.

– O kur... – nie skończył, bo zdążył się zreflektować. –

Panie Boże, przepraszam, że się na chwilę zapomniałem w Twoim domu. – Szybko się przeżegnał. – Ale co ja będę robił z tym wrednym kociskiem? Nad nim nie da się zapanować.

To już zabrzmiało inaczej, zaczynał się łamać. Zuza była pewna, że jej nie odmówi.

– Byle nic grzesznego – zażartowała.

– No wiesz, nie jestem satanistą, ze skóry go nie obedrę i na cmentarzu nie odprawię czarnej mszy. O to możesz być spokojna.

– Żywię taką nadzieję. Czyli ksiądz się zgadza? Mamy temat załatwiony? Muszę to wiedzieć teraz.

– A czy mam inne wyjście? Problem w tym, że on jest złośliwy, a chwilami agresywny. Chyba pamiętasz jak mnie kiedyś w palec upier... ugryzł – zaraz się poprawił. – Wiedz jedno, jedziesz do jaskini diabła. Ten cały Fidel Castro to prawdziwy antychryst. Jeden z zakonników, który podczas rewolucji był na Kubie, opowiadał mi o nim okropne rzeczy. Ponoć przeciwników osobiście obdzierał ze skóry. Nie wiem, czy to do końca prawda, bo ten mnich miał bujną wyobraźnię, ale może coś jest na rzeczy.

– Ja bym w te plotki nie wierzyła. Pewnie jest taki sam jak Jaruzelski, Andropow, Honecker i wielu innych satrapów. Każdy z nich to obrzydliwy komuch, na którego można tylko splunąć.

– No dobra, skoro już tam lecisz, to przywieź mi butelkę rumu. No, jeśli przywieziesz dwie, to też się nie obrażę.

– To już brzmi sensownie, a zatem rozumiem, że teraz obejdzie się bez zdrowasiek i że dostałam rozgrzeszenie? – Dyskretnie się zaśmiała.

– Moja droga, na rozgrzeszenie to nie masz szans, bo masz za dużo na sumieniu, a to jest jedynie przyjacielska przysługa. Idź już, bo kolejka przed konfesjonalem rośnie niczym przed kioskiem Ruchu, kiedy gruchnie wiadomość, że zaraz przywiozą papier toaletowy. Gospoia od jakiegoś czasu mi się odgraża, że jak nie będę się pojawiać na obiad punktualnie, to przestanie mi gotować, a to, wierz mi, brzmi groźniej niż widmo trzeciej wojny światowej.

– A zatem jesteśmy umówieni na dwie butelki rumu, choć wcześniej myślałam, że wystarczy „Bóg zapłać” – za-drwiła i wstała z kłęczek.

Zuza w wyśmienitym nastroju wróciła do domu.

Już w progu Zgaga przywitała ją, krzycząc:

– Eduuuuardo tooo chuuuuj! Kochaaaam Eduuuuardo!

Czym jeszcze bardziej poprawiła jej humor.

– Nie, kochana, on jest dobry, bo mi załatwił paszport.

– Preeecz z kooomuną! Zuuuza koooocham!

– Ja też ciebie kocham. Stęsknię się za tobą, za twoimi nieuczynnymi odzywkami.

Poszła do kuchni wstawić wodę na herbatę, chciała sobie zaparzyć nową, którą sprezentował jej klient. Ponoć dostał ją w paczce od rodziny mieszkającej w Londynie, więc była ciekawa jej smaku.

Wydawało jej się, że dziś nic nie może jej zepsuć humoru.

Jakże się myliła, a to wszystko za sprawą jednego telefonu. Nie zdążyła zasiąść do stołu, kiedy zadzwonił do niej kierownik płockiego zoo. Zdziwiło ją to niezmiernie, bo raczej za sobą nie przepadali. Ciekawe, skąd miał jej numer? Pewnie od Kowalskiego, oni się od pewnego czasu przyjaźnili. Razem chodzili na wódkę i na baby, a w niedzielę przykładnie do kościoła.

– Pani mecenas. – Usłyszała w słuchawce jego piskliwy głosik. – Podobno pani wyjeżdża. A co będzie z pani arą w tym czasie?

A co go to obchodzi? To jej papuga. Jak będzie chciała, to jej łeb ukreć, ugotuje na niej rosół i nic mu do tego.

– Jak to co? Zgaga zostaje pod opieką mecenas Kowalskiego. Już wszystko z nim uzgodniłam. On się zgodził nią zająć, a więc nie ma sprawy, temat zamknięty.

– Ale czy pani pamięta, co było ostatnio? Z trudem udało nam się uratować jej upierzenie, bo z tęsknoty za panią chciała się oskubać do samej skóry. Drugi raz to się nam nie uda. Musi ją pani wziąć ze sobą. Nie ma innego wyjścia.

– Co proszę? Jaja pan sobie ze mnie robi? – wydukała. – Chyba pan żartuje? Jak mam to zrobić? Włożyć ją do torebki? A może spuścić z niej powietrze, a na Kubie od nowa ją napompować? A może przebiorę się za „Długiego Johna” Silvera z Wyspy skarbów i powiem, że ta papuga to Kapitan Flint i lecę na Kubę po zakopane tam skarby? Problem jednak jest w tym, że Kapitan Flint była zielona. Ale w sumie mogę poprosić Kowalskiego o jej przemalowanie, on ma w tym sporą wprawę – zakpiła.

– Nie jest mi do śmiechu. Ona bez pani nie potrafi egzystować. Inaczej, kiedy pani wróci, to może już jej nie być. Właściwie jestem tego pewien. Powtarzam pani, że wyskubie sobie wszystkie pióra i zdechnie z tęsknoty.

– Przynajmniej od razu będzie gotowa do garnka.

Zerknęła z sympatią na Zgagę, kto by pomyślał, że to chyba jedyne stworzenie, które będzie za nią tęsknić, jedyne, które z tęsknoty zrobi sobie krzywdę.

– Ale jak pan to sobie wyobraża? Słucham. Przecież nie wpuszczą mnie z nią na pokład samolotu, pogonią jak burą sukę i będą mieli rację.

– Musi pani spróbować. Wiem, że ludzie przewożą zwierzęta. Psy na pewno, to może i papugi. Trzeba by popytać na lotnisku.

– Przemyszę to – odburknęła i zakończyła połączenie. Że w tym momencie była zła, to byłoby za mało powiedziane, ona była wściekła.

Kurwa mać, czy musiał do niej z tym dzwonić? Wszystko zepsuł. W jednej chwili jej entuzjazm prysł, a to przez tego wstrętnego pierzastego potwora.

Podeszła do klatki i ze złością spojrzała na papugę.

– Od zawsze przez ciebie mam same kłopoty. Jesteś wkurwiająca, dziobiesz mnie, wydierasz się na pół ulicy, a na dodatek klniesz jak szewc. Co ja teraz zrobię? Sama już nie wiem, co z moim wyjazdem. Przez ciebie wszystko może mi się posypać.

– Kooocham ciie! Zuuuza kooooocham cię! – wydarła się Zgaga, trzepocząc skrzydłami.

– Ja też cię kocham, ale cię nie lubię. Zobaczymy, co powiedzą w Polskich Liniach Lotniczych. Mam nadzieję, że podejda do naszego problemu z należytym zrozumieniem, inaczej będzie spory kłops, właściwie sytuacja patowa.

Spróbowała herbaty, była wyśmienita. Jaki z tego wypłynął wniosek? Prosty: sprawy klienta, który ją jej podarował, nie należy zakończyć za wcześnie.

Kapitan Mariański siedział przy biurku i przesłuchiwał Mowieckiego, znanego w Płocku opryszka.

– Sukinsynu, znów kłamiecie! Aż mnie korci, żeby wam przypierdolić w łeb taborettem. Wiecie, co wam grozi za składowanie fałszywych zeznań? Za włam dostaniecie trzy lata bez zawiasów, a za te wszystkie kłamstwa dodadzą wam jeszcze dwa. Chcecie tyle kiblować? Byliście w kryminale i wiecie, co tam się dzieje. Chcecie, żeby was co chwila gwałcili? No chyba że to lubicie? Może wy jesteście ciota? Co? Mówcie!

Opryszek skulił się na krześle, wyraźnie przestraszony wizją odsiadki.

– Ależ, panie władzo, ja mówię samą prawdę. Jak Bożię kocham. Mogę na nią przysiąc.

– Wy mi tu z jakąś Bożią to nie wyjeżdżajcie, rozumiano? Wy myślicie, że my jesteśmy jakiś dureń czy idiota? Kiedy wy biegaliście z koszulą w zębach, to my już służyliśmy w milicji i takich jak wy to my wsadzaliśmy do ciupy.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Wejść!

To kapral Opara. Podszedł do kapitana i coś mu szepnął do ucha. Ten natychmiast poderwał się z krzesła, splunął w dłonie, przyglądził nimi włosy i poprawił mundur.

– Przypilnujcie tego opryscha. Jak trzeba, to mu w mordę dajcie – rzekł i wyszedł.

W chwilę potem stawił się w gabinecie komendanta.

– Kapitan Mariański melduje się na rozkaz!

– Siadajcie! – Szef wskazał mu krzesło po drugiej stronie biurka, a mebel zaraz pod jego ciężarem niebezpiecznie zatrzęszczał. – Tylko delikatnie. Moglibyście w końcu trochę schudnąć. Jesteście jak wielka, tłusta świnia!

– Tak jest, towarzyszu komendancie! – Na powrót wstał i zasalutował.

– Może już lepiej nie siadajcie. To jest nowe krzesło. – Pułkownik Kozioł sięgnął po jakąś niebieską tekturową teczkę, wcześniej leżącą na blacie biurka, i ją otworzył. – Jesteśmy tu od niedawna, więc was dobrze nie znamy, ale mamy tu wszystko spisane jak wół w papierach – odezwał się po dłuższej chwili, wolno cedząc każde słowo. – Macie zasługi, ale i macie wpadki. Widzę, że tych drugich jest dużo więcej. Ostatnio wciąż nawalacie. Powiedzcie mi, jak to było z tym pancernaustem?

Twarz Mariańskiego pokryła się purpurą. Prawą dłonią poprawił kołnierzyk koszuli, jakby go uwierał, a tak naprawdę to z emocji. Nienawidził, kiedy ktoś mu o tym zdarzeniu przypominał, bo do dziś śmiano się z niego za jego plecami.

– Przewrócił się, towarzyszu pułkowniku, no i... odpalił – wydukał.

– Kurwa mać, nie widzieliście, że jest uzbrojony? Przecież to chyba ślepy by zauważył.

– Melduję, że to był prezent od towarzyszy ze Związku Radzieckiego. Nie myśleliśmy, że nas chcą w pizdu wysadzić.

– Zważajcie sobie. – Kozioł podniósł głos i wałnął pięścią w blat biurka. – Towarzysze ze Związku Radzieckiego to nasi przyjaciele i nikogo nie chcieli, jak to powiedzieliście, w pizdu wysadzić. To wy wysadziliście komendę, nikt inny! Macie szczęście, że też macie sporo zasług dla władzy ludowej, to nasi przełożeni spojrzeli na wasz wyryk przez palce, a komendę i tak trzeba było remontować. Że jesteście skończonym idiotą, to nie podlega żadnej dyskusji. Jakim cudem w ogóle zostaliście oficerem? Wciąż mnie to zastanawia.

– Poprzedni komendant też się dziwił – bąknął Mariański.

– Zostawmy to, w innej sprawie was wezwaliśmy. Byliście kiedyś poza naszym krajem?

– Nie, towarzyszu pułkowniku, nigdzie nie byliśmy, ale wszystko wiemy, bo co wieczór oglądamy dziennik telewizyjny.

– Bardzo dobrze, ale to i tak za mało. Pojedźcie w delegację, i to daleko.

– Do Warszawy? – spytał kapitan z wypiekami na policzkach. Zawsze marzył o pracy w Komendzie Głównej Milicji. To byłoby wielkie wyróżnienie.

– Dalej, dużo dalej.

– Do Katowic?

– Czemu do Katowic? – zdziwił się pułkownik.

Mariański zrobił głupkowatą minę.

– No nie wiem, tak mi się powiedziało.

– Do Katowic to się jeździło za Gierka. Pojedźcie dalej, kapitanie, dużo dalej. Pojedźcie na Kubę.

W Mariańskiego jakby piorun strzelił. Spojrzał na zwierzchnika nic nierozumiejącym wzrokiem.

– Gdzie, towarzyszu pułkowniku? Towarzysz chyba sobie żartuje ze mnie? Gdzie mi tam jechać? Toć to koniec świata.

– Nie mam nastroju do żartów, kapitanie. Pojedziecie tam z tajną misją. Pojedziecie tam incognito. I pamiętajcie, nie spieprzcie tego, bo się w końcu doigracie i wylecicie z milicji na pysk!

– Inco? Że jak?

Wyraz twarzy Mariańskiego przekroczył następną granicę, stał się debilny.

– Będziecie udawać turystę, a tymczasem będziecie obserwować pewną obywatelkę. Macie śledzić jej każdy krok, macie notować, z kim się spotkała, o czym rozmawiała, mało tego, macie nawet wiedzieć, co zjadła. Dosłownie wszystko. Zrozumiano?

– A czym mam tam jechać? Dacie nam jakiś radiowóz? To przecież daleko.

– Kurwa mać! – ryknął pułkownik. – Wy naprawdę jesteście idiotą! Kuba to wyspa. Jak chcecie tam dojechać samochodem? Polecicie samolotem, i to już niebawem.

Kapitan zaczął się cały trząść. Tego było już dla niego dużo za wiele.

– Towarzyszu pułkowniku, ale ja nigdy nie latałem, może bym popłynął statkiem? – zaproponował nieśmiało.

Teraz to twarz komendanta pokryła się purpurą. Rękoma złapał się za głowę.

– Cholerny debil! Wynocha! Precz mi z oczu! Z kim ja, do kurwy nędzy, pracuję. Każdy by dał wszystko, żeby polecieć na Kubę, ale nie ten idiota! On widzi same przeszkody! Samochodem chciał jechać! Ja pierdołę!

Jego krzyk zapewne słychać było w całej komendzie, bo głos miał wyjątkowo silny i donośny.

Mariański, cały czerwony i spocony na twarzy, zasalutował mu i bystro jak na swoją tuszę ruszył do wyjścia. Zatrzymał się w drzwiach i spytał nieśmiało:

– A kogo mam śledzić, towarzyszu pułkowniku?

– Niejaką Zuzannę Lewandowską, chyba nie muszę wam o niej opowiadać. O ile wiem, pałacie do niej gorącym uczuciem. – Kozioł parsknął szyderczym śmiechem. – A teraz wypierdalajcie stąd, i to migiem, bo nie ręczę za siebie!

Kapitan był śmiertelnie przerażony. Dla niego wyjazd do Warszawy był wielkim wydarzeniem, do którego przygotowywał się kilka dni, a tu taka eskapada. Lewandowska, to wszystko przez nią, gdyby nie ona, to miałby święty spokój, a w ogóle, to kto dał tej suce paszport? To była bardzo podejrzana sprawa i musiał o tym pilnie zameldować. Wrócił do swojego pokoju. Mowiecki leżał na podłodze i jęczał, a Opara odstawiał stółek.

– Przyznał się? – spytał Mariański kaprała.

– Tak jest, za drugim razem.

– Nie rozumiemy. To znaczy?

– Musieliśmy mu dwa razy przypierdolić stółkiem, ale teraz podpisze wszystko, co mu każemy.

– Dobra, weźcie go do siebie i dokończcie to. My musimy zająć się czymś innym. Bym wam powiedział, ale to tajemnica państwowa – wyszeptał, rozglądając się nerwowo po pokoju.

Kapral wyprowadził oprycha, a Mariański usiadł za biurkiem, wkręcił papier do maszyny do pisania i przy okazji przytrzasnął sobie paluch walkiem.

– O kurwa! – krzyknął, rozmasowując ranę.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Wejść! – ryknął.

Chorąży Kasin zamaszystym krokiem wmaszerował do środka i przed zwierzchnikiem wyprężył się jak struna.

– Towarzysz kapitan ponoć mnie wzywał.

– Zgadza się! Co słyszeliście o Kubie?

– O Kubie? – wydukał zdumiony kapral. – Czy towarzysz ma na myśli porucznika Jakuba Szurlika?

– Nie jego. – Twarz Mariańskiego ze złości pokryła się purpurą.

– To może chodzi o tego psa tropiącego, co go ostatnio wiozłem do uśpienia? On się wabił Kuba. Konował dał mu zastrzyk i po kłopotcie. Zakopaliśmy go na polu przy drodze.

– Kasin, macie mnie za idiotę? Jaja sobie ze mnie robicie? Co nas obchodzi jakiś zaszary kundel? Wiecie, że my możemy was zniszczyć, wypierdolić na zbity pysk z milicji i co wtedy? Wiecie, gdzie skończycie?

– Gdzie?

– Na ulicy! Na ulicy, Kasin! Skończycie w rynsztoku tak jak wasza matka czy wasze siostry.

– To tak jak wasze – wypalił chorąży i aż sam się przeraził swoich słów.

– Co?! Skąd wy to wiecie? Za moimi plecami wypytujecie o mnie? Jak śmiecie?! – Mariański poderwał się z krzesła i wskazał palcem drzwi. – Wynocha! Wypierdalać mi, i to już! Precz z moich oczu, pókim dobry! Bezczelny sukiny-syn!

Kasin nie czekał na dalsze impertynencje ze strony zwierzchnika, tylko szybko się ewakuował z pokoju. W każdym razie tak było bezpieczniej, bo Mariański w ataku szału był nieobliczalny, o czym się niejedyn już przekonał i o czym świadczyły ślady na ścianach po kulach z jego służbowej tetetki.

Kapitan usiadł na powrót z impetem, krzesło niebezpiecznie zatrzeszczało pod jego dupskiem, ciężkim niczym olów.

– Co za dureń. Z kim my musimy pracować? – jęknął i zabrał się do pisania.

Od dziś postanowił do raportów używać maszyny, bo wciąż mu zarzucano, że robi mnóstwo błędów ortograficznych. Teraz przynajmniej będzie miał na kogo zrzucić winę, a że maszyna jest produkcji niemieckiej, to wszystko pójdzie na faszystów. To każdy Polak kupi.

Skupił się na wciskaniu klawiszy, czynił to jednym palcem, palcem wskazującym lewej ręki, bo prawa była jeszcze niewyleczona po kontuzji, którą odniósł podczas odpalenia pancerafausta.

### Notatka operacyjna

Meldójemy, że obywatelka Zuzanna Lewanowska element wywrotowy oczymała pażport. To jest bardzo podejzane. Morze to bydz działanie nijakiej Pawłowicz, która okazała się bydz nie Pawłowicz, bo ona robiła psy pażportach. Tak jak i sobie mogła to załatwić obywatelce Zuzannie Lewandowskiej. Morze to wspulniczk? Tsz pażport zarekfirować a my nie pojedziemy do Kuby.

Wreszcie skończył, chwilę rozmasowywał obolały palec, po czym wykręcił kartkę z maszyny. Przeczytał dwa razy i na jego twarzy pojawił się promienny uśmiech. To był dobry pomysł z tą maszyną.

Teraz należało notatkę zanieść do pułkownika. Niech nie myśli, że on, kapitan Mariański, jest idiotą.

Zuza już z samego rana, w każdym razie jak na nią, czyli po godzinie dziesiątej, udała się do miasta. Najpierw w barze mlecznym wciągnęła kakao i zjadła dwie bułki maślane z dżemem truskawkowym. Tuż przed jedenastą zjawiła się na ulicy Jachowicza przed wejściem do Pewexu. Tak jak zawsze czatował tam Zdzichu, jeden z płockich cinkciarzy. Ubrany w grubą kataną, z podniesionym kołnierzem, w ciemnych okularach i w oprychówce, swoim wyglądem zbytnio nie zachęcał do robienia z nim interesów. Zuza jednak dobrze go znała i wiedziała, że w interesach jest krytycznie uczciwy. Zresztą miał u niej spore długie wdzięczności. Wcześniej kilkukrotnie wyciągała go z opresji, bo przez wiele lat miał problemy z byłą żoną. Zakładała mu sprawy o alimenty, a on uparcie twierdził, że dzieciaki są nie jego i nie będzie na nie płacił. Jak było naprawdę, to tylko jego baba wiedziała.

– Pani mecenas, czego potrzeba? Może marki, dolary, funty, bony? – szepnęła jej do ucha, nerwowo się rozglądając.

– Nie boisz się tak oficjalnie? Tak na bezczelnego? Nawet się z tym zbytnio nie kryjesz?

– Pani mecenas. – Roześmiał się. – Przecież ja ich smaruję. Inaczej to bym tu kwadransa nie powstał, boby mnie bezpieka zwinęła. Raz na jakiś czas wystawię im jakiegoś frajera i wszystko gra. Tak to się kręci.

– Chcę kupić dolary, najlepiej duże nominały. Najbardziej lubię gębę Benjamina Franklina. Chyba to przez jego wyraz twarzy. – Zaśmiała się.

– Pani to ma dobry gust. – Zdzichu porozumiewawczo mrugnął do niej okiem. – Ilu tych Franklinów potrzeba?

– Myślę, że pięciu wystarczy – odparła po chwili zastanowienia.

– Na co wystarczy, jeśli można spytać? Może coś doradzę? Bony są tańsze, nie potrzeba od razu kupować oryginalnych zielonych. Trochę kasy można przy tym przyoszczędzić.

– Bony to tylko do Pewexu, a ja potrzebuję dolce na wyjazd. Kapujesz?

Cinkciarz spojrział na nią zdziwiony. W Płocku tajemnicą poliszynela były Zuzy perturbacje z wydziałem paszportowym.

– Tak, wiem, że to brzmi nieprawdopodobnie, ale wyjeżdżam na zgniły Zachód, a konkretnie na Kubę – szybko mu wyjaśniła.

Zdzichu, słysząc to, parsknął śmiechem. Co to za reakcja? Spojrzała na niego zdziwiona.

– Co cię tak śmieszy? Co w tym zabawnego? Może i ja się pośmieję? – spytała zaczepnie.

– Pani mecenas, to nie Zachód, tylko jeszcze gorsze dziadostwo niż u nas, a co najgorsze, że stamtąd do Ameryki jest tylko żabi skok. To tak jak oglądanie szynki i kielbasy przez szybę wystawy albo lizanie lodów przez papierek. Po cholere pani tam jedzie? Nie szkoda szmalu? Samolot tam jest kurewsko drogi, bo daleko. Nie lepiej myknąć nad nasze morze? Za taką kasę to może pani zatrzymać się w samym sopockim Grand Hotelu, a tam kelnerzy się pani w pas kłaniają i szampan się leje.

– To już nie twoja sprawa. Po prostu lubię upaść, a u nas z pogodą różnie bywa – ucięła krótko.

– W porządku, ja tylko tak, z dobrego serca. Tylko przed wyjazdem niech pani je dobrze schowa, bo na granicy lubią trzepać turystów. Mojej znajomej podobno nawet do dupska zagląдали i w kupie grzebali.

– To jest obrzydliwe, co mówisz. Przestań już. Robimy biznes czy nie? Czy może mam szukać gdzie indziej? Dać komu innemu zarobić?

– Ależ jasne, pani mecenas. Dogadamy się.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki.

W kancelarii Zuza zastała tłum rozgorączkowanych ludzi.

– Co Kowalski znów sprzedaje? – spytała Jolkę, zerkając na nich z niechęcią.

– Pralkę automatyczną. Ponoć wygrał ją na jakiejś loterii.

– Akurat. – Parsknęła śmiechem. – Chyba w to nie wierzysz? Już mi dawno doniesiono, że ten pazerny na każdy grosz sknerus dorabia sobie w nocnych kolejkach.

– Niemożliwe! – zdumiała się aplikantka. – Przecież jest cenionym adwokatem. On sporo zarabia i jeszcze takie rzeczy? Na co mu ta kasa, przecież nawet nie ma żony i dzieci?

– I co z tego? – Zuza wzruszyła ramionami, ciut podenerwowana naiwnością Jolki. – To jest taka cecha charakteru. On już taki jest i tego nic nie zmieni. Zbiera w skarpetę na czarną godzinę. Widziałas może Nowaka? – zmieniła temat.

– Nie? Mam po niego zadzwonić?

– Nie fatyguj się, sama to zrobię. Jeszcze potrafię obsłużyć telefon.

Poszła do siebie. Rozsiadła się w fotelu i zapaliła ekstra mocnego. Sięgnęła po stocka, ale rozmyśliła się. Nie będzie pić w samotności. Poczekaj na jakiegoś kompana do kieliszka, ale teraz zadzwoni do sierżanta.

– Mógłbyś do mnie zajrzeć, tak przy okazji – rzekła do słuchawki, słysząc jego zaspany głos.

– Co się stało? Coś pilnego? – Wyraźnie się zaniepokoił.

– Jeszcze nic, ale przyjdź lepiej. Nie mogę o tym mówić przez telefon.

– Czemu?

Co za durne pytanie? I to mówi były milicjant. Chwilami zachowywał się jak Mariański.

– Bo akurat drukuję ulotki antypanstwowe i zabrakło mi tuszu – wypaliła bez zastanowienia i odłożyła słuchawkę.

– Cholera! – zaklęła. To było głupie, przecież telefon ma na podsłuchu. Sama o tym zapomniała.

– Jolka! – krzyknęła w stronę drzwi.

Aplikantka zjawiała się migiem.

– Siadaj, napijemy się. Zresztą zaraz będzie tu gorąco, bo wpadnie bezpieka i przetrzepie wszystkich chętnych na pralkę Kowalskiego. Odechce im się pokątnych zakupów, a jak wyjdą, to dobrze przewietrz kancelarię, bo tam nie ma czym oddychać. Wciąż się zastanawiam, czemu ludzie się nie myją? Mydło jest za drogie czy to zwykle lenistwo?

– Skąd pani wie, że przyjdą? Dostała pani jakiś cynk?

– Coś w tym rodzaju – odparła wymijająco.

Rozlała brandy i zapaliła następnego papierosa.

– Słuchaj, ty często rozmawiasz z Nowakiem. Ostatnio zauważyłam, że coś z nim nie tak, ale to chyba nie jest związane z jego chorobą, bo jakoś bardziej nie kaszle. Może wiesz, co jest grane?

– Nie mam zielonego pojęcia – odburknęła Jolka i Zuza już wiedziała, że kłamie. A zatem coś jest na rzeczy.

– No to wypijmy. – Podniosła kieliszek.

– Milicja! – rozległ się głośny okrzyk zza drzwi.

Zuza uśmiechnęła się triumfująco, natomiast aplikantka poderwała się z krzesłem z zamiarem wyjścia do holu.

– Dokąd?! – ryknęła na nią Zuza. – Chcesz im pomagać? Siedź tu, oni sobie sami dadzą radę. Nie takie przeszukiwania już u nas robili.

– Ale czego szukają? Przecież tu nic nie ma.

– A bo ja wiem, może pralki Kowalskiego? Może pierze w niej brudną kasę? – Zarechotała.

Mariański wpadł do jej pokoju bez pukania, jak do obory, i pewnym krokiem podszedł do maszyny do pisania. Wyrwał z niej tasienkę i zaczął ją rozwijać. Udawał, że czyta wybite na niej znaki, bo odczytywanie z niej tekstu to była wyższa szkoła jazdy, rzecz o wiele za trudna dla tego tępego milicjanta.

– Co tam znaleźliście, towarzyszu kapitanie? – kpiła Zuza. – Pewnie te antypaństwowe teksty.

– Gówno was to obchodzi! – ryknął i wyszedł z pokoju szukać w gabinecie Kowalskiego.

Zuza była w wyśmienitym humorze. Mina Mariańskiego, kiedy okazało się, że w kancelarii nikt nie drukuje antypaństwowych ulotek, była bezcenna, a kiedy spytała go o wrażenia z momentu odpalenia panczerfausta, dostał szału i gdyby nie kapral Opara, który zagroził mu drogę własnym ciałem, to rzuciłby się na Zuze, i to z gołymi łapami.

W końcu milicja wyszła i Zuza mogła wziąć się do pracy. Tym razem klientem był rolnik z Tłuchowa. Kiedyś miała podobną sprawę. Mężczyzna był podejrzany o wyłudzenie ubezpieczenia z PZU. Ponoć przewrócił stodołę i twierdził, że to sprawka wichury. Problem w tym, że nie wiało tego dnia, kiedy budynek runął. Nie bardzo wiedziała, po co do niej przyszedł. Na co liczył? Jego wina była ewidentna i sprawa była z góry przegrana. Chyba za bardzo uwierzył w krążące o niej opinie, że każdą sprawę wygrywa. Tak dobrze nie było.

Zapłacił za poradę i wyszedł. Widziała na jego twarzy zawód, ale mógł pomyśleć i przewrócić stodołę w wietrzny dzień, a sprawy by nie było. Dureń.

Wychodząc z kancelarii, natknęła się na Kowalskiego. Był wściekły, bo milicja w poszukiwaniu powielacza rozebrała jego pralkę na części i tak ją zostawiła. Kłął ich w żywe kamienie, bo musiał sprowadzić specjalistę, który by to wszystko teraz do kupy złożył. Poleciała mu pana Wojtka, byłego wojskowego, który odnalazł się w tym zawodzie. Kierowniczką punktu napraw artykułów gospodarstwa domowego, a więc jego szefowa, twierdziła, że kochaś z niego jakich mało, że nawet licealistkom nie odpuszczał. Trafi swój na swego, pomyślała, chwytając za klamkę u drzwi. Zeszła na dół i zajrzała do delikatesów po stocka. Kupiła dwie flaszki i ruszyła w stronę domu. W kiosku przy placu Narutowicza odebrała spod lady dwa pakiety ekstra mocnych i przy okazji weszła również do pobliskiej apteki, bo doktor Kalicki przepisał jej kilka specyfików. Od razu wylano na nią kubeł lodowatej wody. Według aptekarki należało tę Kubę sprawdzić bardzo dokładnie.

– Ależ, pani mecenas, to jest poważna sprawa. Pani jedzie do tropików, tam można złapać wszystko, począwszy od malarii po nieznaną u nas chorobę weneryczną – zaczęła jej tłumaczyć.

Zuza wysłuchiwała jej uważnie, bo to nie było czeze gadanie, kobieta wiedziała, co mówi, wszak jej córka skurwiła się z Algierczykiem, czego owocem był czarny jak smoła prześlizgły chłopczyk z burzą kruczoczarnych kręconych włosów. Zuza nie pamiętała jego imienia, ale było równie orientalne co imię jego ojca.

– Trzeba się zaszczepić naraz na wiele chorób i broń Boże pić tam niegotowaną wodę, bo ameba pewna.

– Co to za cholera? Pierwsze słyszę.

– Coś jak tasieniec, ale jeszcze gorsze, zżera żołądek od środka. Ja tam na pani miejscu to bym nie leciała. Tak byłoby bezpieczniej. Po co guza szukać? Wyjazd krótki, a konsekwencje będą się ciągnąć latami. Czy to tego warte? Proszę się dobrze zastanowić.

Jej gadanie tylko Zuze zdenerwowało, bo nie potrzebowała doradców. Dobrze wiedziała, co robi.

– Ale lecę, to już postanowione. Mam tu receptę od znajomego lekarza i chciałabym ją zrealizować – odparła sucho.

Aptekarka zerknęła na nią i parsknęła śmiechem.

– To się nadaje na wyjazd do Ciechocinka, no może do Kołobrzegu, nie dalej – kpiła. – Proszę pojechać do Warszawy do specjalisty i tam się poradzić. To taka dobra rada po starej znajomości. Znam takiego jednego, zaraz zapiszę pani adres.

Zuza wyszła z apteki, ale po jej dobrym humorze nie było już śladu, ulotnił się niepostrzeżenie. Ta suka naprawdę ją niezłe postraszyła.

Na ulicy Grodzkiej spotkała Piosika. Jak zwykle podpierał ścianę domu i ćmił papierosa.

– Słyszałem, że leci pani do Ameryki. Ja bym na pani miejscu już nie wracał do tego syfu, nie warto.

– Nie jadę do żadnej Ameryki, jedynie na Kubę. A ty skąd to wiesz? Widzę, że nim wyjadę, to już cały Płock będzie o tym poinformowany, i to ze szczegółami.

– Zdziechu, no ten cinkciarz, co stoi pod Pewexem, to szwagier mojej nowej kobiety. On mi mówił.

– Co jeszcze ci mówił? – spytała zaczepnie.

– Nic więcej, słowo.

Po jego minie widziała, że kłamie, że puścił farbę o dolarach.



Trudno, mleko się rozlało, byle tylko ta informacja nie dotarła do celników, bo zrewidują ją i zarekwirują armię jej Franklinów a wtedy pojedzie na Kubę goła niczym święty turecki.

Westchnęła głośno, pokręciła głową z dezaprobatą i poszła dalej.

Przed swoją kamienicą zobaczyła dwóch obszczymurków. Jednego z nich kiedyś poraził prąd, kiedy sikał na drzwi sąsiada z parteru. Wpadł w zastawioną na niego pułapkę. Oddawał mocz, stojąc na metalowej płycie podłazowej do prądu i przez to o mało mu się prącie nie spaliło na węgiel. Skłonili się jej nisko.

– Szacunek, pani mecenas! Słyszeliśmy, że pani jedzie do Ameryki.

– I co z tego wynika? – zapytała zaczepnie.

– No nic, popilnujem pani chaty, żeby jakiś gnojek pani nie obrobił. Będziem mieć na wszystko oko.

– Dobra, jak wszystko będzie w porządku, to dostaniecie na jakieś szkło – odparła udobruchana i weszła do budynku.

W domu czekał na nią rozwrzeszczany zwierzyniec. Kot miauczał, jakby go ze skóry obdzierali, a to było tylko celne trafienie dziobem Zgagi, które zaliczył prosto w ten swój mały, pusty łeb. Borys zatrzasnął się w kuchni, a że cierpiał na klaustrofobię, to piszczął ze strachu. Zgaga śpiewała *Międzynarodówkę*, rytmicznie wałąc dziobem w metalowy karmnik. Prawdziwy obłęd.

Że też z nimi wytrzymuję i nie zwariuję, pomyślała. Ten urlop to prawdziwe zbawienie. Przynajmniej odpocznie od tego popapranego towarzystwa.

Papuga, widząc ją, rozwrzeszczała się:

– Kuuuba to rozróóóba! Kuuuba to syyy!

– Kto cię tego nauczył? – zdziwiła się.

Pewnie Nowak, tylko on to mógł zrobić. Ostatnio kilka razy był u niej i karmił jej zwierzyniec, kiedy musiała pilnie pojechać służbowo do Warszawy. Zresztą sierżant od początku był bardzo negatywnie nastawiony do jej wyjazdu. Tego mogły być dwie przyczyny: albo jej zazdrościł, albo bał się, że zginie w katastrofie lotniczej. Znając go, nie wykluczała żadnego z tych powodów.

Zwierzaki nakarmiła i wreszcie mogła na chwilę rzucić się na kanapę. Od jakiegoś czasu bolał ją kręgosłup, a właściwie tak zwane korzonki. Tydzień temu Geńka przyprowadziła swoją sąsiadkę, która pokątnie stawiała bańki, ale to nie pomogło. Doktor Kalicki przepisał jej zastrzyki z witaminy B i czegoś tam jeszcze, ale też nie przyniosło to spodziewanych efektów. Został jej znachor z Radotek. Ponoć nie takie choroby udawało mu się wyleczyć. Pan Tazio, sąsiad z góry, twierdził, że kilka lata temu sam Gierek szukał u niego pomocy. Tak czy owak, stwierdziła, że musi się wyleczyć do podróży, bo lot jest długi, a siedzenia ponoć niezbyt wygodne. Tak w każdym razie mówił mecenas Rakowski, który kiedyś latał ilem 62M.

Zadzwoił dzwonek u drzwi. To Nowak.

– Przyniosłem ci trzy tubki pasty do zębów – zakomunikował, puszczając do niej oko.

– A na co mi tyle pasty na podróż? – zdziwiła się. – Jeśli mi zabraknie, to sobie kupię na miejscu.

Wzruszył ramionami, wyraźnie zawiedziony, że nie doceniono jego trudu, bo trzy godziny stał po nią w kolejce w drogerii, a liczba kuksańców, które w tym czasie otrzymał w brzuch, była niezliczona.

– Nic nie rozumiesz. Chcesz przewieźć zielone przez granicę czy nie? Wiesz, że nie wolno wywozić więcej niż sto dolarów, a więc resztę musisz zabrać po cichu. Tak mi mówiłaś. Zgadza się?

– Dokładnie tak. No i co z tego? Wciąż nie rozumiem, jaki to ma związek z pastą do zębów. A w ogóle to ja tej nie używam. Ona jest do dupy. Po jej użyciu zęby same wypadają.

– Spokojnie, już ci tłumaczę. Mam koleżę, który ma złote rączki. Otworzy tubki, wsunie w nie banknoty i ponownie napelni je pastą. Co ty na to? – oznajmił jej z dumą.

– Czy chcesz mi powiedzieć, że mam zawierzyć swoje dolary jakiejś złotej rączce? A jak złota rączka zwinie moją kasę? To przecież jest kupa szmalu. Za to w Pewexie kupisz zachodni telewizor, i to taki z górnej półki, taki z pilotem.

– Ja rączę za niego. Zresztą może to zrobić u ciebie. Będziesz mu cały czas patrzeć na ręce. Co ty na to? – powtórzył.

No cóż, brzmiało to sensownie i musiała przystać na tę propozycję, nie miała innego wyjścia.

– Zgoda, niech będzie. Może masz jeszcze układy w sklepie Konsum? Jeśli tak, to załatw mi kilkanaście opakowań kremu Nivea i może naszą wedłowską czekoladę albo nawet dwie. Kup też mi szynkę w puszce i paprykarz szczeciński. Co jeszcze wywozi się z kraju?

– Nie mam zielonego pojęcia, nigdy nigdzie nie wyjeżdżałem. Lepiej popytaj swoich kolegów po fachu, oni wciąż gdzieś jeżdżą, jak choćby do Jugosławii, a to jest jak wyjazd na Zachód.

– Masz rację. Tak też zrobię.

Znów rozległ się dzwonek do drzwi. Tym razem kogo wiatry przywiały?

– Niech będzie pochwalony.

Wielka kupa tłuszczu, ciężko postępując, wtoczyła się do mieszkania.

Zuza była co najmniej zdziwiona tymi odwiedzinami. Proboszcz nieczęsto ostatnio do niej zaglądał, a jeśli już, to w ważnych, niecierpiących zwłoki sprawach. Co tym razem?

– Zapraszam! Co księdza sprowadza? Pewnie lampka stocka. Mam rację?

Uśmiechnął się szeroko.

– A, nie odmówię. Tak dla zdrowotności. Ostatnio lekarz mi zdiagnozował niskie ciśnienie, co przy mojej tuszy ponoć jest rzadkością. – Spojrzał niechętnym okiem na sierżanta. – A towarzysz milicjant to ostatnio nie przyjął księdza po kołędzie. Wikary mi się skarżył. Jak trzeba było dać ślub incognito, to towarzysz milicjant wiedział, jak mnie znaleźć, a kiedy trzeba było parafię poratować, wesprzeć datkiem na remont dzwonnicy, to drzwi zamknięte na skobel i kilka kłódek.

– Znów remont dzwonnicy? Coś słabi byli ci wykonawcy. – Zuza zarechotała. Znała tę starą śpiewkę proboszcza. Dobrze pamiętała, że remont przeprowadzono kilka lat temu.

– No niestety – westchnął. – Z komunisty nigdy nie będzie dobrego fachowca. To są degeneraci, którzy po śmierci pójdą prosto do piekła i będą się smażyć w wielkich kotłach.

Zuza rozlała brandy do kieliszków i wypili.

– Wiesz co – zaczął duchowny. – Przyszedłem w konkretnej sprawie. Mogłabyś tam do tych antychrystów zawieźć walizkę różańców i świętych medalików.

– Różańców? – zdumiała się. – Na cholerę im te różańce? A w ogóle, czy to jest legalne?

– Posłuchaj. Nie o to chodzi. Pomyślałem, że zrobimy na nie zbiórkę. Rozgłosimy to po diecezji i parafianie chętnie się złożą na te podarki. Na pewno będziesz zadowolona. – Chrząknął znacząco.

No proszę, proboszcz zwęszył interes. Mało mu transportów cukru, które w ramach pomocy z Zachodu co i raz zjeżdżały na podwórko plebanii, a które później przegrywał w pokera ze znanym płockim cukiernikiem? W sumie planowała, że czymś zahandluje, ale żeby dewocjonaliami? Nie, to nie w jej stylu. Nie ma mowy.

– Chyba to kiepski pomysł. Zresztą jak ksiądz wie, to jestem niewierząca.

– Moja droga, lepiej się dobrze zastanów. Do tego nie potrzeba żarliwego katolika, wystarczy nawet taki bezbożnik jak ty. Mogę ci obiecać, że gdyby ten twój ił zrobił bęc, to ci wyprawię ostatnią posługę całkiem za darmo. Masz na to moje słowo.

– Przestańcie mnie wciąż straszyć. I tak polecę – warknęła i znów rozlała stocka. – Dzwoniłam do Lotu i wyobraźcie sobie, że mogę lecieć ze Zgagą. Ponieważ to zaproszenie od ambasadora, to ona poleci jako bagaż dyplomatyczny, i to zupełnie za darmo.

Nagle proboszcz zerwał się z fotela.

– O mój Boże. Zupełnie zapomniałem. Muszę pilnie iść z posługą. Rano dzwoniła do mnie umierająca parafianka i chciała ostatni sakrament. Nie miałem czasu, więc obiecała poczekać z umieraniem do popołudnia. Bardzo miło z jej strony. To już chyba trzeci raz w tym miesiącu.

– Co trzeci raz? – zdumiała się Zuza.

– No, trzeci raz umiera. Za każdym razem dostaję od niej okazałą ofiarę na kościół. Trudno tym wzgardzić, tym bardziej w tak trudnych czasach. Tylko ta jej rodzina jakoś źle na mnie patrzy. Boję się, że kiedyś mnie spuszcza z schodów.

– Nie dziwię im się – mruknęła pod nosem.

Mariański wpadł do domu niczym bomba.

– Grażyna, lecę do Kuby! Szykuj mi walówkę na podróż.

Z kuchni wyrzesa Mariańska, kobieta tak jak i mąż pokaźnej tuszy. Była ubrana w różową podomkę, na głowie miała papiloty.

– Gdzie ty jedziesz? To przecież niebezpieczne!

– Spokojnie, mam tetetkę. Nie wiesz przypadkiem, co tam się bierze? Opara mi mówił, że powinienem wziąć ze dwa pęta kielbasy, kilka słoików smalcu, no i gorzałkę, najlepiej ze dwa litry.

– Mój Boże. Zygmunt, chcesz mnie zostawić? Com ci winna?

– Nie mów tak, bo ktoś usłyszy. Chyba mówiłem ci, że lecę, ale wrócę. To tajna misja, coś jak kapitan Kloss.

– Ach, Zygmus. – Mariańska z uwielbieniem spojrzała na Zygmunta. – Tak jak on będziesz walczył z Niemcami?  
– Czyś ty głupia? Wojna się skończyła. Teraz walczy się z imperialistami. Więcej nie pytaj, bo to tajemnica państwowa – rzekł, robiąc tajemniczą minę.

Zadzwoił telefon.

– Tak?

– Macie się natychmiast zameldować u pułkownika.

– Tak jest! Zaraz będę.

Odłożył słuchawkę i zaczął dopinać mundur. Żona wciąż stała w progu kuchni i mu się przypatrywała.

– A nie mógłbyś jechać radiowozem? To bezpieczniejsze niż samolot. Pamiętasz, co stało się z tą piosenkarką?

– Chciałem, ale się nie zgodzili, pewnie były problemy z kartkami na benzynę, bo to daleko. U nas to by jakoś dało radę, ale w innych krajach? Nie wiem, czy u takich Niemców to dają kartki na paliwo obcokrajowcom.

– No tak, pewnie nie dają. – Mariańska pokiwała smętnie głową i wróciła do gotowania.

– Wejść!

Mariański wszedł do gabinetu pułkownika i wyprężył się jak struna.

– Kapitan Mariański melduje się!

– Siadajcie, tylko ostrożnie. Bo po was to tylko gruzowisko. – Zwierzchnik wskazał mu krzesło. – Już przetrawiliście wasz wyjazd?

– Tak jest, towarzyszu! Nie zawiedziecie się na mnie. Wykonam tę tajną misję ku chwale ojczyzny.

– Przestańcie z tą chwałą. Macie tylko nie spuszczać z oczu obywatelki Lewandowskiej, pisać raporty i nic więcej. Po dłuższym przemyśleniu postanowiliśmy dać wam pomocnika. Zresztą góra na to mocno naciskała.

– Pomocnika?

– Dokładnie tak. Pojedzie z wami kapral Opara. Tak jak wy będzie miał na wszystko oko.

– A na co mi on? To idiota!

– Macie rację, tak jak i wy. Będzie do pomocy, zawsze co dwie głowy, to nie jedna. Tym bardziej że u was obu z myśleniem jest nie za dobrze. A teraz możecie już iść, mamy sporo roboty. Aha, jeszcze jedno. W wydziale paszportowym macie odebrać paszport i zanieść go do naszej sekretarki, ona wam wykupi bilet na samolot i załatwi wizę. Tylko pamiętajcie, nie możecie się spóźnić na lot, bo samolot nie będzie na was czekać. Jesteście wolni!

– Tak jest!

Mariański dźwignął się z krzesła i pośpiesznie opuścił pokój. Był wściekły, bo na co mu Opara? Słyszał, że ponoć jesienią ma dostać skierowanie do szkoły podchorążych milicji. Sukinsynowi zachciało się awansów. Może ta gnida jeszcze zostanie oficerem i go wygrzyzie. Musi tam w Kubie mieć i na niego oko i jak się da, to mu w raportach dojebywać.

Wychodząc z komendy, zobaczył na ulicy Lewandowską. Szła z aplikantką. Tej młodej dziwce też trzeba się przyrzec, bo coś czuje, że za kilka lat to i z nią będą kłopoty. Jest równie krnąbrna jak jej szefowa. Nie chciał, żeby go zauważyły, więc szybko założył ogromne słoneczne okulary, skrywając za nimi swoją wielką niczym patelnia, paskudną gębę. Przeszły koło niego i go nie zauważyły. Od razu poczuł się lepiej. Musi te okulary zabrać na wyjazd, będzie ich używał do śledzenia Lewandowskiej. Oparze nie podpowie tego pomysłu, niech ma trudniej, a w ogóle to niech mu się noga powinie.

Dzień wyjazdu zbliżał się wielkimi krokami. Napięcie rosło. Nowak wraz z Kowalskim i Jolką urządzili Zuzie przyjęcie pożegnalne. Myśleli, że się ucieszy, ale ona się tylko wściekła, bo nie lubiła pożegnań, a na dodatek była ciut za-bobonna. Mariański natomiast udał się z kilkoma kolegami z milicji „Pod strzechę” i upili się do nieprzytomności. Opara musiał ich później radiowozem rozwieźć do domów. On nie pił i to nie dlatego, że miał być ich kierowcą, ale jako kapral nie dostąpił zaszczytu chłania razem z oficerami.

W dzień odlotu padało od samego rana. Nowak stwierdził, że Płock płacze za Zuzą, i tylko ją tym rozwścieczył.

– Kurwa mać. Przecież żyję! Nie łudź się, wrócę i jeszcze dam wam wszystkim popalić.

Wrzód wylądował na plebani, a Borys został pod opieką Geñki i Jolki. Teraz Zuzą mogła spokojnie opuścić Płock i udać się w podróż życia, jak nazwała tę egzotyczną eskapadę. Zapakowali się do taksówki, ona na przednie siedzenie obok kierowcy, a klatka ze Zgagą powędrowała na tył pojazdu razem z Nowakiem i proboszczem. Walizki znalazły swoje miejsce w bagażniku.

Rozpoczął się pierwszy etap podróży. Zuza jechała w milczeniu, bardzo wszystkim podekscytowana. Zgadze się to też udzieliło, ale zareagowała zupełnie inaczej, wierciła się nerwowo i co chwila ku utraپieniu księdza wykrzykiwała:

– Kuuurwa maaać! Preecz z koomuną! Kooocham! Kooocham!

A na koniec zaczęła nucić *Międzynarodówkę*.

– Może woda święcona by pomogła? A może egzorcyzmy? – głośno się zastanawiał, zerkając na papugę, duchowny.

– Nie lepiej łeb jej ukreć? – wtrącił się kierowca. – Po co ten kłopot?

– Co to to nie! Tylko spróbujcie ją tknąć, a sama wam łby pourywał i nie tylko je – warknęła Zuza. – A w ogóle to odpieprzcie się od niej, ona też się denerwuje. W końcu leci w swoje rodzinne strony.

– A to ary żyją na Kubie? Nie wiedziałem – zdziwił się Nowak.

– Oj, Nowak, skoro tam jest ciepło jak w piekarniku, to pewnie są i papugi.

– Słyszałem tylko, że Kubanki są ładne.

– A o tym to słyszałeś. Znów zachciało ci się odmiany? – zakpiła. – Mało ci było tej pensjonariuszki z sanatorium? Jak ona miała na imię, bo nie pamiętam?

– Przestań – warknęła na nią.

W końcu dojechali na Okęcie i dobrze, bo jeszcze pół godziny jazdy i by się chyba pobili. Zuza z kłatką w dłoni weszła jako pierwsza do terminalu, za nią człapał proboszcz z mniejszą walizką, a drugą, tę cięższą, dźwigał sierżant.

Zatrzymali się przed bramką do odprawy paszportowej. Dalej mogli iść tylko pasażerowie.

Nagle Nowak wyciągnął przed siebie rękę i zaczął coś wskazywać palcem. Jego mina wyrażała wielkie zdumienie.

– To przecież Mariański – wydukał z trudem.

Spojrzeli w tamtym kierunku. Stał tam gruby mężczyzna w słomkowym kapeluszu naciśniętym aż po uszy i w wielkich słonecznych okularach zasłaniających mu pół twarzy. Był ubrany w pasiastą koszulę i krótkie spodnie o podobnym wzorze. Wyglądał, jakby przybył na lotnisko w piżamie. Wypisz wymaluj kapitan. Na dodatek na stopach miał podkolanówki, a na nich sandały. Za nim w kolejce do nadania bagażu zauważyli następną znajomą twarz. To przecież nikt inny, tylko kapral Opara.

– A oni skąd tutaj? – Proboszcz nie krył zaskoczenia. – Prędzej bym się diabła spodziewał. Może przyjechali pożegnać panią mecenas?

Zuza się roześmiała.

– Jak to skąd? Ja wcale nie jestem zaskoczona. Byłoby dziwne, żeby mnie tak samą wypuścili. Pewnie mają za zadanie szpiegować mnie i pisać codzienne raporty na mój temat.

– Mnie nigdy nigdzie nie wysłali, nawet nad nasze morze – rzekł Nowak, nie kryjąc zazdrości.

– Nie byłeś tak inteligentny jak Mariański i to cała tajemnica. – Zarechotała. – Poczekajcie tu chwilę. – szepnęła do nich i się oddaliła. Podeszła do jednego z wopistów i coś mu powiedziała do ucha. Efekt był natychmiastowy. Żołnierz zniknął za jakimiś drzwiami, a po chwili rozpełtało się prawdziwe piekło. Trzech pograniczników otoczyło Mariańskiego. W dłoniach dzierżyli kałasznikowy, a ich lufy skierowali na kapitana. Nie ceregielili się, tylko wypchnęli go z kolejki i szamoczącego się z nimi zaprowadzili gdzieś na zaplecze. Za nimi szedł wopista, po drodze zakładając na dłoń gumowe rękawiczki.

Nowak puścił oko w stronę Zuzy.

– Czy to to, o czym myślę? Załatwiłaś mu badanie?

– Dokładnie to, i to za darmo. – Uśmiechnęła się szeroko. – Zaraz będą mu w dupie szukać trotylu. To nie będzie dla tego wieprza i jego przydupasa wyjazd turystyczny. To wam obiecuję. Postaram się umilić im życie tak, że na słowo „Kuba” ciarki będą im przechodzić przez kręgosłupy. Dajcie walizki, muszę się odprawić. Czas na wielką przygodę. Czas ją zacząć!

Uścisnęła ich serdecznie i objuczona bagażami niczym wielbłąd weszła do strefy przeznaczonej tylko dla odlatujących. Poszło sprawnie, walizy bez sprawdzania pomknęły do luku bagażowego, a ona sama z kłatką w ręku poszła do Baltony, sklepu w strefie bezcłowej, zrealizować bardzo ważny plan, czyli zakupić zapas stocka na jej cały pobyt. Od razu patrząc na półki, zorientowała się, że to był genialny pomysł, bo był tu dużo tańszy niż w płockich delikatesach.

Brzęcząc butelkami w siatce, ruszyła w stronę bramki. Zgaga, o dziwo, milczała. Siedziała na drążku, zamknęła lewe oko, a prawym rozglądała się ciekawie. Chyba była nieźle wystraszona.

Zuza ustawiła się grzecznie w kolejce, przed nią stał Mariański, oddzielało ich czterech innych pasażerów. Cały czas nie spuszczała go z oczu. Widziała, jak kapitan wciąż się drapie w tyłek. Dobrze tak temu sukinsynowi.

Wspinając się po schodkach do samolotu, Mariański na kilka minut je zablokował. Przewoźnik najwyraźniej nie przewidział ich dla tak grubych pasażerów. Oby tylko nie miał miejsca tuż obok mnie, pomyślała Zuza ze strachem, bo abstrahując od ich wzajemnych relacji, długa podróż z sąsiadem o tak obfitych kształtach to byłby dla niej prawdziwy horror.

W wejściu do ła pasażerów witała stewardesa, śliczna długonoga dziewczyna. Widząc Zgagę, uśmiechnęła się do niej przyjaźnie i nim Zuza zdążyła zareagować, wsadziła palec do klatki. To był jej wielki błąd. Zgaga nigdy nie marnowała takich okazji. Jej reakcja była piorunująca. Dziób papugi trafił w cel idealnie. Rozległ się krzyk i stewardesa załapała się krwią.

– Przepraszam – bąknęła Zuza. – Nie zdążyłam pani ostrzec, ona wszystkich dziobie, nawet mnie. O, tu proszę zobaczyć.

Zademonstrowała jej kilka sporych blizn na dłoniach.

– Nic się nie stało. To moja wina. – Dziewczyna robiła dobrą minę do złej gry. – Mam nadzieję, że nie ma wściekliczyny?

– Ptaki na nią nie chorują, ale są inne gorsze choroby. Na przykład ten grubas w słomkowym kapeluszu – wskazała Mariańskiego – choruje na brak mózgu. Matka podczas porodu z bólu tak zacisnęła uda, że mu go nimi wycisnęła jak się wyciska pestki z wiśni.

– Zna go pani?

– Niestety, aż za dobrze.

– Dziiiwka! – wydarła się Zgaga.

– Zamknij się, cholero, wstyd mi przynosisz! – zrugala ją Zuza.

– Proszę przechodzić dalej, proszę zajmować swoje miejsca. – Stewardesa zwróciła się do innych pasażerów, po czym poszła na przód samolotu, zapewne żeby opatrzyć ranę.

Ił się powoli zapelniał, a po godzinie odstawiono schodki, zamknięto drzwi i samolot zaczął kołować na pas startowy.

Zuza była tym bardzo podekscytowana, tyle słyszała o lataniu, ale to był jej pierwszy raz i czuła się jak dziewczyna, chciała, ale się cholernie bała. Zresztą nie była w tym odosobniona.

Miejsca obok niej zajęli młodzi ludzie, cały czas głupekowato się śmiali, pewnie w ten sposób swój strach nadrabiali dobrą miną. Może to był i niegłupi pomysł na rozładowanie napięcia. Ona sama jedynie zamknęła oczy i myślała o swoim zwierzyńcu. W razie awarii Borysa przygarnie Jolka, Wrzoda proboszcz, a Zgagę wypuści z klatki, nim samolot rąbnie w ziemię, więc powinna sobie dać radę. Gorzej, jak spadną do oceanu, bo wtedy papuga sobie nie poradzi, skoro nie umie pływać. Słyszała coraz głośniejszy ryk silników, ruszyli, nagle poczuła, jak jakaś siła wciska ją w fotel, krajobraz za oknem przemykał coraz szybciej i szybciej, aż w końcu ił ociążałe oderwał się od płyty lotniska. Jeszcze kilka minut wznoszenia było stresujące, a potem wszystko się uspokoiło. Teraz przed nimi wiele godzin lotu. Zuza była na to przygotowana i wzięła w podróż kilka książek. Wyjęła jedną z nich, ale ledwie ją otworzyła, zmorzył ją sen. Nic dziwnego, ze stresu nie spała całą noc.

Obudziła ją jakaś awantura w przodzie samolotu. Od razu poznała głos Mariańskiego, kłócił się ze stewardesą, a poszło o alkohol. Był w cenie biletu, ale w ograniczonej ilości, tymczasem on żądał kolejnej porcji. Był już nieźle podchmielony, lecz wciąż było mu mało. Opara starał się go pohamować, z mizernym rezultatem. W końcu zjawił się dowódca samolotu. Dopiero jemu jakoś udało się poskromić agresywnego pasażera. Mariański wstał z fotela i chwiejnym krokiem udał się do ubikacji. Wszyscy pasażerowie odetchnęli z ulgą, ale, jak się okazało, przedwcześnie, bowiem kapitan tam utknął, i to dosłownie. Drzwi nie wiadomo czemu się zaklinowały i nie można ich było otworzyć. Zuza akurat to nie zdziwiło, bo zawsze uważała, że wszystko, co ruskie, to gówniany szajs. Mariański zaś miał w tej materii zupełnie inne zdanie i wykrzykiwał, że to było celowe, że samolotem lecą kapitalistyczni dywersanci, że wszystko opisze w swoich raportach. Dopiero w połowie lotu stewardesy zdołały go uwolnić z tej zaszrannej pułapki. Mariański w końcu wrócił na swoje miejsce i od razu zasnął kamiennym snem, co skutkowało głośnym chrapaniem połączonym z pogwizdywaniem. To była okropna podróż, a to przez ciągle turbulencje szarpiące samolotem oraz walkę z niesfornym, a na dodatek pijanym pasażerem i dlatego wszyscy czekali na lądowanie z utęsknieniem, choć i z dużym niepokojem.

Zuza, tak jak i inni pasażerowie, dobrze pamiętała, że ił, w którym zginęła Anna Jantar, rozbił się właśnie podczas lądowania, i stąd te nerwy.

Pierwsze symptomy tego manewru Zuza zaczęła odczuwać jeszcze wysoko w chmurach. Pojawiły się dziwne szumy w uszach, następnie silny ból bębenków, a później już było po wszystkim, bo koła dotknęły płyty lotniska w Hawanie. Tym razem się udało. Po kilku minutach do ła podstawiono schody i wreszcie mogli opuścić samolot.

## KUBA

O d razu po wyjściu z samolotu Zuza uderzył powiew gorącego powietrza. Poczwała się dosłownie, jakby wsadziła głowę do rozgrzanego piekarnika. Trochę tym oszołomiona, szła razem z główną grupą pasażerów do autokaru, który następnie podwiózł ich pod drzwi terminalu. Długo trwało, nim wreszcie dostała swój bagaż. Na pewno zeszło jej na czekaniu co najmniej godzinę. Na szczęście nikt jej nie zajrzał do walizek, bo trwałoby to jeszcze dłużej. Bała się tej kontroli jak ognia, bo podczas podróży sporo się nasłuchiwała na temat surowości tutejszych celników. Oni tym razem skupili się na wciąż awanturującym się Mariańskim, który dalej uważał, że jako kapitan milicji nawet w sztok pijany będzie tu na specjalnych prawach. I znów się doigrał, i znów wyprowadzili go do jakiegoś pomieszczenia, a ostatni z idących za nim celników naciągał na dłonie gumowe rękawiczki.

Cholera, może on to lubi, zaczęła się zastanawiać, no bo jak to inaczej racjonalnie wytłumaczyć?

– Siostra! Moja siostra! – Usłyszała znajomy głos. Eduardo stał naprzeciw niej z bukietem jakichś egzotycznych kwiatów w dłoni. Jak zwykle dżentelmen całą gębą.

– Eduardo!

Zuza postawiła kłatkę na posadzce i rzucili się sobie w ramiona.

– Siostra, ja się cieszyć, że cię widzieć! Ja ciebie zawieźć do hotelu. Ty wypocząć i ty poznać nasza rodzina. Ja się nie móc doczekać!

– Kooocham Eduuuuardo! Eduuuuardo to chuuuuuuj! Preeeecz z kooomuną! – rozwrzeszczała się nagle Zgaga.

Dopiero teraz ją zobaczył. Schylił się do klatki.

– Ty też przylecieć? Jak ja się cieszyć! Ty wrócić do swoja ojczyzna. Na Kubie być siedemnaście gatunek ary. Ty mieć wielkie szczęście!

Otworzył kłatkę. Wtedy papuga zeskoczyła z drążka i położyła się na grzbiecie, czekając na pieszczoty.

Zuza patrzyła na to trochę z zazdrością, bo nigdy między nią a Zgagą nie było aż takiej więzi, takiego spoufalania się. Raczej zawsze podchodziły do siebie z pewnym dystansem.

Eduardo chwilę popieścił papugę, po czym na powrót zamknął kłatkę.

– *José, maletas!* – krzyknął w stronę chudego подростka, tak jak on czarnoskórego. Tamten ochoczo podbiegł do nich.

– José, to syn moja kuzynka Dolores. Ty ją niebawem poznać. Ona dużo słyszeć o tobie i nie może się ciebie doczekać.

Chłopak chwycił walizki i ruszyli razem w stronę wyjścia z terminalu prowadzeni skorodowanymi tabliczkami z napisem *Salida*. Zgaga w tym czasie cały czas nuciła im *Międzynarodówkę*, co się spotkało z entuzjastycznymi reakcjami mijanych przez nich Kubańczyków.

Wyszli przed budynek. Zuza pierwszy raz widziała palmy, wielkie strelacje i bananowce w ich naturalnym środowisku. Wcześniej oglądała je tylko w poznańskiej palmiarni, ale tamte to było coś zupełnie innego, jedynie marna namiastka prawdziwej przyrody. Stała i nie mogła oczu tym wszystkim nacieszyć. Ale tu pięknie!

– Eduardo, czy to słynna palma królewska? – Wskazała palcem dorodne drzewo.

– Tak, Zuza, ona być najpiękniejsza z palm na świecie – odparł z dumą w głosie i poprowadził ich do wielkiej czerwonej amerykańskiej limuzyny. Zuza patrzyła na auto ze zdumieniem, było tak ogromne, że w Polsce miałyby problem z poruszaniem się na drogach. Było na nie dużo za szerokie i za długie.

– To twój samochód? – wydukała.

Roześmiał się w głos. Jak mogła w ogóle tak pomyśleć?

– Zuza, czy ja wyglądać na bogaty? To pożyczony od moja wuja Diego, ty go poznać na moja wesela. To amerykański buick, to jeszcze z czasów Batista. To być zły człowieka. On być dyktatora.

Jak ten wasz Castro, pomyślała, ale wołała to przemilczeć.

W chwilę potem zatopili się w białych skórzanych kanapach silnie przesiąkniętych zapachem kubańskiego tytoniu. Eduardo usiadł za kierownicą, założył słoneczne okulary i próbował uruchomić silnik. On jednak tak łatwo nie zamierzał mu się poddać. Okazał się uparty niczym osioł. W końcu Eduardo otworzył okno i krzyknął coś po hisz-

pańsku do kilku mężczyzn stojących na chodniku tuż obok i o czymś gorąco dyskutujących. Ci od razu podeszli od tyłu do auta i zaczęli je pchać. Dopiero wtedy silnik zaskoczył i mogli ruszyć w drogę. José włączył radio, a tam gorące latynoskie rytmy, *Guantanamera*, słynna piosenka, którą i w Polsce chyba wszyscy znali. Zuza była zachwycona, a to były dopiero pierwsze minuty jej pobytu na Kubie.

Jechali do centrum Hawany. Ruch był nieduży, a prawie wszystkie mijane przez nich samochody to były wielkie amerykańskie krążowniki szos. Widzieli też ryksze, co zdziwiło Zuzę niepomierne, bo od zawsze kojarzyła je z krajami azjatyckimi. Eduardo ze schowka umieszczonego między siedzeniami wyjął pudełko z cygarami i jej podał.

– Siostra, zapal, to prawdziwy rarytas. Ja go kupić, no wiesz, na czarny rynek. – Znacząco puścił do niej oko.

Kochany Eduardo, trzeba powiedzieć, że wiedział, jak ją podejść. Zapaliła cygaro, w tle z głośnika radia zaczęły dobiegać jazzowe kawałki, a oni mknęli szeroką aleją wśród wspaniałych palm królewskich. Czego mogła chcieć więcej? Chyba tylko widoku Mariańskiego rozjechanego na miazgę przez jakąś kubańską limuzynę.

Prawdziwy raj na ziemi. Dopiero teraz zaczęła rozumieć entuzjazm Eduarda, kiedy opowiadał jej o swojej wyspie. Nawet ponury cień komunizmu, który Castro i jego ludzie rzucili na Kubę, nie był w stanie zabić tej miłości. Ta podróż mogła trwać w nieskończoność, ale tak się nie stało. W końcu zajechali przed hotel, majestatyczny budynek w stylu neokolonialnym skrzyżowanym z neomauretańskim, z wielkim neonem na froncie „Nacional de Cuba”.

– To jest nasz najlepszy hotel. Tu zatrzymywali się głównie politycy i zagraniczni goście. Tu pracowała kuzynka moja mama. Ona załatwiła pokój. Inaczej on kosztowałby fortunę – oświadczył jej Eduardo z dumą w głosie.

– Ilu ty masz kuzynów? Gdzie nie spojrzysz, tam pracuje ktoś z twojej rodziny – odparła ze śmiechem, wysiadając z samochodu. Obok hotelu dojrzała dwie stare armaty stojące nieopodal głównego wejścia, pewnie pamiątki jeszcze z czasów hiszpańskiego kolonializmu.

Będzie z czego przywalić Mariańskiemu, pomyślała i na samą myśl, że kapitan przyklejony do wielkiej żelaznej kuli armatniej mknie w kosmos niczym baron Münchhausen, uśmiechnęła się sama do siebie. To byłby przezbawny widok.

– Mam sporo kuzyna, bo my tu na Kuba wciąż się kochać, to i duża rodzina. Idziemy, kuzynka czekać na nas.

Eduardo wraz z José chwycili walizki i ruszyli przodem, Zuza podreptała zaraz za nimi.

Weszli do budynku tylnym wejściem. Tam już czekała na nich młoda, ładna dziewczyna o latynoskich rysach twarzy, dużych czarnych niczym węgliki oczach i długich kasztanowych włosach związanych w kitkę.

– To jest Gabriela, ona wie, że ty nie znasz język hiszpański, ona mówi do ciebie rękoma lub ja tłumaczy.

– ¡Buenos días! – Tamta przywitała się uściskiem ręki, po czym poprowadziła ich korytarzem do windy. Pojechali nią na czwarte piętro. Pokój był nieduży, z widokiem na morze. Co ważne, był bardzo czysty.

– Teraz ja cię zostawię i przyjechać wieczorem – oznajmił jej Eduardo i wraz ze swoimi kuzynami opuścił pokój, zostawiając Zuzę na pastwę Zgagi, która wyraźnie się rozkręciła.

– Preeeeecz z komuuuuuną! Caaaastro too paaalant! Zuuuza koooocham ciiię!

Mariański podciągnął spodnie, zapiął pasek, z wściekłością chwycił walizki, po czym poczłapał do wyjścia z terminalu. Za nim, niczym jego pies, podążał Opara ze swoimi bagażami. Szli w milczeniu. Kapitan w duchu przeklinał ten wyjazd, a kapral cieszył się z kłopotów przełożonego, tym bardziej że nigdy go nie lubił.

Wyszli przed budynek i rozejrzeli się bezradnie. Co dalej mają czynić, bo Lewandowską dawno już zgubili... Trzeba udać się do ambasady po wskazówki.

– Kurwa mać, ale tu gorąco – jęknął kapitan, wyciągając chustkę z kieszeni, żeby wytrzeć spocone czoło. – Idźcie do taksówki i spytajcie, ile kosztuje kurs do centrum miasta – rozkazał Oparze.

– Ale jak mam się z nimi porozumieć? Nie znam kubańskiego.

– My też nie znamy. Pogłówkujcie. Jak słyszeliśmy, chcecie być oficerem, to chyba dacie radę – zakpił z niego Mariański.

– Kurwa mać. By go szlag! – zaklął cicho pod nosem kapral i podszedł do taksówki. Zaczął coś dukać po polsku, jednocześnie wspomagając się gestami dłoni.

Wrócił po dłuższej chwili.

– Taksówka kosztuje dziesięć dolarów, ale możemy pojechać rykszą, jest dużo tańsza, bo dwa dolary.

Mariański zerknął do portmonetki.

– Ale to od chuja pieniędzy. A czemu nie chcę pesos?

Opara wzruszył ramionami.

– Skąd mogę wiedzieć? To co robimy?

– Pojedziemy tą rekszą.

– Rykszą.  
– Chyba wiem, co mówię, rekszą. Które to?  
– No te. – Kapral wskazał mu kilka pojazdów, trochę przypominających bryczkę i napędzanych siłą ludzkich mięśni.  
– Toć to gorsze od furmanki i tym mamy jechać?  
– Możecie iść piechotą, ale to ponad piętnaście kilometrów. Możemy pojechać autobusem, ale tam ciasnota okropna i potworny upał, a wy przy swojej tuszy...  
– Co macie do mojej tuszy, kapralu? – Mariański spojrzał na niego z wściekłością.  
– Nic takiego, ale byłoby wam niewygodnie. Może wy pojedziecie rykszą, a ja autobusem. Tak będzie najtaniej.  
– Dobry pomysł. Macie też moje bagaże. To będzie jeszcze taniej.  
Kapitan zostawił walizki i rażnym jak na niego krokiem ruszył w stronę rykszy.  
Zdumiony Opara został ze stosem bagażu.  
– Sukinsyn. By go chuj strzelił – zaklął. No bo jak miał się teraz zabrać z czterema walizkami? Nie było innej rady, tylko musiał poprosić o pomoc chłopca stojącego nieopodal niego, który jednak nie zamierzał targać waliz kapitana za darmo i zażądał za to zapłaty.

W autobusie był tłum niehumanoidalny, dziesiątki spoconych pach, ale co ważne, opłatę przyjmowano w pesos. Walizki powędrowały na dach pojazdu i ruszyli w drogę. W radiu słychać było jakieś przemówienie, pewnie to ich przywódca, bo wszyscy słuchali go w skupieniu. Może w połowie drogi minęli rykszę, w której podróżował Mariański. Jechała bardzo wolno, wyciskając z kierowcy ostatnie poty, co nie było dziwne przy wadze kapitana. Pewnie rykszarz kłął w duchu ten kurs, i to w żywe kamienie.

Po dwóch godzinach Mariański i Opara zjawili się w polskiej ambasadzie. Attaché kulturalny wręczył im po dziesięć dolarów amerykańskich i kartkę z adresem hotelu, gdzie mieli się zatrzymać. Żądano za to raportów, a pierwszy miał być natychmiast. Mariański ucieszył się, widząc maszynę do pisania, bo w razie czego winę za błędy zwali na nią. Wkręcił w nią papier i palcem wskazującym zaczął naciskać na klawisze.

#### Tajny raport w Kuba

Dzisiaj pierwszy dzień wykonywaliśmy tajno misje. W samolocie obywatelka Lewandowska zahowywała się nawet spokojnie, ale jej ptak wykazykiwał antypaństwowe chasła. Na pewno to ona jom namuwiła czym wywołała zgorzienie wśród innych pasażerów. Na lotnisku czekał na nią murzyn który w Polsce podaje się za jej brata. Coś szeptał jej do ucha i jak raportował kapral Opara oddalili się w kierunku takiego auta, że takiego to on na oczy nie widział.

Oddał raport i z walizkami w dłoniach opuścili ambasadę, kierując się w stronę hotelu Nacional de Cuba. Po drodze złapali rykszę i nią pokonali większą część trasy.

Mariański stanął przed wejściem do hotelu i ze zdumieniem patrzył na budynek.

– Ja pierdole, ale on wielki! Toć on kilka razy większy od płockiego Petropolu. I jak tu wytropić tę sukę Lewandowską?

Weszli do środka i od razu obsługa chciała przejąć ich walizki. Mariański zaczął się z nimi szarpać, myśląc, że to złodzieje.

– Puść to, do cholery! – krzyczał przy tym.

– Towarzyszu kapitanie, oni chcą nam pomóc – wtrącił się kapral.

Gdyby nie to, że Opara się zorientował w sytuacji, pewnie by doszło do rękoczynów.

W końcu wyrwano im bagaż z rąk i zaprowadzono ich do recepcji.

– ¡Buenos días! – Recepcjonista uśmiechał się do nich, szczerząc śnieżnobiałe zęby.

– My tu mamy pokój – rzekł Mariański po polsku.

– ¡No entiendo! – Recepcjonista popatrzył na nich zdziwiony.

Bezradnie spojrzeli po sobie. Nagle Oparze coś zaświtało. Przecież attaché dał im kartkę, którą mieli pokazać w hotelu.

Podał ją Kubańczykowi, ten zerknął na nią i ponownie szeroki uśmiech zagościł na jego twarzy.

– *Pasaporte.*



To zrozumieli i zgodnie wyciągnęli dokumenty z kieszeni. Kazano im na formularzach hotelowych złożyć podpisy i otrzymali klucze. Na migi poinformowano ich, na które piętro mają się udać. Mariański z tego nic nie pojął. Z głupkowatą miną patrzył niczym sroka w gnat na wyprostowane palce recepcjonisty. Opara ponownie wykazał się lotniejszym umysłem i ruszył przodem do windy, a kapitan rad nierad podążył za nim.

– Czy mnie oczy nie mylą? Mój słodziutki Zygmus? Co ty, kochanieńki, tu robisz?

Kapitan usłyszał za pleców znajomy kobiecy głos. Staął jak zamurowany. Przecież to jest niemożliwe. Odwrócił się, przetarł dłońią oczy i wciąż nie wierzył. Tak, dobrze widział, to Pawłowicz, i to we własnej osobie. Prędkiej by się tu ducha spodziewał aniżeli tej suki. Towarzyszył jej masywny, wysoki mężczyzna w zbliżonym do niej wieku. Trzymał w zębach cygaro i wciąż się uśmiechał.

– Wy tu? – wydukał kapitan. – To niemożliwe.

– Możliwe, możliwe. Jestem tu na wakacjach, a ty, mój słodki cukiereczku? Do dziś wspominam nasze wspólne chwile uniesienia. Kto wie, może da się to powtórzyć.

Jego twarz pokryła się purpurą.

– Niedoczekanie wasze! Jesteście przestępca i was aresztujemy. Opara, zakuj ją.

Pawłowicz parsknęła mu śmiechem prosto w nos.

– Ty, mój kochanieńki, jesteś tu tylko turystą, nikim więcej, i do tego z bloku wschodniego, ze strefy cuchnącego zgniętego rubla, zaś ja jestem turystką dolarową z Zachodu. Tu mi się kłaniają w pas i nie myśl, że ktoś się odważy mnie aresztować. Które piętro? – spytała szyderczym głosem.

– Czwarte – odburknął Opara.

– To świetnie, bo to jak my. Jesteśmy sąsiadami. Jakże się cieszę.

– Jesteście zabójcą, powinniście wisieć – warknęła Mariański, rzucając jej nienawistne spojrzenia.

– No proszę, odezwał się świętoszek. Kto by pomyślał. A co się stało z jakimś Baryłą, towarzyszu kapitanie? Coście mu zrobili? Słyszałam, że skończył w Wiśle z kulka w głowie. Czy to prawda?

Mariański zbladł. To była jedna z jego największych tajemnic.

– Skąd wiecie o Baryle? Gadacie bzdury! Nie wiem, co się z nim stało. Może uciekł na Zachód, tak samo jak wy.

– Dobre. Nie jestem naiwna, czytałam wasze akta osobowe i potrafię wyciągać wnioski. To jest bardzo ciekawa lektura. Do zobaczenia.

Akurat winda się zatrzymała i Pawłowicz wytoczyła się na korytarz, a jej towarzysz pospiesznie podążył za nią.

Opara chwycił swoje walizy, kapitan swoje i też opuścili windę.

– O co chodzi z tym Baryłą? – spytał kapral.

– Łże suka. Musimy ją aresztować i zawieźć do naszej ambasady. Ona jest przestępcą. – Mariański szybko zmieniał temat.

– Ale jak chcecie to zrobić? Jesteśmy za granicą. Tu nie możemy jej tak sobie aresztować.

– Jeszcze nie wiemy, ale coś wymyślimy. Teraz prowadźcie nas do naszego pokoju.

Słońce zachodziło, ale w powietrzu wciąż czuć było gorące powietrze. Zuza siedziała na balkonie, patrzyła na ocean, paliła cygaro i szączyła stocka, kiedy ktoś zapukał do drzwi. To przyszedł Eduardo.

– Siostra, ty teraz jechać ze mną, ty poznać nasza rodzina.

– Już? Muszę najpierw umyć włosy, zrobić makijaż. No wiesz, te typowe kobiece czynności.

– Siostra, ty być piękna kobieta, ty nic nie musisz. Ty ze mną jechać.

– Dobra, ale daj mi chwilę na przebranie – ustąpiła mu, choć niechętnie.

Po kwadransie zjechali windą na dół, wsiedli do buicka i pomknęli wąskimi uliczkami starego miasta. Zuza z ciekawością obserwowała nocne życie Hawany, wszędzie gdziekolwiek spojrzeć było pełno ludzi, spacerowali, siedzieli na stołeczkach przed swoimi bardzo zaniedbanymi kamieniczkami, grali w warcaby, szachy i domino, okupowali stoliki w knajpkach, z których dochodziły gorące latynoskie rytmy. Zdumiała ją plakaty z podobizną Fidela Castro, były właściwie wszędzie. Na ścianach, słupach, w witrynach sklepów. Zdarzały się jeszcze portrety Guevary, ale dużo rzadziej. Zatrzymali się przed jedną z takich kamieniczek. Tak jak większość z nich wymagała gruntownego remontu –

sypiący się tynk, rozpadająca się stolarka.

– To tu, siostra. Tu mieszkać moja rodzina.

Wysiedli z samochodu i od razu otoczyła ich chmara dzieciaków. Palcami pokazywały sobie Zgagę, której najwyraźniej to się nie podobało i krzyczała:

– Paaalanty! Preeecz z kooomuną!

– O co im chodzi? Nie widzieli papugi? Ponoć jest ich tu pełno? – spytała Zuza, kompletnie zdezorientowana ich zachowaniem.

– To nie to, siostra. Tu papugi żyją na wolności, tu nikt ich nie zamyka w klatkach. Chodź za mną, rodzina czekać.

Weszli do budynku i później wspięli się na piętro mocno sfatygowanymi drewnianymi schodami, okropnie skrzyjącyymi, a momentami zarywającymi się. Tu trzeba było bardzo uważać, stawiając każdy krok, żeby z nich nie spaść.

Mieszkanie było okropnie zagracone. Zuza zwróciła uwagę na to, że w oknach nie było szyb, tylko same rolety, a od zewnątrz okiennice. Coś takiego jej się zupełnie w głowie nie mieściło. Wąskim przedpokojem przeszli dalej do salonu. Tu na kanapie i krzesłach zgromadziło się kilkanaście osób w najprzeróżniejszym wieku, od niemowlaka po starszą kobietę, która przykryta grubym pledem siedziała na bujanym fotelu. To pewnie matka Eduarda. To ona wpadła w oko Ambrożemu, to z nią spłodził syna. Kobieta spała. Eduardo przedstawił jej wszystkich po kolei. Byli bardzo przyjaźnie do niej nastawieni, uśmiechali się do niej serdecznie. Poklepywali ją. Jeden z mężczyzn wyjął z futerału gitarę, drugi sięgnął po jakiś instrument przypominający z wyglądu trąbkę. Jeszcze inny chwycił tamburyn i zaczęli grać. Reszta obecnych klaskała i nuciła. Co za naród! Zuza nie kryła podziwu. Ci ludzie to muzyka, jakże są inni od smętnych, wręcz ponurych Polaków.

Eduardo obudził matkę. Ta powiedziała do Zuzy kilka słów po hiszpańsku, uśmiechnęła się przyjaźnie, chwyciła ją za rękę i mocno ścisnęła.

– Mama się wielce cieszy z tego spotkania. Mówi, że jesteś bardzo podobna do ojca – tłumaczył Eduardo.

Chyba jedynie chciała być miła, pomyślała Zuza. Ona nie mogła być podobna do Ambrożego, to było niemożliwe, przecież kto inny był jej biologicznym ojcem.

– Wiem, wszyscy to mówią. Wykapany tatuś. – odparła ze skrywaną kpina. – Mogę tu zapalić?

– Pewnie, że tak. Mama też tak jak ty palić cygara. Zresztą u nas to jest bardzo częste.

– Palenie cygar to taki wasz sport narodowy? – zadrwiła.

– Coś w tym stylu – przytaknął jej.

Ponownie spojrzała po obecnych. Szukała dziewczyny o jasnej karnacji i blond włosach.

– A gdzie twoja narzeczona? Gdzie ta ślicznotka? Chyba jej tu nie ma, bo moje patrzalki jej nie zarejestrowały?

– Jutro ona przylecieć z Polska. Ja już doczekać nie mogę. Zaraz moja kuzynka podać jeść, ty poznać nasze *ropa vieja* i *langosta*. To drugie danie to palce lizać, ale najpierw *caldosa*. Sam ją przyprawiać, jest pychaśna jak wy mawiać.

– Kuuurwa maaaac! – Zgaga przypomniała o sobie.

– Spokojnie, ja o tobie pamiętać. Ty zaraz dostać kolba kukurydza.

– Kooochać Eduuuardo!

– Ja też cię kochać!

Był późny wieczór, kiedy Zuzę odwieziono do hotelu. Przy wysiadaniu z samochodu klatka wymsknęła się jej z ręki i spadła na ziemię tak niefortunnie, że otworzyły się drzwiczki, co papuga natychmiast wykorzystwała i pofrunęła w świat, ku wolności.

Zuza zrozpaczona stanęła na środku ulicy i zaczęła ją przywoływać.

– Zgaga! Zgaga! Chodź, dostaniesz kukurydzę! Dam ci jeszcze inne smakołyki. Tylko wróć!

Bez rezultatu. Jedynie gdzieś w oddali słyszała jej pokrzykiwania.

– Kuuurwa maaaac! Zuuuza!

Eduardo podszedł do niej i objął ją ramieniem.

– Siostra, ona przepadła, tu tysiące takich jak ona. Ty musisz się z tym pogodzić!

– Kurwa mać! – ryknęła na niego. – Co ty pierdolisz? Mógłbyś mnie tą gadką nie denerwować? Zrozum, to jest niemożliwe! Jak ja wrócę do kraju bez Zgagi? Wymyśl coś, błagam cię. – Głos jej się załamał. – Musimy ją odnaleźć. Nie zostawię jej, co to to nie!

– Ja ci załatwić podobna ara, tylko ona mówić po naszymu. Co ty na to?

Spojrzała na niego zdziwiona. On tak poważnie?

– Pojechało cię czy co? Na co mi kubańska ara? Może trzeba dać gdzieś ogłoszenie? Zaproponować nagrodę? No rusz głową. Wymyśl coś. Koszty nie grają roli. Mam dolary i zapłacę.

Jeszcze nie traciła nadziei. Ruszyła samotnie ulicą, wciąż wołając Zgagę, ale wszystko na nic.

W pewnym momencie minęła ją kolumna samochodów. Limuzyna jadąca w jej środku nagle przyhamowała. W uchylonym oknie zobaczyła twarz brodatego mężczyzny z cygarem w ustach. Uśmiechnął się do niej i pomachał ręką.

Co za sympatyczny naród, pomyślała. Też mu pomachała i poszła dalej szukać papugi. Jeszcze kwadrans szukała Zgagi, aż w końcu zrezygnowała i wróciła do hotelu.

Weszła do pokoju i otworzyła drzwi na taras.

– Kuuuurwa maaać!

Widziała ją, Zgaga siedziała na pobliskiej palmie. Próbowwała ją skusić smakołykami, ale nic z tego, ara wybrała wolność.

– Cholerna papuga! – zaklęła i poszła do łóżka, ale zanim to uczyniła, zostawiła otwarte okno z nadzieją, że papuga zmieni zdanie i wróci.

Zuza źle spała. Śniło jej się, że Zgaga rzuciła się na nią i zaczęła ją dziobać. To było tak brutalne, że się raptownie obudziła i już nie zasnęła. Wcześniej rano zabrała się do rozpruwania tub z pastą do zębów, żeby wydostać z nich przemycone dolary. Nie bardzo miała czym to zrobić, w końcu użyła do tego nożyczek do przycinania paznokci i je przy tym złamała. Kiedy wreszcie Frankliny spoczęły w portfelu, zajrzała do drugiej walizki, tej z prezentami ślubnymi dla Eduarda. Otworzyła ją i ze zdumienia wypuściła z ręki. Zamiast pięknej cepeliowskiej zastawy były w niej setki różańców i świętych medalików, które teraz wysypały się z brzękiem na podłogę. Od razu wiedziała, kto w tym maczał palce. Proboszcz musiał podmienić walizki podczas podróży na lotnisko. Trzeba przyznać, że zrobił to jak prawdziwy przemytnik, bo nic nie zauważyła.

– A to skurwysyn – zaklęła, wpatrzona w dewocjonalia. Co ma teraz zrobić? Jak pójdzie na ślub bez prezentu? To jest prawdziwa katastrofa. Musi się koniecznie poradzić Eudarda, może da się to jakoś upchnąć, no bo mimo że jest niewierząca, to nie wyrzuci różańców do śmietniczki.

Zjawił się zaraz po śniadaniu i aż oczy mu zabłysły na widok tych świecidełek.

– Siostra, skąd ty mieć te skarby?

– Przywiozłam z Polski. Proboszcz potajemnie zamienił mi walizy. Jak wrócę, to dam mu popalić, to jest pewne. Raz na zawsze odechce mu się takich numerów.

– Wy mawiać na takich łebska, to ten proboszcz to łebska facet. On mieć głowa na karku.

Rzuciła mu zdziwione spojrzenie. Do cholery, o czym on mówi? Może od tego upału mu się coś popieprzyło w mózgu? Przecież to jest nic niewarte.

– Nie rozumiem. Co ty pierdolisz? Mów jaśniej, do cholery!

– Te medaliki poświęcić sam wasz papa Jan Paweł Drugi. One być bezpośrednio od niego. One tu warte fortuna, bo Kuba to Fidel Castro i Kościół. Ja ci je wszystkie sprzedać, ty mieć za to mnóstwo pieniądza. Ja tylko wziąć za to prowizja, nieduża prowizja. Powiedzmy, dwadzieścia procenta. Co ty na to?

– Co ty znów za głupoty gadasz? – obruszyła się. – Papież nie widział ich na oczy, tego jestem pewna.

– Oj, siostra, a kto to sprawdzić? – Wzruszył ramionami. –

Takie małe oszustwo, a cena zupełnie inna.

Faktycznie, jak się znajdują głupi, co dadzą się zrobić w konia, to ich nie żal.

– Dobra, zabieraj to i opyl. A co ze Zgagą? Masz już jakiś pomysł?

– Niestety. Ona polecieć gdzieś na Hawana. – Rozłożył ręce w geście bezradności. – Ale ja popytać tu i tam. Ty być dobra myśl. Dziś z hotelu jechać wycieczka po Kubie. Ty też jechać. Oni pokazać piękna kurort, Santiago, dom pisarz Hemingway i ferma krokodyla. Ty koniecznie tam jechać. Ja za to zapłacić, bo ty mój gość. Co ty na to? Chyba ty nie odmówić? Byłoby mi przykro. Ta wycieczka to mnóstwo pieniądza, ty musieć jechać.

To była kusząca propozycja, bo w sumie nie miała tu nic do roboty, a kraj warto zwiedzić.

– Zgoda, o której wyjazd?

– Siostra, to zaraz. Ty mówić, że mieć dolar. To dobrze, bo tam wszystko tylko za amerykańska waluta. Moja kuzynka z hotelu mówiła, że na wycieczka jedzie sporo Polaka, więc będzie ci dobrze. Wróćcie za dwa tygodnia, pokażę ci wtedy moja narzeczona i znów zabiorę do rodzina. Ty im się spodobała. Oni cię bardzo kochać.

– Chyba tylko oni – mruknęła z przekąsem i wyjęła papierosy.

Punkt dziesiąta Zuza z walizką w dłoni stawiała się na miejscu zbiórki. Zebrała się tam już nieduża grupka turystów. Faktycznie, to byli sami Polacy.

– Kurwa mać, oni też? – zaklęła, widząc Mariańskiego z Oparą. Była tym srodze rozczarowana. Do cholery, skąd się tu wzięli? Czy nawet na wycieczce muszą śledzić jej każdy krok? Jeszcze większe zdziwienie wywołał u niej widok Pawłowicz. A ona skąd się tu wzięła? Nigdy nie przypuszczała, że ich drogi jeszcze się zejdą, jakże mądre jest powie-

dzenie, że góra z górą się nie zejdzie, ale człowiek z człowiekiem tak. Tamta też ją zobaczyła i pomachała do niej przyjaźnie ręką. Bezczelna suka kpiła sobie z niej, i to w żywe oczy.

– Proszę wrzucić swoje rzeczy do kufra i wsiadać do autokaru – odezwał się po polsku młody mężczyzna stojący obok kierowcy. Ruszyli gremialnie w stronę zielonego ikarusa. Najpierw kierowca wraz z przewodnikiem wcisnęli bagaże do bagażników pod podłogą, a dopiero potem zaczęto zajmować miejsca. Zuza dyskretnie podpytała innych turystów, skąd są. Okazało się, że lwia część wycieczki to grupa pracowników z jednej z centrali handlu zagranicznego z Warszawy.

A zatem wszystko było jasne. Do nich przykleili się inni Polacy akurat przebywający w Hawanie. Zuza usiadła razem z dziewczyną o bujnej ryżej czuprynie. Miała na imię Irena, tak się jej przedstawiła. Była tu z ojcem, dyrektorem, i matką, kierownikiem działu kadr. Ona sama była studentką drugiego roku archeologii. Tyle się już Zuza dowiedziała, nim ruszyli z miejsca.

– Nazywam się Kamil Wokulski i jestem tu państwa opiekunem – przedstawił się przewodnik. – Ze wszystkim proszę kierować się do mnie. A zatem ruszamy!

Pierwszym przystankiem na trasie było muzeum Hemingwaya Finca Vigía. Obejrzeliby dom, ogród, jego samochód, basen i pojechali dalej. Zuza była wściekła, bo to było fascynujące miejsce, a zostało potraktowane przez wycieczkę niczym przydrożny bar – zjeść byle co na szybko i jechać w dalszą drogę. Niestety, nie było innego wyjścia, bo musiała się podporządkować większości. Kontynuowali jazdę. To było sporo kilometrów w niemiłosiernym upale. Późnym popołudniem dojechali do Península de Zapata. Sama nazwa nic nikomu nie mówiła, ale jak wyjaśnił Wokulski, tam w gęstym lesie, na ogromnych mokradłach znajdowała się wielka ferma kubańskich krokodyli, prawdziwy gwóźdź programu tej wycieczki. Tu mieli spędzić resztę dnia i pół następnego, w każdym razie taki był plan. Zakwaterowano ich nieopodal fermy w podłym hotelu o dumnej nazwie „Victoria”. Tu były skromne warunki, rzecz można, że spartańskie, nawet dla turystów z tak zwanego demoludu. Pokoje były dwu- i czteroosobowe. Wraz z Zuzą i studentką zakwaterowano w tym samym pokoju Marię i Zosię, dwie bardzo gadatliwe dentystki z Ministerstwa Budownictwa.

Zuza i Irena rozpakowały się pospiesznie i wyszły przed budynek. Dziś wszyscy mieli czas wolny, a zatem mogli robić, co im się żywnie podobało, przespacerować się po okolicy, urznąć w trupa w pobliskim barze lub poopalać się w promieniach zachodzącego słońca. Mężczyźni zapewne wybiorą bar, a starsze kobiety spacer. Irena jako pierwsza podjęła decyzję i nasmarowała się kremem, po czym zaległa na leżaku na tarasie. Zuza natomiast postanowiła napić się prawdziwego kubańskiego rumu. Idąc do knajpy, widziała, jak Mariański wraz z Oparą ruszyli kilka kroków za nią. Tam zamówiła drinka Santiago de Cuba i zaczęła go wolno sączyć przy barze. Milicjanci usiedli w drugim końcu lokalu, w kącie przy ścianie, i zamówili samą wodę. Pewnie jedynie na tyle ich stać przy ich nędznych dietach, pomyślała z drwiną. W pewnym momencie zobaczyła Pawłowicz wchodzącą do knajpy. Była sama. Usiadła też tak jak Zuza przy barze i zamówiła jakiegoś drinka. A gdzie podział się jej facet? Przecież jak dotąd wszędzie chadzali razem. Tak w każdym razie twierdziła Irena, ta studentka archeologii. Pawłowicz wypiła drinka duszkiem i ponowiła zamówienie. Ze szklaneczką w dłoni podeszła do Zuzy.

– Mogę się przysiąść? – spytała pro forma, bo nie czekając na jej odpowiedź, posadziła swoje tłuste dupsko na stolku.

– Nie dałam na to zgody. Spieprzaj! – warknęła Zuza.

– Oj, czemu się droczysz? Co było, to minęło. – Pawłowicz zarechotała. – Osobiście nic nie mam do ciebie. Powiem więcej: lubię cię, choć narobiłaś mi kłopotów, bo przez ciebie o mało wszystko się nie wydało. Marnujesz się w Płocku, na tej dzikiej prowincji. To jest dziura zabita dechami, i to nieheblowanymi. Powinnaś mieć praktykę w Warszawie, przy Marszałkowskiej, byś opływała w dobrobycie.

– Nie narzekam. Żałuję tylko, że cię nie przyskrzyliłam. Zastanawia mnie, co cię tu sprowadza, bo nie sądzę, że jesteś tu turystycznie. Następną kradzież? Co tym razem masz na oku? Może medal Nobla Hemingwaya, który, o ile wiem, tu przechowują? A może coś innego? Coś grubszego?

– A na co komu ten medal? – Pawłowicz parsknęła śmiechem, dopiła drinka i podniosła się ze stołka. – Coś ci, kochana, poradzę, ty się za bardzo mną nie interesuj. To taka rada jedynie dla twojego dobra. Nie pozwolę, żebyś drugi raz mi wszystko spieprzyła. Zapamiętaj to.

Odstawiła szklanekę i wyszła z lokalu. Po chwili podniósł się i Opara, zapewne dostał rozkaz śledzenia tej suki, bo on też opuścił knajpę.

Zuza wyjęła z torebki cygaro. Zanim je zapaliła, najpierw je powąchała. Chwilę rozkoszowała się jego aromatem. Być w jego ojczyźnie to coś.

Kilku mężczyzn w słomkowych kapeluszach i z instrumentami muzycznymi w dłoniach weszło do lokalu, zajęli miejsca na scenie i rozpoczął się koncert. Jeden z nich, najstarszy, zaczął śpiewać *Guantanamerę*, oczywiście po hisz-

pańsku. Trzeba przyznać, że to było przyjemne do słuchania. Zuza zamówiła jeszcze jedną szklaneczkę Santiago de Cuba. Sączyła drinka, wsłuchując się w melodię i puszczając z dymu fantazyjne kółeczka.

Ze smutkiem wspominała Zgagę. Czuła, że papuga już do niej nie wróci, bo każdy na jej miejscu wybrałby wolność. Pomyślała też o Borysie, pewnie za nią tęskni, a jeśli chodzi o Wrzoda, to sobie nim zbytnio głowy nie zaprzątała, bo zawsze miał wszystko i wszystkich w ogonie.

I znów zamówiła szklaneczkę. Co i raz kątem oka zerkala w stronę Mariańskiego. Już od jakiegoś czasu położył głowę na stole i chrapał. Muzycy wciąż grali, zjawily się jakieś miejscowe dziewczęta, tańczyły, kusily swoimi wdziękami wycieczkowiczów, którzy dosłownie pożerali je wzrokiem. Jeśli do czegoś tu dojdzie, to aż strach pomyśleć, co panowie przywiozą ze sobą do domu w prezencie stęsknionym żonom.

Nagle trzasnęły drzwi wejściowe. Do lokalu wbiegł ich przewodnik. Był bardzo zdenerwowany.

– Tragedia! Tragedia! Stało się coś strasznego! – krzyczał.

Muzyka zamilkła. Od razu otoczył go wianuszek turystów.

– Panie Kamilu, co się stało? Mów pan! Jaka tragedia?! – przekrzykiwali się nawzajem.

– Na moczarach krokodyl napadł na człowieka i go zjadł – ledwie wydusił z siebie. – Został po nim tylko but ze stopą w środku.

Wiadomość ta zmroziła towarzystwo. Wszyscy byli śmiertelnie przerażeni, a właściwie prawie wszyscy, bo Zuza wciąż siedziała przy stoliku i dalej spokojnie sączyła Santiago de Cuba. Za dużo się w życiu zbrodni naoglądała, żeby jeden trup miał zrobić na niej jakiegokolwiek wrażenie, żeby miał jej zepsuć wieczór.

– O Boże! Ale kogo zjadł? Kto zginął? Kobieta czy mężczyzna? Czy to ktoś z naszych? – dopytywali Wokulskiego.

– Sądząc po obuwiu, to chyba facet, ale nie jestem tego pewny. Idźcie wszyscy do swoich pokoi i sprawdźcie, кого brakuje. Jeśli to ktoś z wycieczki, to trzeba będzie zawiadomić rodzinę, ambasadę. Policja już o tym wie i tu jedzie.

Wszyscy gremialnie ruszyli do wyjścia i w chwilę potem bar się wyludnił. W końcu i Zuza podniosła się z krzesła i poszła do hotelu.

Biegano nerwowo po pokojach i szukano swoich współlokatorów. Najbardziej zdenerwowany był Mariański, bo nigdzie nie mógł znaleźć Opary. Nawet Zuzę o niego zapytał. Dobrze pamiętała, że wyszedł zaraz po Pawłowicz. Jej też nigdzie nie było, jak zresztą kilku innych osób. Za to był jej towarzysz z Niemiec, siedział w fotelu i palił cygaro. Być może, nie znając języka polskiego, niczego nie rozumiał i nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji. W końcu w hotelu zjawili się policjanci. Przynieśli ze sobą ten słynny już but z zakrwawioną stopą. Postawili go na stoliku w holu i każdy po kolei miał się mu przyjrzeć. Zuza była na samym końcu tego smętnego konduktu. Był to but sportowy, popularnie zwany adidasem, taki, jakie nosiła połowa Polaków. Jak po nim poznać jego właściciela? To było właściwie niewykonalne.

Mariański wciąż uparcie twierdził, że w bucie tkwią resztki Opary, był tego nawet pewny. Inni w to powątpiewali. W końcu zdesperowany kapitan niespodziewanie chwycił znaleźisko, starając się wydłubać z niego ludzkie szczątki. Chciał wyjąć z buta stopę i przyjrzeć się dużemu palcowi, bo ponoć kapral miał na paznokciu okropnego grzyba. Jego szalone poczynania spowodowały zasłabnięcie kilku bliżej stojących osób. Na szczęście policjanci go w ostatnim momencie przed tym powstrzymali.

Po godzinie w hotelu pojawili się kolejni turyści, nie tylko z tej wycieczki, ale wciąż nie było Pawłowicz i Opary. Coraz więcej osób zaczęło przychylić się do hipotezy kapitana, bo but na pewno nie wyglądał na damski. Sytuacja wyjaśniła się po następnej godzinie, kiedy zjawila się Pawłowicz. Teraz brakowało już tylko kaprala, a zatem to on marnie skończył, choć trzeba powiedzieć, że bardzo oryginalnie. Być zjedzonym przez krokodyla – czegoś takiego ploczanie na długo nie zapomną, tego Zuza była pewna.

Ona sama od powrotu Pawłowicz nawet na chwilę nie spuszczała z niej wzroku. Uważnie przyglądała się jej zachowaniu, bo było nie było, ale Opara poszedł ją śledzić. W Zuzy oczach tamta maczała w tym wszystkim palce, bo w zwykły wypadek jakoś nie wierzyła. Śledczym, kiedy spytano ją, gdzie była tyle czasu, oznajmiła z rozbrajającym uśmiechem na twarzy, że zabłądziła. Mariański, widocznie tak jak i Zuza niewierzący w wypadek, słysząc to, ostro na nią natarł.

– Zabójczynie! Zgnijecie w więzieniu! Odpowiedcie za śmierć Opary i nie tylko! Deportujemy was do kraju! Już my tego osobiście dopilnujemy!

Pawłowicz na to roześmiała mu się w twarz.

– Lepiej sam uważaj, żebyś nie skończył jak on. Byłbyś niezłym kąskiem. Mięso owinięte w tłusty boczek to wielki rarytas dla krokodyli. One to uwielbiają.

Chciał rzucić się na nią, ale inni mężczyźni przytrzymali go za ramiona.

Pawłowicz tymczasem prowokacyjnie pomachała do niego dłonią i poszła do swojego pokoju, a jej niemiecki przyjaciel udał się za nią.

Wciąż na miejsce zdarzenia dojeżdżali nowi policjanci i jacyś urzędnicy. Być może byli to prokuratorzy.

Zuza siedziała przed hotelem i paliła ekstra mocnego. To miał być prawdziwy urlop, a tymczasem zbrodnia podążała za nią niczym cień. Czuła, że to dopiero początek, że worek z nieboszczykami niebawem się rozwiąże. Takie już miała szczęście.

W końcu podjęto decyzję. Śledczy tu na miejscu postanowili stopę wyjąć z buta celem dalszych oględzin i ostatecznie potwierdzić, kto był jej właścicielem. Rozsznurowano go, po czym jeden z policjantów założył na ręce grube gumowe rękawice i zaczął się ze stopą szamotać. W końcu udało mu się ją wyjąć i spojrzenia wszystkich zgromadzonych skupiły się na dużym palcu, a właściwie na tym, co z niego zostało, bo jakiś stwór przypominający z wyglądu chrabąszcza siedział na nim i go objadał. Najgorsze, że zdążył już zjeść jego czubek i po paznokciu nie było śladu. Rozległ się wielki jęk zawodu, bo wciąż stwierdzenie, że to pozostałość po Oparze, było tylko domniemaniem, niczym innym, mimo że Mariański dalej uparcie twierdził, że to jego podkomendny, i zapewne miał rację, no bo skąd but polskiej produkcji miałby się znaleźć na stopie jakiegoś Kubańczyka tu na tym bagnisku?

To była długa i bezsenna noc, no bo jak można było zasnąć, wiedząc, że jakiś kubański gad akurat przeżuwa ze smakiem funkcjonariusza polskiej milicji, i to będącego na służbie. Zuza ze swoim zestawem przetrwania, czyli butelką stocka i ekstra mocnymi, usadowiła się na balkonie. Wciąż analizowała to, co się dziś wydarzyło. Dalej nie wierzyła w wypadek. Za dobrze znała kaprała i jego tchórzliwą naturę, żeby myśleć, że zbliżył się do krokodyla. Najprędzej ktoś go najpierw zabił, a później ciało rzucił gadom na pożarcie. Ta wersja miała sens. A kto to zrobił? Odpowiedź na to pytanie nasuwała się sama.

Opara śledził Pawłowicz i być może zobaczył coś, czego nie powinien. I dlatego zginął. Logiczne wytłumaczenie, ale czy nie za daleko posunęła się w swoich podejrzeniach? A może naprawdę kaprał po prostu nie zauważył krokodyla i tamten go zaskoczył? Ta hipoteza też była logiczna.

– Można się przysiąc?

To ta studentka archeologii.

– Siadaj! – Zuza wskazała jej wolne krzesło. – Napijiesz się?

Dziewczyna zerknęła na naklejkę na butelce.

– Nie, dziękuję, to jest dla mnie za mocne. Ale papieroska nie odmówię.

Zaraz tego pożałowała. Dziwne, że nie znała ekstra mocnych bez filtra. Po pierwszym sztachu jej twarz zrobiła się krwistoczerwona, oczy o mało nie wyszły jej z orbit, a piersiami zaczął wstrząsać okropny kaszel.

– Znasz tych wszystkich ludzi? – spytała Zuza, kiedy tamta już jako tako doszła do siebie.

– To w większości pracownicy mojego ojca. Przyjechali tu na zaproszenie kubańskiego Ministerstwa Sportu.

– Na sportsmenów to oni nie wyglądają, no chyba że uprawiają sumo – zakpiła.

– No wie pani, jak to u nas jest. Sama też się załapałam.

– A reszta? Skąd oni są?

Zuza miała na myśli Pawłowicz z partnerem oraz bardzo dobrze ubranego przystojnego mężczyznę. On już od początku chadzał swoimi ścieżkami, co od razu wychwytiło jej wprawne oko.

– Nie mam pojęcia. Ten grubas to chyba milicjant. Tak wszędzie rozpowiada.

Pewnie chodziło jej o Mariańskiego.

– Tak, znam tego debila od dawna i to potwierdzam. A przyjrzałaś się temu szpakowatemu przystojniakowi? – Zuza wskazała palcem owego mężczyznę, który akurat opuścił hotel.

– Może to miejscowy. Tata mi mówił, że władze takim wycieczkom przydzielają policjanta w cywilu, tak dla bezpieczeństwa.

– Myślisz, że to Kubańczyk? Nie pomyślałam o tym, bo ma jasną cerę. To rzadkie tutaj, ale może masz rację.

– Myśli pani, że tego pana to faktycznie zjadł krokodyl?

– Jutro się przekonamy. Jeśli to prawda, to gadzisko zdechnie od niestrawności. Milicjanci są niezjadliwi. Wiem, co mówię.

Zuza zgmiotła peta w popielniczkę i powoli podniosła się z fotela.

– Na dziś wystarczy wrażeń, idę spać. Dobranoc.

Był środek nocy. Kapitan Mariański siedział przy stole i pisał raport.

Dzisiaj tu w Kubie doszło do okrutnego zabójstwa. Kapral Opara uległ zabiciu. Została po nim stopa i bóg. Podejrzanych jest dwóch, obywatel krokodyl oraz obywatelka Pawłowicz ktura tu jest a to pszemtempca z Polski. Jak karkodyl zjad Opare to jej nie było.

Poranek przywitał ich upalną pogodą. Ledwie Zuza zeszła na śniadanie na dół do restauracji, doskoczyła do niej studentka.

– Słyszała pani najnowsze wiadomości? – szeptała jej do ucha. – Znaleźli krokodyla, zdechł. Ponoć zatrzał się jedzeniem i podejrzewają, że to on zabił tego nieszczęśnika. Skąd pani to wiedziała?

Zuza uśmiechnęła się tajemniczo.

– To proste, był niejadalny niczym muchomor sromotnikowy, ale nie ma się co dziwić, wszak był kapralem milicji obywatelskiej. Rozprują krokodylowi brzuch i pewnie znajdą go na wpół strawionego. Wiesz co, nawet mi go nie żal.

Kiedy rozmawiała z dziewczyną, zauważyła przez okno tego tajemniczego przystojniaka. Rozmawiał z facetem Pawłowicz. To musiała być gorąca dyskusja, być może kłótnia, bo obydwaj bardzo gestykulowali rękoma. Czyżby się znali? Ciekawe, o czym rozmawiali i w jakim języku? Niestety, byli za daleko, żeby cokolwiek usłyszeć.

Niebawem przyszła reszta wycieczki i podano śniadanie, po czym wszyscy od razu wzięli się do konsumpcji. Nastrój był isticie grobowy, czemu trudno się było dziwić. Nikt nie miał ochoty na rozmowy, jedli w milczeniu, co chwila podejrzliwie zerkając na siebie. Mariański siedział samotnie przy stoliku, on jeden nie jadł, jedynie popijał wodę i co chwila rzucał Zuzie nienawistne spojrzenia. Idiota, najwyraźniej myślał, że miała coś z tym wspólnego.

Kiedy uporała się ze śniadaniem, wyszła na spacer. Chciała w końcu zobaczyć tę farmę krokodyli. Bądź co bądź po to tu przyjechała, a prócz tego to miejsce być może okaże się miejscem zbrodni. Kilkadziesiąt metrów za nią podążał kapitan, czaił się w trzcinach, ale trudno było nie zauważyć jego tłustego cielska, tak jak trudno było nie usłyszeć jego ciężkiego sapania. Skoro to go rajcuje, to niech ją śledzi. Nawet nie próbowała go zgubić. Co chwila zatrzymywała się, żeby zachwycać się bujną tropikalną roślinnością. Ze łzami w oczach patrzyła na stada wielobarwnych papug. Jedyne, co ją pocieszało, to to, że nawet złota klatka wciąż jest klatką i nie może konkurować z wolnością. Sama o tym przecież dobrze wiedziała, jak większość Polaków zamkniętych za żelazną kurtyną. Właśnie wolności najbardziej jej w komunizmie brakowało.

– Pani Lewandowska! Pani Lewandowska! Proszę poczekać! – usłyszała zza pleców. To Wokulski, przewodnik, biegł w jej kierunku. Poczula niepokój. Coś się znów musiało wydarzyć.

W końcu stanął przed nią cały zasapany. Widziała, jak mu pot ciurkiem leci z czoła. Z trudem łapał oddech.

– Co się znów wydarzyło, panie Kamilu? Wybuchła kontrrewolucja czy może następny trup? – spytała, przypatrując mu się uważnie.

– Nie, to nie to. To coś innego.

– Opara się odnalazł? Mam rację? – dalej zgadywała.

– Też nie to. Zaraz przyjadą po panią. Musi pani pilnie jechać do Hawany.

Od razu pomyślała o Eduardzie.

– O kurwa mać! Co się stało? Coś się przytrafiło mojemu bratu? Gadaj pan, i to już.

– Nie wiem. Nie mam zielonego pojęcia, o co chodzi. Pytałem, ale nie chciano mi powiedzieć, zasłaniali się tajemnicą państwową, ale to musi być coś bardzo ważnego, bo dzwonił sam Diego Álvarez.

– A kto to jest ten cały Diego Álvarez? Mnie to nazwisko nic nie mówi. Nie znam takiego.

– No jak to kto? To przecież bardzo ważny sekretarz partii z Hawany. Mówią, że to prawa ręka El Comandante. O tym od dawna na Kubie wszyscy wiedzą.

– Widocznie nie wszyscy. A czego on może ode mnie chcieć, ten Diego Álvarez? Coś czuję, że jednak chodzi o Eduarda.

– Chyba nie. Ponoć sam El Comandante chce panią widzieć. Tyle wiem, nic poza tym. Proszę szybko spakować swoje rzeczy, bo El Comandante nie lubi czekać.

Z dała rozległ się dźwięk klaksonu samochodu.

– Już są. Chodźmy. – Przewodnik pociągnął Zuzę za rękę. – Błagam panią, proszę ze mną iść, bo inaczej mogę mieć problemy. W najlepszym razie deportują mnie do Polski, a ja tu chcę mieszkać, założyć rodzinę, mieć żonę, dzieci. Ja kocham Kubę.

Sam Fidel Castro, postać, która wzbudzała skrajne emocje i kontrowersje na całym świecie, chciał ją poznać. Nie myślała, że jest tak znana nawet tu, na Kubie. W gruncie rzeczy była ciekawa, czego może od niej chcieć ten satrapa,

obrzydlivy komuch? Może będzie okazja, żeby mu w pysk splunąć.

– Dobrze, niech tak będzie. Robię to tylko dla pana.

Skłamała, chodziło jej bardziej o Eduarda, ale niech sukinsyn ma dług wdzięczności, może się to kiedyś przydać, pomyślała i zawróciła.

Przed hotelem stała czarna wołga, a obok niej kręciło się dwóch mężczyzn w jasnych garniturach. Nawet przy stojni, pomyślała, zerkając na nich.

Zobaczyli ją, jeden z nich otworzył drzwi, tym samym zapraszając ją do środka. Hola hola, nie tak szybko, kochasiu.

– Muszę iść po swoją walizkę – rzekła stanowczym głosem, co zaraz Wokulski przetłumaczył.

Na to jeden z mężczyzn coś krzyknął do niego.

– Wszystko już jest w samochodzie. Proszę wsiąść, bo czas nagli. Proszę się nie bać, jutro rano panią odwiozą.

– Ciekawe, o co naprawdę chodzi w tym wszystkim? – mruknęła pod nosem, pakując się do wołgi.

Widziała przez szybę Mariańskiego. Podszedł do tych mężczyzn, wymachiwał łapami i coś gardłował. Zapewne chciał jechać razem z nimi. Wtem jeden z nich brutalnie odepchnął kapitana tak silnie, że ten się zatoczył, po czym wsiadli do auta i ruszyli.

Podróż trwała blisko dwie godziny. W końcu samochód zatrzymał się przed starą kolonialną, ale bardzo luksusową willą usytuowaną w wielkim parku. Pewnie zarekwirovano ją jakimś plantatorom. Zuza, zanim tu przyjechała, sporo się naczytała o Kubie i rewolucji.

Wysiadła z auta i jeden z mężczyzn, którzy po nią przyjechali, poprowadził ją w głąb ogrodu. Wąskimi alejkami doszli do wielkiej fontanny, przy której stała ławka, a na niej siedział potężny mężczyzna. Jego twarz okalała bujna czarna broda. Mężczyzna palił cygaro. Musiało być przedniej marki, rozpoznała to po wspaniałym aromacie. Było nie było, ale na cygarach znała się w Polsce jak mało kto. Od razu wiedziała, kim on jest. Tę twarz znała z ulicznych plakatów, fotografii i telewizji, ale nie tylko. To przecież on z okna limuzyny pomachał do niej ręką, kiedy po nocy na ulicach Hawany szukała Zgagi. Dopiero teraz to skojarzyła. Też ją zobaczył i poderwał się do góry.

Uśmiechnął się do niej i wskazał miejsce obok siebie, po czym z kieszeni kurtki wyjął cygaro.

– Zapal. Wiem, że najbardziej lubisz konkretnie te cygara – rzekł do niej po rosyjsku.

Nie myślała, że znajomość tego zniechęconego języka kiedykolwiek jej się przyda.

– Z przyjemnością – odparła i sięgnęła po nie.

Usiedli na ławce. Nie wiadomo kiedy zjawił się kelner w białym surducie i przyniósł na tacy butelkę stocka i dwa kieliszki. Zdumiała się, zresztą nie pierwszy raz tego dnia. Skąd on tyle wie na jej temat?

Zapaliła. Patrzyła na Fidela Castro z nieskrywaną ciekawością. Był komuchem, a mimo to poczuła do niego sympatię. To chyba było to, o czym mówili w Radiu Wolna Europa, on działał na kobiety niczym jakiś afrodyzjak. Był przystojny, na oko miał ponad metr dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, ponoć był bardzo elokwentny, czarujący i miał to coś w oczach, czym uwodził kobiety.

– Wiesz, czemu cię tu zaprosiłem? – spytał, rozlewając koniak.

– Nie mam zielonego pojęcia – odparła zgodnie z prawdą. No bo skąd mogła to wiedzieć?

– To przez twoją papugę. Ona jest taka jak ja.

Spojrzała na niego nic nierozumiejącym wzrokiem. O czym on, do cholery, mówi? O co chodzi z tą Zgagą?

– Moja papuga? Wciąż nic z tego nie pojmuję.

– Dowiesz się, o czym mówię, kiedy pojedziesz do centrum Hawany – rzekł bardzo tajemniczo. – Teraz się napijmy. Za twoje zdrowie – wznosił toast. – Wiem o tobie wszystko – ciągnął. – Jesteś silną kobietą, świetnym prawnikiem. Szkoda, że nie jesteś Kubanką, bo takich kobiet potrzebuje nasz kraj. Tylko takie mogą zbudować prawdziwy komunizm.

– Nie cierpię komunizmu! – wypiliła, wciąż starając się nie patrzeć mu w oczy.

Roześmiał się beztrząsco i ponownie rozlał trunk.

– To tak jak ja. Ja kocham Kubę. Teraz wypijmy za nią.

Rozmawiali dobrą godzinę. O czym? O wszystkim, faktycznie był bardzo elokwentny, miał wiedzę właściwie na każdy temat. Wspomnił o wizycie w Polsce, jak chciał zrobić przyjemność Gierkowi i przebrać się za górnik, ale nigdzie nie mogli znaleźć munduru, który by na niego pasował. W końcu krawcowe go uszyły, a zeszło im przy tym całą noc. Jeszcze większy problem wynikł podczas odwiedzin w fabryce samochodów, bo okazał się za duży, żeby usiąść za kierownicą malucha.

Potem przeszli do willi, tam czekała na nich wystawna kolacja.



Kurwa mać, że też on jest komuchem, klęła Zuza w duchu, bo była nim zauroczona. Coraz częściej jej spojrzenie zatrzymywało się na jego oczach, czarnych niczym węgle. Czuła wtedy, jak ją hipnotyzują. Fidel nie wiadomo kiedy przesiadł się bliżej niej. Opowiadał jej o Polakach, których poznał tu na Kubie, nawet wspomniął coś o Maryli Rodowicz, którą ponoć w tej willi gościł. Zuza łykała to wszystko z coraz bardziej maślanymi oczami, aż...

Raptownie się obudziła. Poderwała się do góry i zaraz na powrót okryła kołdrą nagie ciało. Do cholery, gdzie ona jest? Co jest grane? Na szybko starała się odświeżyć pamięć, ale dochodziła do namiętnego pocałunku z Fidelem i wszystko się urywało. Spojrzała obok, ale była sama. Cała pościel była przesiąknięta zapachem jego cygar.

– Kurwa mać! Skurwiłam się z komunizmem! – zaklęła pod nosem i zaczęła się nerwowo i pospiesznie ubierać. Chciała stąd uciec, i to jak najprędzej. Wyrzucić wszystko z pamięci!

Kiedy skończyła narzucać na siebie odzienie, wyszła do pokoju obok, a tam na stoliku czekało śniadanie. Było jedno nakrycie, a więc on już się dyskretnie ulotnił. Nie chciała jeść, chciała jak najszybciej opuścić ten dom, zapomnieć o wszystkim. Pojawił się mężczyzna, jeden z tych, którzy ją tu przywieźli. Gestykułował, żeby szła za nim. Domyśliła się, że wracają do hotelu na bagnach, że wraca do swojej wycieczki. Nim wsiadła do wołgi, podeszła do niej kobieta z wielkim bukietem czerwonych róż i jej go wręczyła.

– To dla pani od El Comandante – oznajmiła łamaną polszczyzną.

Wśród kwiatów był bilecik, a na nim jedno zdanie po rosyjsku: „Zuzi, do następnego spotkania!”.

Nie ludź się, sukinsynu. Aż gotowała się z wściekłości na samą siebie. To był tylko ten jeden raz, choć trzeba przyznać, że jesteś zabójczo przystojny i cholernie pociągający. No niemniej komuch to komuch i basta. Teraz chciała o nim natychmiast zapomnieć, ale jak miała to zrobić, kiedy na każdym słupie, na każdej ścianie domu widziała jego podobizny, profil El Comandante z nieodłącznym cygarem w ustach.

Jadąc przez centrum Hawany, utknęli na chwilę w korku ulicznym. Była zauroczona pięknymi, kolorowymi, choć rozpadającymi się kamienicami. W pewnym momencie uchyliła okno i wtedy usłyszała gromki okrzyk z dziesiątek papuzich gardeł:

– Fiiiiiidel tooo chuuuj!

Parsknęła śmiechem. Teraz wszystko było jasne, już wiedziała, co miał na myśli El Comandante. Jej papuga tak jak i on porywała tłumy. Trzeba mu przyznać, że sukinsyn miał poczucie humoru, bo mógł się wkurwić. Bądź co bądź Zgaga rozpoczęła na Kubie swoistą rewolucję ideologiczną, ale dopóki Kubańcy nie nauczą się języka polskiego, to raczej jej działania nie zatrzęsą tym krajem.

Tak jak jazda do Hawany, tak i teraz powrót trwał około dwóch godzin. Zuza wysiadła z samochodu z bukietem w dłoni, czym wywołała dużą sensację. Irena, studentka, podbiegła do niej i wsadziła nos w kwiaty.

– Co za zapach! – Nie mogła się nadziwić. – Od kogo pani je dostała? Ja też takie chcę.

– Nie ma sprawy. Trzymaj. – Zuza wcisnęła kwiaty zaskoczonej dziewczynie i ruszyła do hotelu.

– Pani poczeka na mnie! – Irena pobiegła za nią. – Kiedy pani nie było, dowiedziałam się kilku ciekawych rzeczy.

– Muszę odpocząć. – Chciała zbyć dziewczynę, nie miała nastroju do rozmowy.

– Tylko słówko. – Tamta nie ustępowała.

– Dobra, mów! Znów kogoś zeżarł krokodyl? Kogo tym razem? – zakpiła, zapalając papierosa.

– Nic z tych rzeczy, ale pani Maria z naszego pokoju, ta z kokiem, nazywa się tak samo jak ten zjedzony nieszczęśnik.

– Co proszę? – Zuza myślała, że się przesłyszała. – Powtórz to!

Nazwisko kaprała było bardzo rzadkie, a ona raczej z zasady nie wierzyła w zbiegi okoliczności.

– Tak, pani mecenas, nie przesłyszała się pani, ona nazywa się Opara. Kiedy wczoraj wieczorem poszła na spacer, zerknęłam do jej paszportu.

Zuza spojrzała na nią z nieskrywanym podziwem. Była bystra, a ona tę cechę w ludziach od zawsze bardzo ceniła.

– Pewnie zajrzałaś i do paszportu tej drugiej flądry. Mam rację?

– Kiedy indziej, bo one razem nie chadzają. Tamta nazywa się Dworczyk.

– Dworczyk, powiadasz? Ciekawe, bo to nazwisko nie jest mi obce. Gdzieś się musiałam z nim spotkać.

– Tak się nazywa jakiś sekretarz partii w Komitecie Centralnym.

– Wiem, ale to nie o tę szuję chodzi. To był inny Dworczyk. Na pewno go sobie przypomnę, to tylko kwestia czasu. A nie wiesz przypadkiem, kim jest facet tej grubej baby, Pawłowicz, choć nie wiem, jak się ona teraz nazywa?

– Ma pani na myśli panią Małecką? Ten jej przydupas jest Niemcem, ani słowa nie mówi po polsku i chyba też nic nie rozumie.

– Ale potrafił się dogadać z tym szpakowatym przystojniakiem. Może tamten też jest Niemcem, a nie Kubańczykiem.

– Nie, tamten jest Polakiem. Rozmawiałam z nim, chyba nawet starał się mnie poderwać. Tak mi się w każdym razie zdawało – odparła dziewczyna, rumieniąc się.

– Wiesz coś więcej na jego temat?

– Ponoć pracuje w Ministerstwie Rolnictwa. Jest tam jakimś dyrektorem.

– Jak większość tych sportowców – zadrwiła Zuza. – Nikt inny nie pojedzie na tak luksusową wycieczkę i pewnie za psie pieniądze. A co z tym krokodylem? W końcu rozpruli mu brzuch?

– Chyba nic w nim nie znaleźli, bo słyszałam rozmowę tego grubego milicjanta z naszym przewodnikiem. Żalił mi się, że jak tu pochować tego nieszczęśnika, mając samą stopę?

– Przynajmniej zaoszczędzą na trumnie. Mogą go pochować w słoju na ogórki kiszzone. Co mamy dziś w planach? Będziemy się tu kisić czy jedziemy dalej?

– Jeszcze nie zapadły decyzje. Możliwe, że będziemy tu siedzieć dotąd, aż nie zamkną śledztwa.

– Nieźle się zapowiada. Chodź, zapalimy.

– Nie, dziękuję. Pani papierosy są dla mnie stanowczo za mocne.

Zuza, słysząc to, roześmiała się tylko.

– Wymiękasz? Dobra, zapalimy cygara.

– Cygara? To takie męskie.

– Co męskie? Nie widziałaś w Hawanie na ulicy, jak kobiety je palą? My zapalimy te z górnej półki. Mam ich kilka.

– No, nie wiem. – Irena się zawahała. – Moja mama dostanie zawału, jak mnie zobaczy z cygarem w ustach.

– Nie musi cię oglądać. Pójdziemy zobaczyć te ludojady. Skoro zjadają milicjantów, to zasłużyły na mój wielki szacunek. Może da się kilka sprowadzić do Polski. Wpuściłabym je do płockiej komendy. Chyba pękłyby z obżarstwa.

Oczyrna wyobraźni zobaczyła tę ucztę, aż się sama do siebie uśmiechnęła.

Podczas kolacji pan Kamil poinformował uczestników wycieczki, że jeśli policja wyrazi zgodę, to następnego dnia rano ruszają w dalszą drogę, pojadą do Santiago. Wszyscy przyjęli to z entuzjazmem, bo tu atmosfera była ciężka niczym ółów, zamiast wypoczynku, rozmowom o wypadku nie było końca, zaś będąc dalej od tego miejsca, szybciej zapomną o tej tragedii.

Wieczorem wszyscy gremialnie udali się do knajpy. Zuza usiadła przy barze, ale w takim miejscu, żeby móc obserwować innych. Mariański jak zwykle rozsiadł się przy stoliku w kącie i jak zwykle zamówił wodę. Dieta milicjanta w delegacji była bardzo skromna, zaledwie kilka dolarów dziennie, a znając jego pociąg do mocniejszych alkoholi, Zuza czuła, jak bardzo cierpi. Wszyscy inni za to sobie nie żalowali. Zamawiali drinki za drinkami, jej współlokalki dentystki również. Zuza szczególnie przyglądała się Oparze. Jeśli kapral był dla niej kimś bliskim czy dalszym krewnym, to raczej nie przeżywała żałoby. Wdała się w pogawędkę z tym przystojniakiem z Ministerstwa Rolnictwa i co chwila słyhać było jej głośny śmiech. Tymczasem jej koleżanka Dworczyk, łamiąc sobie język, próbowała dogadać się z tym Niemcem od Pawłowicz vel Małeckiej, która w tym czasie, co chwila zerkając w stronę Zuzy, szeptała coś do ucha Wokulskiemu. Zapewne wypytywała go o jej tajemniczy wyjazd do Hawany i pewnie się srodze zawiodła. Bo on nic nie wiedział. Zuza powoli sączyła daiquiri, ulubiony drink Hemingwaya. To była już chyba czwarta kolejka, kiedy przysiadł się do niej ten przystojniak. Najwyraźniej znudziła go dysputa z Oparą.

– Jestem Adam Bojarski. Pani tak sama?

Powoli uniosła spojrzenie znad szklanki. Z daleka wyglądał korzystnie. Teraz zobaczyła na jego twarzy bruzdy, kolor włosów też wydał się jej nienaturalny, a na dodatek poczuła od niego zapach Brutala. Nie cierpiała odoru tej wody kolońskiej. Działał na nią niczym czerwona płachta na byka.

– Chyba widać – odparła opryskliwie, bo nie miała ochoty na rozmowę.

– A może samotność we dwoje? – Uniosł brew w porozumiewawczym grymasie.

Parsknęła śmiechem prosto w jego nos.

– Co proszę? Czy wyglądam na taką, co szuka tego typu wrażeń? Kochasiu, pomyliłeś adres.

– A wczorajszy wypad? – spytał, puszczając do niej oko.

A to gnojek. Co on sobie w ogóle wyobraża? Ciekawe, co tu o niej gadali podczas jej nieobecności?

– Ty palancie! Wynocha! Spieprzaj stąd, pókim dobra! – wydarła się na cały bar.

Wszystkie oczy zwróciły się na nich. Nawet Mariański dźwignął głowę z blatu stołu i przeciągle ziewnął.

Bojarski raptownie podniósł się ze stołka i odszedł jak niepyszny, a po chwili w ogóle opuścił bar. Taki komunikacyjny macho dostał kosza, i to przy tylu świadkach. Jakkolwiek by było, Lewandowska go poniżyła, na dodatek

przy wszystkich.

Zuza zapaliła papierosa i zamówiła jeszcze jedną kolejkę. Miała o czym myśleć w samotności. El Comandante, zadowolony komuch, wciąż siedział w jej głowie i wcale nie zamierzał jej opuścić, a najgorsze, że to było przyjemne uczucie.

Było dobrze po północy, kiedy wróciła do hotelu. Jej współlokatorki już spały. Zanim i ona uczyniła to samo, wyszła jeszcze na balkon zapalić.

Zadumana patrzyła na rozgwieżdżone niebo. Pierwszy raz od lat była tak długo poza domem, zaczynała tęsknić – za nim, za swoimi zwierzakami, za przyjaciółmi. Ze stratą Zgagi już się częściowo pogodziła. Gdyby papuga skończyła w czymś garnku, to byłaby tragedia, ale ona wybrała wolność. Nie mogła mieć o to do niej pretensji.

Palila ekstra mocnego, z lubością się nim zaciągała i wsłuchiwała w odgłosy tutejszej przyrody, jakże inne niż w Polsce. Nagle ciszę nocną rozerwał czyjs okrzyk przerażenia. To był głos człowieka, tego była pewna. Krzyk się więcej nie powtórzył. Czyżby krokodylowi było mało Oparzy? Kto tym razem? Pełna złych przeczuć Zuza w końcu udała się na spoczynek.

Rano obudziło ją silne szarpanie za ramię.

– Pani Zuzo proszę się obudzić. Stało się coś strasznego.

Otworzyła oczy i zobaczyła twarz Ireny. Dziewczyna była przerażona.

– Co się stało? Która to godzina?

– Ósma rano.

– Czemu mnie budzisz tak wcześnie? Wczoraj bardzo późno poszłam spać.

– Wydarzyła się okropna tragedia. Przed chwilą znaleziono tego pana z Ministerstwa Rolnictwa, a właściwie to, co z niego zostało. Ktoś go zaszlachtował maczetą.

Zuza od razu otrzeźwiała.

– Co proszę? Mów wszystko po kolei.

Następny trup to już nie jest przypadek. Co tu się, do kurwy nędzy, dzieje? Czyżby wśród nich był seryjny zabójca, a może to wyczyn jakiegoś popierdolonego tubylca? Od tego wiecznego upału to może się każdemu we łbie pomieścić.

– Ktoś tego pana zabił maczetą – zaczęła jej opowiadać dziewczyna. – Ponoć mu nawet głowę odciął. Tak w każdym razie powiedział panu Kamilowi ten gruby milicjant, bo ja go nie widziałam.

Zuza wstała z łóżka i rozejrzała się po pokoju. Były tylko we dwie.

– A one gdzie się podziały? – spytała, mając na myśli dentystki.

– Poszły na śniadanie.

Zerknęła na zegarek.

– Tak wcześnie?

– Śniadanie wydają od siódmej rano.

– Dobra, daj mi się ubrać i zaraz zejść na dół.

W restauracji byli już wszyscy. Kiedy Zuza weszła, jak na zawołanie zapanowała cisza i wszystkie oczy skierowały się na nią.

Do cholery, czemu oni się tak na nią gapią? Patrzą na nią jak na zabójcę. Pogłupieli czy co? Że pogoniła zamordowanego, to przecież nie znaczy, że go ukatrupiła. Gdyby tylko miała zabijać wszystkich za chamskie zaczepki, to na sumieniu miałyby kilka razy więcej ofiar aniżeli Kuba Rozpruwacz.

– To ona! – krzyknął nagle Mariański, wskazując ją palcem. – Pokłóciła się z nim i go zabiła!

Tego już było za wiele. Nienawiść do niej tak zawładnęła umysłem kapitana, że przestał w ogóle myśleć. Mózg mu się wyłączył, przeszedł w stan spoczynku.

– Uważaj, sukinsynu, co mówisz – warknęła na niego i usiadła przy swoim stoliku. Nie zdążyła zabrać się do jedzenia, kiedy zjawili się dwóch mężczyzn w jasnych garniturach. Poznała ich od razu. To byli ci sami, co poprzednio. Podeszli do Wokulskiego i jeden z nich coś szeptnął mu do ucha. Zuza się domyśliła, w czym rzecz. Czula, jak serce mocnej jej zabiło.

Jej przypuszczenia od razu się potwierdziły, kiedy tamten do niej podszedł.

– El Comandante zaprasza panią na rejs po morzu. Błagam, niech pani pojedzie, bo jemu się nie odmawia.

– Już kiedyś słyszałam podobne powiedzenie. Chyba padło z ust jakiejś płockiej prostytutki. O ile dobrze kojarzę, chodziło o pewnego bajecznie bogatego klienta powiązanego ze służbą bezpieczeństwa. Zaciąga pan u mnie spory

dług, panie Kamilu. Czy wie pan, że kiedyś trzeba będzie go spłacić?

– Nie ma sprawy, tylko niech pani tam pojedzie.

– Dobrze, pojedę, ale najpierw coś zjem – rzekła i jak gdyby nic zabrała się do konsumpcji. W tym czasie myśli szalały w jej głowie. Żałowała tych wszystkich wypowiedzianych przed chwilą słów. Cholera, czemu się zgodziła, przecież to obrzydliwy komuch. Choć może nie jest taki typowy? Tłumaczyła się przed samą sobą. Sukinsyn miał nad nią przewagę, miał w sobie to coś, czym czarował kobiety. Przy nim zapominało się o wszystkim, nawet o jego wyznaniu politycznym, a on to perfidnie wykorzystywał.

– Długo jeszcze? – usłyszała nagle nad sobą. Wokulski nerwowo dreptał w miejscu, tak jakby z chorą prostatą stał w długiej, zakręconej kolejce do kibla.

– Jeszcze kilka kęsów. Spokojnie, proszę mnie nie ponaglać, bo się udławię i wtedy nici z wyjazdu.

Wreszcie skończyła jeść i dopiła herbatę. Wstała od stołu, nachyliła się nad Ireną i szepnęła jej do ucha:

– Kiedy mnie tu nie będzie, miej oczy otwarte na wszystko. Sama nigdzie nie chodź, bo tu robi się groźnie. Najlepiej trzymaj się swoich rodziców. W kupie jest zawsze bezpieczniej.

– Poradzę sobie sama, z nimi jestem... powiedzmy, że w nie najlepszych stosunkach.

– Wiem, trudno tego nie zauważyć, ale dla waszego bezpieczeństwa lepiej pogódź się z nimi i trzymajcie się razem, póki nie złapią zabójcy. To jest taka dobra rada.

Zuza protekcyjnie poklepała ją po ramieniu i ruszyła do wyjścia. Domyślała się, że tak jak poprzednio została już spakowana i jej walizka spoczywa w bagażniku samochodu. Mijając Mariańskiego, uśmiechnęła się prowokacyjnie.

– Towarzyszu kapitanie, uważajcie na krokodyle. Jeden z nich ma na was oko. Tylko nie wiem, czy chce was zjeść czy przelecieć. Może bardziej to drugie? – zażartowała.

– Jeszcze was dopadnę, nawet ten Gastro wam nie pomoże! – krzyknął za nią.

– Strachy na Lachy! Do zobaczenia!

I znów były dwie godziny podróży, a po drodze prawie same nieciekawe widoki, niekończące się plantacje trzciny cukrowej i tytoniu przeplatające się z kukurydzą. Mijane wsie straszyły biedą nieznaną nawet we wschodniej Polsce, gdzie było najgorzej. Gdy dojechali do Hawany, wołga tym razem skręciła nad ocean, do portu. Cały teren wokół niego był obstawiony wojskiem i policją. Przez ten kordon nawet mysz by się nie przecisnęła. Kiedy opuścili samochód, ruszyli w stronę nabrzeża. Zuza szła kilka kroków za swoim przewodnikiem,

To był spory kawałek drogi, na pewno kilkaset metrów. Zatrzymali się przy dużej brązowej łodzi, właściwie kuterze. Na burcie widniał wymalowany napis „Pilar”. Po trapie Zuza weszła na pokład.

Przy kole sterowym zobaczyła znajomą sylwetkę. Od razu poczuła, jak serce zaczyna jej mocniej bić. El Comandante jej nie widział. Stał nachylony nad jakąś mapą. Nagle ją złożył i się odwrócił. Uśmiechnął się szeroko i przygaślił cygaro, by zapalić nowe.

– Señorita Zuzi. Cieszę się, że przyjechałaś moją propozycję. Popłyniemy zapolować na miecznika, czy znasz tę rybę?

Też pytanie! Kiedy na nią patrzył, to tak traciła głowę, że nawet nie знаła swojego nazwiska, a cóż dopiero mówić o jakiejś rybie.

Cholera, znów ją zaskoczył, on nawet wiedział, że lubi łowić ryby. Skąd czerpał te wszystkie informacje o niej? Czyżby od polskiej bezpieki? O mieczniku nie miała zielonego pojęcia. Coś kojarzyła, ale słabo, z lektury książek. Być może Hemingway coś o niej wspominał. Pan Zdzisio, kolega od wędkowania, na pewno o niej słyszał, ale ona nie.

– W Polsce ich nie ma. Nie znam takiej.

– To będziesz miała okazję ją poznać. Ta łódź była własnością mojego przyjaciela Ernesta Hemingwaya. Zapewne słyszałaś o nim. Wiele razy razem z Papą wypływaliśmy zapolować na mieczniki. On był od tego uzależniony prawie tak jak od rumu i cygar. – Fidel zarechotał.

– Kim jest Papa?

– Był. Tak właśnie nazywaliśmy Ernesta. Kochał tę wyspę bardziej niż niejednego Kubańczyk. Myślę, że dziś będziesz mieć fart i złowisz wielką rybę.

Uruchomił silnik i łódź ruszyła w morze.

Pogoda była piękna, w radiu słychać było latynoskie rytmy, a tuż obok Zuzy stał mężczyzna przystojny niczym amant z hollywoodzkiego filmu, na dodatek obydwójce palili wspaniałe cygara. To wszystko było dla niej jak jakaś piękna bajka. Była realistką i wiedziała, że to się niebawem skończy, ale było warto cieszyć się chociaż tą chwilą.

El Comandante zarzucał wędki, wyjaśniał, jak się nimi posługiwać, to była zupełnie inna szkoła jazdy aniżeli nadwiślański połów szczupaka, to było coś z dużo wyższej półki. Kiedy Zuza trzymała dłonie na wędzisku, on je korygo-

wał, kładąc na nich swoje. Czują szorstkość jego skóry, ciepło jego ciała, zapach cygar, którym był cały przesiąknięty, jego oddech. Co i raz wypili po szklaneczce zimnego guarapo. To wszystko było szalone.

Nagle Zuza podeszła do burty jachtu i spojrzała w morze. Fidel podszedł do niej i objął ją swoim silnym męskim ramieniem.

– Czego tam, Zuzi, szukasz? – spytał.

– Drugiej łodzi, tej, na której wiozą rybę, którą mam złowić.

– Nie rozumiem – wydukał, zaskoczony. – Co masz na myśli?

– W Polsce, kiedy nasz El Comandante wybiera się na ryby, to pletwonurek dyskretnie zakłada mu ryby na haczyk. On czuje się jak macho i wszyscy się cieszą.

– Okropne jest to, co mówisz, ale miecznik to charakterna ryba, ona się nie da nurkowi, przekonasz się. Czytałaś Stary człowiek i morze? Wiesz, że to prawdziwa historia? Tyle że ta prawdziwa źle się skończyła, bo w rzeczywistości to marlin pokonał rybaka. Wracając do nurka, to u nas też pełno głupich ludzi. Wiem, że jak gdzieś jadę, to moi ludzie na trasie przejazdu malują liście uschniętych palm na zielono.

– I ty nic na to? – zdziwiła się.

– A po co mam coś robić? To znaczy, że mnie się boją. – Puścił do niej oko. – Patrz, ryba bierze!

Rzucił się w stronę wędki, która nagle wygięła się w pałąk, a żyłka napięła się do granic możliwości.

Mariański zwołał do knajpy wszystkich wycieczkowiczów. Zaciekawieni rozsiedli się przy stołach, czekając na to, co ma im do powiedzenia.

Kapitan stanął przy barze, podciągnął portki i zwrócił się do nich.

– Towarzysze i towarzyszki, jak wiecie, jesteśmy kapitanem milicji i przeprowadzimy śledztwo, żeby złapać mordercę. Nie myślcie, że do tej pory próżnowaliśmy. Milicja obywatelska czuwa nad swoimi obywatelami i my to robimy już od samego początku. A jak myślicie, po co my tu jesteśmy? Przecież nie jesteśmy na wczasach czy w sanatorium. My i kapral Opara śledziliśmy jedną z podejrzanych. On poległ na polu chwały, ale my żyjemy i złapiemy przestępcę. Podejrzewamy, że z przestępcą współpracował jeden krokodyl. Nie mogliśmy go przesłuchać na tę okoliczność, bo nie ma jak się z nim porozumieć, a prócz tego nie wiemy, który to. Jest ich dużo, a Kubańczycy nie wyrazili zgody na prucie ich wszystkich i szukanie szczątków kaprala Oparę, i przez to jesteśmy zmuszeni zadowolić się samą stopą. Niestety, jej nie przesłuchamy, bo nie żyje.

Irena, słysząc tę tyradę z trudem się pohamowała, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

– A może to jakiś Kubańczyk? Oni tak dziwnie na nas patrzą – poddała jej matka.

– My, milicja obywatelska, to sprawdzimy, choć mamy innych podejrzanych. – Rzucił Pawłowicz przeciągłe spojrzenie. Ta powiedziała coś do ucha Niemcowi, po czym oboje podnieśli się i ruszyli do wyjścia.

– A wy gdzie?! – krzyknął za nimi.

Pawłowicz lekceważąco wzruszyła ramionami.

– Gównu wam do tego. Tu jesteście jedynie turystą, nikim więcej – odpowiedziała i wyszli z baru.

Zapadła cisza. Wszyscy patrzyli po sobie. Do części dotarły słowa Pawłowicz, inni z wiarą w oczach spoglądali na kapitana.

– A kim jest ta pani, co jej wciąż nie ma? Gdzie ona jeździ? Czy to nie dziwne? – odezwała się jedna z dentystek, ta o nazwisku Opara.

– To ona jako ostatnia kłóciła się z tym przystojnym panem z ministerstwa, a później go zamordowano – wtrąciła matka Ireny. – Może jest tu coś na rzeczy? Ona mi się od początku nie podobała.

– Kiedy zginął ten nieszczęśnik milicjant, ponoć widziano ją przy farmie krokodyli. Ciekawe, co tam robiła? – Druga z dentystek, Zofia Dworczyk, też wtrąciła swoje trzy grosze.

– A może to Kubańczycy chcą nas wymordować? Słyszałam, że ten Castro to kawał zbója, że codziennie przetaczają mu krew niemowlaków.

Irena przysłuchiwała się temu z coraz większym zdziwieniem. W końcu nie wytrzymała i zerwała się z miejsca.

– To nie jemu przetaczają krew, to Breżniewowi przetaczali. Dajcie spokój pani mecenas. To bardzo fajna kobieta, szkoda, że wy tu wszyscy tacy fajni nie jesteście. – Posłała wymowne spojrzenie w stronę matki.

– To nie ona. Żeby tak kogoś porąbać maczetą, to trzeba męskiej siły – zauważył ojciec Ireny. – Ten Niemiec to nie ułomek, a wszyscy widzieliśmy, jak obydwa się ze sobą kłócili. Ciekawe, o co im poszło? – spytała Dworczyk.

Mariański nagle zauważył, że jedna z Kubanek z obsługi stara się dyskretnie wywołać na zaplecze. Czyżby miała jakieś informacje w sprawie zabójstw? Musi ją natychmiast na tę okoliczność przesłuchać. Zajrzał za drzwi i wtedy ktoś chwycił go za koszulę i pociągnął do środka. Nim się zorientował, leżał na posadzce, a na nim siedziała

owa kobieta, całując go namiętnie w usta, i to z języczkiem. Kapitan w pierwszej chwili chciał ją z siebie strząsnąć niczym gruszkę z drzewa, ale zaraz poniechał tego zamiaru. Mariańska była hen daleko w Polsce, a on sporo słyszał o gorących Kubankach. Może przyszedł czas, żeby się przekonać, ile w tym prawdy. Właściwie to wciąż w telewizji, w Dzienniku Telewizyjnym, mówili o przyjaźni polsko-kubańskiej i teraz oto ona się tu mogła materializować, więc byłoby niepatriotycznie tej kobiecie odmówić. Kubanka była gorąca niczym gejzer, a energii miała tyle co jawajski wulkan, więc Mariański po kwadransie wyglądał jak przebita futbolówka, tak był kompletnie sflaczały, a najgorsze nastąpiło po chwili, kiedy kobieta bezceremonialnie zażądała od niego dwóch dolarów za usługę. Mit przyjaźni między narodami natychmiast prysł, a dwudniowa dieta w mig przepadła.

Kiedy wrócił do baru, nikogo już tam nie było. Na jednym ze stolików zauważył niedopitego drinka, więc długo się nie zastanawiając, sięgnął po niego i szybko opróżnił szklaneczkę.

Zuza była dumna z siebie, stała nad pierwszym złowionym w życiu miecznikiem.

– Teraz powinnam wypowiedzieć życzenie i go wypuścić.

El Comandante spojrział na nią ciekawie.

– Zuzi, a jakie by to było życzenie?

– Nierealne, więc nie warto o tym gadać. Zresztą on w ogóle nie przypomina złotej rybki. Jest o wiele za duży – odparła wymijająco.

– Rozumiem, ale możemy porozmawiać o twojej papudze. Jest o czym dyskutować, bo robi mi w Hawanie prawdziwą kontrrewolucję. Przeklina i wyzywa mnie od najgorszych, a inne papugi to w mig podchwytują. Nie mogę parzyć na to beczynninie i muszę jakoś zareagować, bo powiedzą, że El Comandante jest słaby, że nie jest macho, że trzeba go innym zastąpić.

– Chcesz na moją arę wyprowadzić wojsko? – zażartowała.

Poczuła nagle wielki szacunek do Zgagi. Owszem, zawsze ją szanowała, bo kilka razy uratowała jej życie, wznosząc okrzyki, które skutecznie płoszyły bandziorów, ale teraz poszła o duży krok dalej, ona sama wystąpiła przeciwko całej komunistycznej armii. Swoją postawą zawstydziała wielu opozycjonistów, a to tylko małe pierzaste stworzonko.

– Nie mam wyjścia – odparł sucho, a w chwilę potem, widząc zgorszoną minę Zuzy, parsknął śmiechem.

– Choćbym zechciał, to nie mogę tego zrobić, bo wtedy cały świat by się ze mnie śmiał. Kazałem weterynarzom złapać twoją papugę i ją aresztować. Mam nadzieję, że to położy kres jej wywrotowej działalności i tym samym zamknie sprawę.

– Ale jak ją rozpoznają? One wszystkie są jednakowe, chyba nawet ja jej nie odróżnię.

– To ich problem, nie mój. – Przerwał na chwilę, żeby zapalić następne cygaro. – Teraz dobijemy do brzegu i zabiorę cię do El Floridita, ulubionej knajpy Ernesta, na daiquiri. Jeszcze długo przed rewolucją często tam bywaliśmy. Później Papa wyjechał i nie wrócił. Wybrał swoją dubeltówkę. Brakuje mi go.

Spojrzenie Fidela zatrzymało się gdzieś w oddali, na krańcu horyzontu.

– Chyba naprawdę się przyjaźniliście?

– Chyba tak można to nazwać. Stare dzieje.

Nagle zerknął na nią.

– Napijesz się twojego ulubionego stocka?

– Widzę, że pamiętałeś.

– Owszem, nie tylko o tym. – Z kieszeni bluzy wyjął paczkę ekstra mocnych bez filtra, czym wprawił Zużę w osłupienie. Widząc jej minę, dodał: – Dla El Comandante nie ma rzeczy niemożliwych.

Dobili do brzegu i wsiedli do limuzyny.

Kiedy przejeżdżali kolumną samochodów przez Hawanę, przez uchylone okna co i raz słyhać było okrzyki:

– Preeecz z koooomuną! Caaaastro tooo paaalant! Caaaastro tooo chuuuuuj! – I ten, który Zużę chwycił za serce: – Kooocham Zuuuuużę!

Zerknęła na Fidela. Miał kamienną twarz, ale pewnie gdzieś tam w środku był wściekły, no bo kto lubi, jak ktoś go beczelnie wyzywa i, co najgorsze, na dodatek bezkarnie pomacha mu przed nosem piórami?

Wjechali w dzielnicę La Habana Vieja i zatrzymali się przy skrzyżowaniu ulic Obispo z Avenida de Bélgica.

El Floridita właściwie niczym się nie wyróżniała wśród innych knajp poznanych już przez Zużę. Stoliki stały pod wielkimi oknami z widokiem na ulicę, a po drugiej stronie lokalu znajdował się rząd wysokich stołków przy barze. Kawiarnia była właściwie pusta, zapewne kubańska bezpieka opróżniła ją tuż przed ich wizytą, o czym świadczyły choćby szklanki z niedopitymi napojami na niektórych stolikach. Usiedli przy jednym z nich. Zuza domyśliła się, że

pewnie to ten Hemingwaya. Rozejrzała się po sali. Jednak nie czuła tego klimatu, chyba umarł razem z pisarzem, a może zgasł w dniu zwycięstwa rewolucji?

Zuza, co ty wyprawiasz? Co chwila nachodziło ją to samo pytanie. Przecież El Comandante to komuch, i to najczystszej krwi, tyran prześladowający własny naród. To, co robisz, zupełnie nie pasuje do ciebie. Ty nie jesteś taka jak oni, ty ich nienawidzisz. To wina jego uroku osobistego. To wszystko wina Castro. Był niczym hipnotyzer. Kiedy patrzył na nią, kiedy do niej mówił, natychmiast rozum jej się wyłączał. Dobrze wiedziała, że nie była pierwszą, która mu uległa, tak jak i nie będzie ostatnią. Za kilkanaście dni, kiedy wróci do Polski wszystko się skończy. On będzie czarował następną kobietę, a ona od nowa będzie walczyć z komuchami i może jedynie co jakiś czas po kilku kieliszkach stocka wspomni z łezką w oku ten szalony wyjazd.

– Zamówiłem daiquiri. Wiesz, że przydomek lokalu brzmi: la cuna del Daiquiri? Co znaczy kolebka daiquiri. W tym lokalu prócz Papy bywał także Graham Greene, a teraz jesteśmy my. Czyż to nie wspaniałe? – Chwylił jej dłoń w swoją, spojrzawszy jej głęboko w oczy. I znów odpłynęła, w jednej chwili zapomniała o bożym świecie.

Później pojechali do jego willi. I znów była szalona noc, i znów El Comandante wziął ją w posiadanie. Rozerwał zapięcie sukienki, po czym ściągnął ją z niej, zdarł bieliznę i wszedł w nią swoim monstrualnej wielkości penisem. Była w siódmym niebie. Czemu nawet wtedy trzymał cygaro w zębach?, przemknęło jej przez głowę, kiedy była w miłosnym uniesieniu, ale to pytanie pozostało bez odpowiedzi.

Ranek przywitała samotnie. Zjadła śniadanie, dostała wiązankę czerwonych róż i wsiadła do wołgi. Jednak tym razem, zanim ruszyli do hotelu na bagnach, kazała się zawieźć do Eduarda.

Był zaskoczony jej widokiem.

– Siostra? A ty co tu robisz? Ty nie być na wycieczka? Co się stać? – zaatakował ją pytaniami.

Czuła, że się rumieni. Cholera, chyba pierwszy raz od wielu lat.

– Byłam tu na zaproszenie waszego... – I tu się zacięła. – Waszego przywódcy.

W tym momencie Eduardo zrobił dziwną minę. Wyglądał, jakby połknął dorodnego melona, i to całego.

– Castro? – wydukał. – Ten Castro? Ten, o którym myślę? Sam Fidel Castro cię zaprosił?

Jedynie kiwnęła głową.

– On cię uwieść? – spytał retorycznie, bo zaraz dodał: – On wszystkie uwieść. On uwieść trzydzieści tysięcy kobiet, on uwieść gwiazdy filmowe, dziennikarki, on być diabeł w ludzkiej skórze. On nie powinien nazywać się Castro, jego powinni wy... CASTRO... wać. Siostra, ty się nie martwić, ty nie móc inaczej zrobić. Ty pojechać do Polska i o wszystkim zapomnieć. Tak być lepiej.

Uśmiechnął się i czule ją objął.

– Chodź, ja ci przedstawić moja narzeczona. Ona już przyjechać z Polski, ona i jej rodzice. Ty ich poznać. Ty ich na pewno polubić.

Poprowadził ją w głąb mieszkania. Weszli do jadalni, akurat wszyscy jedli śniadanie. Od razu domyśliła się, z kim Eduardo chce się związać na resztę życia. Obok dwojga starszych ludzi siedziała długowłosa blondynka. Na widok Zuzy poderwała się z krzesła.

– To Grażynka, a to moja siostra. Ja ci dużo mówić o niej. Ona być tak jak ty wróg komunistów. Wy znaleźć wspólny język. Wy się pokochać.

– Dzień dobry. – Dziewczyna posłała jej szeroki uśmiech. – Słyszałam na ulicy pani papugę. Eduardo twierdzi, że wszyscy w mieście o niej mówią. Genialnie to pani rozegrała.

– Przepraszam, co rozegrałam? – Zuza się zdumiała, bo nie bardzo wiedziała, co tamta ma na myśli.

– No, wypuszczenie tej papugi na wolność, żeby podburzała Kubańczyków przeciwko temu tyranowi. To jest prawdziwy bandyta i zasługuje na potępienie.

– Ale prawda wygląda zupełnie inaczej. Ja jej nie wypuszczałam, sama mi związała. Wybrała wolność, ja to rozumiem i szanuję jej decyzję.

– Tak, rozumiem, że lepiej tak mówić. – Grażynka porozumiewawczo puściła do niej oko.

Zuza więcej nie prostowała. Głupia blondzia, nie warto było z nią wchodzić w dysputy. Niech wierzy, w co chce.

– Cicho! Grażynka, ty mówić szeptem, ja nie chcicie kłopoty. Tu ściany mieć uszy, bo tu Kuba.

Eduarda wyraźnie zaniepokoiła ich rozmowa.

– Czy potrzebujesz czegoś na wesele? – zwróciła się do niego Zuza. – Mów! Mogę ci pomóc.

W kontekście jej kontaktów z El Comandante to jednak w tym momencie zabrzmiało źle.

– Mam dolary, przemyciłam je z Polski, a wiem, że za nie tu można wszystko kupić – od razu wyjaśniła, co miała na myśli.

– Ja dziękować, ale siostra, ja mieć wszystko. Ty też mieć mnóstwo inna pieniądza, bo ja sprzedać te wszystkie błyskotki religijne. Ty mieć łeb na karku, że ty to przywieźć. To jest złoty biznes. Głupia ludzia, oni się bić o to. Ty być tu krezus. Ja też nie biedak.

Zza pazuchy wyjął gruby plik dolarów i wcisnął je w dłoń zdumionej Zuzy.

– A co ty teraz robić? Ty jechać do hotelu? – zaczął ją wypytywać. – Ty mieć tyle pieniędzy, że ty możesz pić szampan i tylko balować.

– Nic z tego. Nie zamierzam balować, na ulicy czeka na mnie samochód i wracam do rezerwatu krokodyli – odparła, chowając pieniądze do torebki.

– A jak wycieczka? Ty być zadowolona?

Zawahała się. To był prezent od niego i nie chciała mu robić przykrości.

– Jest super, pierwszy raz widziałam krokodyla ludojada i pierwszy raz miałam do czynienia z tańcem z maczetą. Adrenalina buzuje, naprawdę świetna rozrywka – stwierdziła.

Eduardo nie wyczuł w jej odpowiedzi żadnego podtekstu, no bo skąd mógł wiedzieć, co działo się na bagnisku, a Zuza postanowiła mu tej wiedzy zaoszczędzić. Nawet nie wspomniała o chmarach komarów i innego skrzydlatego badziewia atakującego ich od rana do późnej nocy.

– To ja się cieszyć.

Uścisnęli się serdecznie i Zuza opuściła mieszkanie.

I znów ponad dwie godziny spędziła w samochodzie, nim dojechali na miejsce.

Jak tylko wysiadła z wołgi, nie wiadomo skąd zjawiła się Irena, chyba dziewczyna musiała od jakiegoś czasu na nią wyglądać. Była cała podekscytowana, a więc znów coś się wydarzyło. Chwyliła ją za rękę i odciągnęła na bok.

– Pani mecenas, coś przez przypadek podsłuchałam.

Zuza spojrzała na nią z ciekawością.

– Mów!

– Przypadkowo usłyszałam fragment rozmowy między Niemcem a moim ojcem. Nie wiedziałam, że się znają.

– To się zdarza – zakpiła Zuza. – A może dopiero się poznali?

– Nie, to była kłótnia. Mało tego, ten Niemiec świetnie zna nasz język. On tylko udaje, że nic nie rozumie.

Zuza uniosła brew, zdziwiona.

– To ciekawe. Może wiesz, o co im poszło?

– Niezupełnie. W sumie nic z tego nie rozumiałam. Niemiec mówił, że nie wszystko idzie zgodnie z planem, że ktoś ich oszukał.

– Nic więcej? Spróbuj sobie przypomnieć, może choć jakieś pojedyncze słowa, wtedy coś z tego spróbujemy sklecić.

– Nie, to było wszystko. Zaczynam się bać. Mój ojciec nawet mi nie wspomniał wcześniej, że się z tamtym zna, a nieraz rozmawialiśmy o uczestnikach tej wycieczki.

– A co o mnie mówiliście? Tego jestem bardzo ciekawa.

Dziewczyna zakłopotana się, czym tylko rozśmieszyła Zuzę.

– Nie przejmuj się, ludzie od lat obrabiają mi dupę, już się na to uodporniłam. Chodź, lepiej poczęstuj cię stockiem. Tak rzadko go piję, że prawie się od niego odzwyczaiłam.

– O nie, tylko nie to. – Irena aż się wzdrygnęła. – Wolę już cygaro.

– Niech będzie. – Zuza spojrzała na wiązanekę, którą cały czas trzymała w dłoni. – Chcesz te kwiaty?

– Już mam jeden bukiet.

– Nie to nie, damy je krokodyłom. Ciekawe, czy je zeżrą?

– Pewnie nie, bo krokodyle są mięsożerne.

– W komunie, nawet w tropikalnej, nic mnie już nie zdziwi, choćby krokodyl kwiatožerca.

– A mogę panią spytać, od kogo te kwiaty? Są piękne i na pewno drogie. Tu wszystko, co ładne, kosztuje masę pieniędzy.

– Spytać możesz, ale nie odpowiem. Gdybym ci zdradziła ten sekret, to musiałabym cię zabić.

Zuza puściła do niej oko i trzymając walizkę w jednym ręku, a kwiaty w drugim, ruszyła w stronę hotelu.

Po południu Zuza opalała się na balkonie, popalając ekstra mocne i popijając stocka.

– Na pomoc! Na pomoc! Ludzie, ratujcie! – Przerażający krzyk nagle rozniósł się po okolicy.



Goście wybiegli przed hotel, pracownicy również, ale ich zwabił sam okrzyk, no bo nie znali języka polskiego.

– Ratunku! – dochodziło od strony farmy krokodylej.

W pierwszej chwili nie było chętnego do pójścia z pomocą. Dopiero kiedy Zuza poderwała się z leżaka i uzbrojona w kij od szczotki wybiegła z hotelu, mężczyźni do niej dołączyli. Pewnie zareagowali bardziej ze wstydu przed swoimi kobietami niż z chęci niesienia pomocy. Wszyscy razem ruszyli w kierunku, z którego dochodziły okrzyki. Przebiegli kilkadziesiąt metrów wąską ścieżką, po bokach obrośniętą wysokimi trawami, a także trzcinami, i znaleźli się na dużym placu. Na jego obrzeżach stały parterowe budynki gospodarcze, znajdował się też spory wybieg ogrodzony drewnianymi żerdziami, szerokie poidło dla zwierząt i wysoka woliera obudowana metalową siatką z zamkniętą tam gromadą różnorodnego ptactwa, począwszy od kolorowych papug aż po drób domowy. I oto na tej wolierze, na wysokości dwóch metrów, wisiał Mariański kurczowo wczepiony palcami obu rąk w siatkę. Pod nim na ziemi wylegiwał się w słońcu krokodyl długości bliskiej długości domowego kota. Widok był przezabawny. Najpierw Zuza, a potem reszta ratowników parsknęli gromkim śmiechem. Zaraz po nich zjawił się jeden z pracowników i za pomocą bambusowej tyczki przegonił gada. Dopiero wtedy kapitan zdecydował się zejść z ogrodzenia. Z racji tuszy zrobił to nieporadnie i w chwilę potem leżał jak długi w miejsku, gdzie chwilę wcześniej wygrzewał się jego prześladowca. Widząc wokół siebie rozbawione twarze, zrobił marsową minę i ciężko sapiąc, udał się w stronę hotelu. Miłując Zuze, mruknął wściekle pod nosem tak, żeby usłyszała:

– Jeszcze cię dorwę, ty imperialistyczna suko! Zakuję w kajdany i wtrącę do kryminału.

Szeroko się uśmiechnęła i odparowała:

– Chciałbyś, ale nie ma na to szans, ty tłusta komunistyczna świni.

Mariański czuł się poniżony i ośmieszony. Miał już dość tej wyprawy, było gorąco i wciąż się pocił, nawet nie miał tu się za co z rozpacy upić, a patrząc na zaopatrzenie tutejszych sklepów, to za dietę nie kupiłby nawet sznura, żeby się na nim powiesić. W minorowym nastroju wziął się do pakowania rzeczy po Oparze i nagle zupełnie przypadkowo znalazł w jego brudnych, śmierdzących gaciach zaszyty banknot dwudziestodolarowy. W tym momencie poczuł się prawie jak wtedy, kiedy otrzymał Order Budowniczych Polski Ludowej. Teraz był bogaty, bo miał w kieszeni aż dziesięć diet. Od razu pomyślał o tej Kubance. co zaciągnęła go na zaplecze i dosiadła niczym ognistego rumaka. To było szalone, do dziś bolały go jądra, ale był gotów to powtórzyć. W końcu teraz było go na to stać i nie tylko na to, ale tutejsze atrakcje w żaden sposób nie przesłaniały mu celu jego tajnej misji. Prócz tego jeszcze doszło śledztwo, które musiał prowadzić na własną rękę. Już oczami wyobraźni widział, jak na Okęciu w blasku fleszy dziennikarzy wyprowadza z samolotu zabójcę kaprała Oparę i tego drugiego, którego nazwisko zapomniał. Oby tym mordercą okazała się Lewandowska, to byłoby piękniejsze nawet od rżnięcia tej Kubanki. Kiedy już jako tako ogarnął rzeczy kaprała, usiadł przy stole i wyjął swoje notatki. Do tej pory na okoliczność paragrafu 148 przesłuchiwał już większość osób. Została mu jeszcze Pawłowicz i ten Niemiec. Niemca nie miał jak przesłuchać, bo tamten ni w ząb nie znał języka polskiego, a Pawłowicz nie zamierzała być tłumaczem. Mało tego, wyzwała go od najgorszych, nazywając go tłustym fiutem z małym fiutkiem. Po ustaleniu przez ambasadę, że Niemiec mieszka w Niemczech Zachodnich, a nie w NRD, nawet bez chwili zastanowienia wpisał go na listę podejrzanych, imperialistyczna świni, na dodatek ryż, a ryż to fałszywy.

Kiedy tak siedział i dumiał nad śledztwem, przegrzewając swoje nieliczne szare komórki, przed hotel zajęchała czarna wołga. Taka sama, którą w Polsce porywano małe dzieci. Z samochodu wysiadł attaché kulturalny z ambasady polskiej.

– Gdzie znajdę obywatela Mariańskiego? – zaczął Irene, która akurat przechadzała się przed wejściem.

– Pewnie siedzi w swoim pokoju na pierwszym piętrze. To tamte okna. – Wskazała palcem.

– Kurwa mać, co wy robicie?! Chyba was pojebało?! – Attaché wydierał się na cały hotel.

– Ale myśleliśmy, że chodzi o tę Lewandowską. Tak przecież gadaliście – bąkał Mariański, wycierający czoło z potu wielką kraciatą chustką.

– Kurwa mać, wy nie jesteście od myślenia, ale od wykonywania rozkazów. Nie jesteście na wczasach, tylko w robocie. Odpierdolicie się od Lewandowskiej, zapomnijcie o niej. Wy nie wiecie, kto ją rżnie. Kapitanie, stąpacie po grząskim gruncie. Wystarczy jej jedno słowo i was nie ma. I nie myślcie, że ktoś się o was upomni. Jesteście na Kubie, a nie u siebie. Nasze kryminały przy tutejszych to sanatoria albo domy wczasowe. Tu jak was bezpieka zwinie, to nie będzie się patyczkować, tylko od razu podłączą wam kable do jajek i włączą wysokie napięcie. W mig wam się one usmażą, a to będzie dopiero początek. Później będzie dużo gorzej.

– Ale, towarzyszu pułkowniku, tu doszło do przestępstwa. Zabito dwie osoby, w tym kaprała milicji obywatelskiej, i to na służbie. Zjedzono go.

Attaché rozejrzał się nerwowo, czy ktoś ich aby nie słyszy.

– Kurwa mać, nie nazywajcie mnie tak, tu jestem kierownikiem wydziału kultury i kropka. A wracając do zabójstw, to nie wiem, czemu jeszcze nie znaleźliście mordercy. Przecież jesteście tu na miejscu. To co wy tu robicie? Pewnie chłacie do nieprzytomności. Mieliście przysyłać raporty, gdzie one są?

– Tu, towarzyszu kierowniku.

Mariański sięgnął po papierową teczkę z nadrukiem „Ścisłe tajne!”.

Pułkownik zajął do nich, chwilę czytał, po czym energicznym ruchem zamknął teczkę.

– Kto to pisał? Dzieciak jakiś? Analfabeta? Komu zleчилиście napisanie tych raportów? To wam się nawet nie chciało tego zrobić? Kurwa mać, bekniecie za to, to pewne.

– Melduję, że nikomu. To my sami pisaliśmy. – Mariańskiemu głos drżał ze zdenerwowania.

– Poważnie? Nie żartujecie?

– Nie, to nasza robota, to przecież ściśle tajne.

Attaché nic nie odparł, tylko podparł głowę ręką.

– Macie zimną wodę?

– Tak jest! – Kapitan chwycił szklankę i pobiegł z nią do kranu.

– Stać! – Pułkownik nagle się otrząsnął. – Czyście zupełnie zdurnieli? Pijecie wodę z kranu? Czy chcecie zdechnąć na jakąś tropikalną chorobę? Kurwa mać, opowiadali mi sporo o was, ale myślałem, że to mocno przesadzone. Jakże cholernie się myliłem. A tak z innej beczki, to przywiozłem wam pewne informacje na temat tego zamordowanego i tego zjedzonego.

– Kaprala Oparę znałem od lat. To był prawdziwy komunista z krwi i kości, a pozostała po nim jedynie stopa – wyrecytował Mariański. Teraz mógł nawet pochwalić Oparę, już mu nie zagrażał.

– Gówno go znaliście. Czy wiedzieliście, że on ma brata na Zachodzie? Że przez znajomych wysyłał do niego listy, w których szkalował władzę ludową? O was też pisał, śmiał się z was. Nazywał was idiotą! I tu musimy się z nim zgodzić, bo jesteście idiotą, kapitanie Mariański!

Kapitan zbladł. To było dla niego gorsze upodlenie niż to, że jego baba kiedyś puściła się z grabarzem, i to na grobie jej ojca. Mało tego, miało to miejsce dzień po pogrzebie.

– Niemożliwe! To może inny Opara? Nie mógł być on, nie wierzymy – wydukał.

– To ten Opara. Wiem, co mówię. Spotkała go za to zasłużona kara. Ten krokodyl powinien dostać medal. A ten drugi, ten zamordowany, kiedyś nosił inne nazwisko, ale je zmienił. Nazywał się Kaszkin i urodził się, tak jak wy, w Płocku. Mówi wam coś to nazwisko?

– Pierwsze słyszymy, towarzyszu kierowniku, ale jak wrócimy, to sprawdzimy tego Kaszkinina.

– I tak do niczego nie dojdziecie. – Attaché głęboko westchnął. – Śledztwo w tej sprawie prowadzą Kubańczycy i macie im nie przeszkadzać.

– Ale oni nic nie robią – bąknął Mariański.

– A wam nic do tego! Jak nie znajdują zabójcy, to świat się nie zawali, ważniejsze jest to, żeby kwitła przyjaźń między naszymi narodami, i dlatego tego nie spierdolicie. I na koniec jeszcze raz przypomnę: nie tykajcie tej Lewandowskiej, bo ona jest teraz najważniejszym elementem tej przyjaźni. Zrozumiano, towarzyszu kapitanie?

– Tak jest!

Zuza poszła na spacer po okolicy. Nieopodal baru natknęła się na Pawłowicz i nie omieszkała jej zaczepić.

– Muszę przyznać, że z ciebie jest kawał sprytnej suki. W Polsce właściwie wszystkich wystawiłaś do wiatru, nawet mnie. Powiedz mi, bo wciąż tego nie wiem, czy ten trup w Warszawie, w zamrażarce, to twoja robota? Mimo wszystko jakoś mi on do ciebie nie pasuje.

– Domyśl się. Ponoć jesteś taka bystra – zakpiła tamta.

Zuza udała, że nie wyczuła drwiny.

– Wciąż się głowię nad tym, co ty tu robisz. Wiem, że masz paszport niemiecki i przez to nie grozi ci deportacja do Polski, ale po cholere akurat tu przyjechałaś? Przecież jest tyle pięknych krajów, na które cię stać. Przecież na skarbie popa zarobiłaś fortunę, mam rację? To były w końcu bezcenne przedmioty.

– Nic nie rozumiesz i oby tak dalej – odparła Pawłowicz tajemniczo i poszła, zostawiając Zuze z niezłym bałaganem w głowie.

Do cholery, co tamta miała na myśli? Zaczęła się zastanawiać.

Wracając do hotelu, wstąpiła jeszcze do baru na drinka. Była jedynym klientem. Nic dziwnego, bo była jeszcze wczesna pora. Zamówiła daiquiri i usiadła przy stoliku w kącie. Nie zdążyła umoczyć w nim ust, gdy zjawiła się Ban-

durska, matka Ireny. Jak tylko ją zobaczyła, od razu do niej podeszła, chyba jej szukała. Dziwne, bo od pierwszego dnia nie zamieniły między sobą nawet jednego słowa. Mało tego, Zuza czuła, że tamta nie darzy jej wielką sympatią, a wręcz kilka razy ostentacyjnie okazała jej dużą niechęć.

– Mogę się przysiąść? – spytała i nie czekając na pozwolenie, zajęła miejsce na sąsiednim krześle, co nie wzbudziło u Zuzy zachwyty, bo przysła tu po to, by w samotności wypić szklaneczkę czegoś mocniejszego.

– Musimy porozmawiać – rzekła Bandurska drżącym ze zdenerwowania głosem. – Dopiero teraz usłyszałam o pani, że pani jest jak Sherlock Holmes, że łapie zabójców.

– No, proszę nie przesadzać, jestem tylko adwokatem – zaoponowała Zuza, choć poczuła się miłe polechtana tym porównaniem.

– Ten zabity, to wie pani, ja go znałam – stwierdziła i dodała zaraz: – Dobrze go znałam. – Wypowiadając te słowa, zarumieniła się.

Czyżby był jej kochankiem? No proszę, a to komunistyczny Casanova.

– Mąż o tym wiedział? – spytała Zuza i od razu przypomniało jej się to, co widziała Irena. Wspomniała jej o kłótni jej ojca z ofiarą.

– Wiem, do czego pani zmierza. Nie, na pewno nie. Mój mąż nie jest zabójcą. On by kury nie skrzywdził.

– Kury może nie, ale faceta, który poderwał mu żonę, to kto wie – zakpiła Zuza, po czym wstała od stołu i poszła do baru po drinka. Przyniosła go i postawiła przed matką Ireny.

– Proszę się napić, to pomaga. Wiem to z własnego doświadczenia. Nieraz potrzeba kilku kolejek. Dawno to było?

– Co dawno? – Kobieta spojrzała na nią nic nierozumiejącym wzrokiem.

– No, ta szalona znajomość.

– Rok temu. Zaczepił mnie na ulicy. Był taki zabójczo przystojny, a jaki dżentelmen. Już pierwszego dnia dostałam od niego bukiet czerwonych róż. Od męża nie pamiętałam, żebym kiedykolwiek dostała kwiaty, no może kiedyś na początku jakieś nędzne tulipany.

– Długo to trwało? Czy to przypadek, że znalazł się akurat na tej wycieczce?

Bandurska upiła duży łyk i odstawiła szklaneczkę.

– Ja mu to załatwiłam. Prosił mnie o to, a ja nie potrafiłam mu odmówić, choć chciałam.

Zuza dobrze wiedziała, o czym tamta mówi. Tak ją właśnie zaczarował El Comandante. Przy nim czuła się jak kobra poruszająca się w rytm ruchów fletu zaklinacza węży.

– Czemu mu tak na tym zależało? Przecież jechała pani razem z mężem. Może coś wspomniał na ten temat?

– Ponoć całe życie o tym marzył.

– No to marzenie mu się spełniło, i to z przytupem – mruknęła pod nosem Zuza.

Nagle matka Ireny chwyciła ją za rękę, miała łzy w oczach.

– Niech pani znajdzie zabójcę, błagam. Przecież w końcu wyjdzie na jaw, że ja go znałam, a wtedy będą podejrzewać Staszka, a on jest niewinny.

– Skąd pani wie, że jest niewinny? Ma jakieś alibi? Była z nim pani w tym czasie?

Zuza wbiła w nią natarczywe spojrzenie. Wciąż się zastanawiała, co nieboszczyk zobaczył w Bandurskiej. Kobieta była od niego sporo starsza, mało atrakcyjna, a na dodatek zaniedbana. Może chodziło tu o coś zupełnie innego.

– Tak, wtedy spał. Byłam w pokoju i mogę to poświadczyć – wydukała po dłuższej chwili. Zuza wiedziała, że skłamała, że wymyśliła to na poczekaniu.

– Co więcej pani o nim wie? Gdzie pracował, na jakim stanowisku? Czy miał rodzinę? Chyba wtedy, kiedy się widywaliście, to coś mówił o sobie?

– Był bardzo skryty, raczej mnie wypytywał o wszystko.

– O wszystko? Co pani ma na myśli?

– No, o rodzinę. Skąd pochodzę i skąd pochodzi mąż. Interesował się córką. Pytał, gdzie studiuje i jak jej idzie na uczelni.

– A jak się pani udało wcisnąć go na wycieczkę?

– To było proste, bo byłam główną organizatorką. Mąż jest dyrektorem, to przyklepał listę, nawet do niej nie zagładając.

Drzwi rozwarły się z hukiem. Do knajpy wtoczył się Mariański. Widząc Zuzę, posłał jej zwyczajowo nienawistne spojrzenie. Zajrzał na zaplecze, pewnie szukał Kubanki.

Nie widząc jej, podszedł do baru i zamówił rum. Dziwne, bo dotąd szczypał się na wszystko. Ciekawe, skąd miał na to pieniądze? Wypił i znowu zamówił. Ponownie wypił i już ciut podchmielony podszedł do Lewandowskiej.

– Wiemy, że maczaliście w tym swoje łapy, ale nie wolno nam was ruszyć. Poczekamy, aż zdejmą zakaz, i wtedy was aresztujemy, postawimy zarzuty i wsadzimy was do kryminału. Innych możecie oszukać, ale nie nas, nie kapitana Mariańskiego. My was już dawno przejrzelśmy i wiemy, co z was za imperialistyczny element. Bójcie się!

Podciągnął wciąż mu spadające portki i ruszył do wyjścia.

– Boję się! Po nocach nie śpię ze strachu! – krzyknęła za nim ze śmiechem Zuza.

## POLSKA

**B** było dobrze po północy, Płock spał. Jedynie w niektórych mieszkaniach słychać było przyciszone radio. Często trzeszczało, zagłuszane komunistycznymi zagłuszaczami, bo naród nie powinien wiedzieć, co się dzieje na świecie, naród powinien wierzyć w to, że nigdzie nie jest tak dobrze jak tu, w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, że jak u nas czegoś brakuje, to na zgnitym Zachodzie brakuje tego w dwójnasób, że jesteśmy mocarstwem jakich mało na świecie. Kowalski w szlafroku siedział przy radioodbiorniku i łapczywie chwycił uciekające co chwila fale Radia Wolna Europa, wsłuchując się w padające tam słowa i każde z nich dokładnie analizując.

– Jak donosi nasz korespondent z Miami, na Kubie coraz częściej słychać na ulicach okrzyki wznoszone przeciwko reżimowi Fidela Castro. Co ciekawe, są one wykrzykiwane w języku polskim. Być może jest to część planu obalenia tyrana. Będziemy państwu relacjonować wszystko na bieżąco. Tu rozgłośnia polska Radia Wolna Europa. Słuchajcie nas na falach krótkich siedemdziesiąt pięć metrów...

– Cholera – zaklął pod nosem. Zuza była teraz w samym centrum kontrrewolucji. Oby nic się jej nie stało, bo kancelaria bez Zuzy nie może funkcjonować. Będzie musiał ją zamknąć i znów wrócić na swój garnuszek, a dobrze pamiętał, jaki to miało finał. Gdyby go wtedy Zuza nie wyciągnęła z tego marazmu, to pewnie skończyłyby ze sobą. Był już o krok od tego, nawet kupił sznur.

Spojrzał na budzik. Dopiero pierwsza. Do rana sporo czasu.

– Kochanie, idziesz do mnie? – usłyszał z sypialni. To Aneta, poznał ją kilka dni temu w Hortexie i od razu wpadli sobie w oko. Tak, to będzie ta jedyna. Czas się ustatkować, mieć żonę i dzieci.

– Już idę.

Wstał z krzesła, zdjął szlafrok i w samej piżamie podreptał do pokoju obok.

Kowalski tej nocy nie mógł już zasnąć, wciąż się budził, aż w końcu tuż przed siódmą rano zerwał się z łóżka, ubrał się i pobiegł do kancelarii.

Jolka, widząc go o tak wczesnej porze, zdumiała się niezmiernie. Spojrzała na zegarek, żeby sprawdzić godzinę.

– Czy coś się stało?

– Tak, dzwoń do Nowaka, niech tu przyjdzie. Mam informacje o Zuzie.

Aplikantka z wrażenia poderwała się z krzesła.

– Dzwoniła? Co mówiła? Już po weselu?

– Nie dzwoniła, ale mam złe informacje. Dzwonź po niego!

– O mój Boże! Stało się coś? – Przerazona, nie przestawała dopytywać.

– Na Kubie wybuchła kontrrewolucja. Zuza jest w samym jej centrum. Ponoć to robota naszych rodaków. Właśnie obalają Fidela Castro.

– A skąd tam tyłu naszych?

– Możliwe, że to ci emigranci z Ameryki. Pewnie przyplłynęli łodziami. Część z nich może być z tego kraju obok, no jak mu tam. – Chwilę szukał w pamięci. – Z San Escobar. Tam prezydentem jest ponoć nasz rodak, nazywa się Waszczyk czy jakoś tak.

– Czy myśli pan, że kiedy obalą Castro, to przyplyną do Polski i obalą Jaruzelskiego?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Skąd mogą to wiedzieć? Już kiedyś czekaliśmy na Andersa. Miał przyjechać na białym koniu i nas wyzwolić od Bieruta, ale się nie doczekaliśmy.

Pułkownik Koziół siedział w swoim gabinecie i patrzył na zwitek papieru. Patrzył, bo przeczytanie tego tekstu graniczyło z cudem.

– Kurwa mać, co to jest!? – ryknął, po czym sięgnął po słuchawkę telefonu.

– Kasin, chodźcie tu, i to szybko!

Po chwili chorąży przeżył pierś przed zwierchnikiem.

– Siadajcie! – Przełożony wskazał mu krzesło, zanim cisnął na blat biurka zwitek papieru, który do tej pory trzymał w dłoni.

– Czytajcie!

Kasin podrapał się po głowie, wyraźnie zdenerwowany.

– Melduję, że nie da się tego czytać – odparł po dłuższej chwili.

– Kto obsługuje telefax? Czy w komendzie nie ma nikogo, kto by to potrafił zrobić należycie? Czy ja muszę pracować z samymi debilami? Powiedzcie mi.

– Towarzyszu pułkowniku, sami kilka razy sprawdziliśmy treść tego szyfrogramu. Wszystko się zgadza.

Kozioł chwycił się za głowę w geście rozpaczony.

– Czyli to nasza wina?

Kasin popatrzył na niego nic nierozumiejącym spojrzeniem. Co jego przełożony miał na myśli?

– To my wysłaliśmy tego debila na Kubę. To my wysłaliśmy tego drugiego, no jak mu tam?

– Oparę – odpowiedział chorąży.

– No właśnie, Oparę tylko po to, żeby go krokodyl wpierdolił. Co za idiota z niego, że dał się zeżreć przez tego gada. Co powiemy jego rodzinie? Co powiedzą na to moi zwierzchnicy? Tam w Warszawie niektórzy tylko czekają na jakieś nasze potknięcie, żeby nas wypierdolić. Przecież wiecie, że jednym z naszych zastępców jest były mąż tej śpiewaczki, tej, co wygrała festiwal piosenki żołnierskiej w Kołobrzegu. Mówią, że na Jaruzelskiego mówi „wujek”. Rozumiecie, o kim i o czym mowa?

– Oczywiście, towarzyszu pułkowniku.

– Dobra. Zrobimy tak. Na razie morda w kubel, czekamy. To ma nie wycieknąć na zewnątrz. Zrozumiano?

– Tak jest.

– Poczekamy na rozwój wypadków. Może i tego idiotę inny krokodyl wpierdoli. Przynajmniej miałbym go z głowy, a tak wróci i znów będę się z nim szarpał. Macie mi o wszystkim, co przyjdzie z Kuby, meldować na bieżąco. A teraz precz mi z oczu, bo mam sporo roboty – rzekł, sięgając po „Trybunę Ludu”.

Ktoś zapukał do drzwi. Kozioł z niechęcią odłożył gazetę. Skurwysyny, nie dadzą mu spokojnie poczytać.

– Wejść!

Do pokoju wszedł sierżant sztabowy Sierawski i zaszalutował.

– Melduję, że na komendzie jest kobieta, która przyszła z ważnym zawiadomieniem.

– Dobra. – Pułkownik machnął ręką, jakby odganiał natrętną muchę. – Streszczajcie się.

– Ta kobieta twierdzi, że jak w lesie zbierała chrust, to...

– A po chuja zbierała ten chrust? – wszedł mu w słowo Kozioł.

– No nie wiem, pewnie na opał – bąknął sierżant. – Nie pytaliśmy po co. Może na opał, bo węgiel drogi i na przydział?

– No dobra i co dalej?

– Kiedy ta kobieta zbierała chrust, znalazła rakieta.

– Kurwa mać, co znalazła? Co wy pierdolicie?

– To nie ja, towarzyszu pułkowniku. Ta kobieta mówi, że w lesie leży rakieta.

– Kurwa mać, jaka znowu rakieta? Skąd tu w środku Polski rakieta? Czyja ona jest?

– No nie wiemy, może teraz to nadleśnictwa? No bo jak w lesie, to pewnie ich.

– Nie pytam o to, a jak ona w ogóle wygląda? Pytaliście o to?

– No tak, mówi, że wygląda jak rakieta.

– Słuchajcie, Sierawski, nasza cierpliwość się wyczerpuje. Jedźcie tam i zobaczcie to coś.

– A jeśli ona mówi prawdę, to co mamy robić?

– No jak to co? Jeśli są na niej ruskie napisy, to je zamalować i mi zameldować. Jeśli na niej jest czerwona gwiazda, to też zamalować, a jeśli biała, to znaczy, że... mamy trzecią wojnę światową i należy stąd wypierdalać, gdzie pieprz rośnie. A teraz to wy wypierdalajcie i dajcie mi w spokoju pracować.

Pułkownik na powrót sięgnął po gazetę.

## KUBA

Ranikiem, nim uczestnicy wycieczki zjedli śniadanie, przed hotelem pojawiła się czarna wołga. To znów przyjechali wysłannicy El Comandante z zaproszeniem na następne spotkanie. W pierwszej chwili Zuza chciała się zbuntować. Oczywiście Wokulski znów zaczął ją błagać o zmianę decyzji. Płakał, prawie dostał spazmów, ale na to nie zważała. W ogóle była bardzo zbulwersowana jego zachowaniem. Sukinsyn, jak mógł ją o to prosić? Gdyby nie to, że ten czarnobrody olbrzym zupełnie zawrócił jej w głowie, to nie byłoby wcale rozmowy na ten temat. Z jednej strony wciąż wypierała to z siebie, a z drugiej pragnęła tych spotkań, i to z całego serca, od kilku dni rozgrzanego dosłownie do czerwoności.

Kiedy zajmowała miejsce w samochodzie, widziała spojrzenia reszty grupy, zdziwienie pomieszane z zazdrością, bo ona zwiedzała Kubę, a oni kisili się niczym ogórki w słoju w tym zapuszczonym hoteliku na skraju farmy krokodyli, walcząc z chmarami komarów, bez perspektywy zmian, bo dochodzenie w sprawie zabójstwa wciąż trwało, choć jak dotąd nikogo z nich nie przesłuchano na tę okoliczność. Wciąż tylko słyszeli jedno słowo: „maniana”. W ogóle, tu nigdy nikomu się nie spieszyło, nawet wtedy, kiedy krokodyl ludojad połknął Oparę. Nim się w ogóle ruszyli, to gad zdążył go przetrawić i wysrać. Dworczyk, dentystka, ta z kokiem, twierdziła, że widziała ludzkie oko w jakiejś krokodylej kupie. Być może to była prawda.

Wtedy Zuza zaproponowała, żeby tę kupę odszukać, zapakować razem ze stopą i wysłać do Polski, ale spotkało się to z ogólnym sprzeciwem.

Tym razem El Comandante zabrał Zuzę kabrioletem na przejażdżkę po Hawanie. Oczywiście jechali w asyście kilku pojazdów z ochroniarzami. Przemknęli słynnym podziemnym tunelem, minęli miasteczko tymczasowe zajmowane przez radzieckich doradców, zapuścili się na nabrzeże rzeki Almendares oddzielającej dzielnicę Vedado i Miramar. Tam Fidel pokazał jej palcem dwupiętrowy budynek odgradzony od ulicy wysokim murem.

– To jest dom uciech dla małżeństw. To jest mój pomysł, za który rodacy mnie jeszcze bardziej kochają. Czegoś takiego nie znajdziesz poza Kubą w żadnym innym kraju. U nas tak jak wszędzie brakuje mieszkań i tu za niedużą opłatą małżeństwo może spędzić kilka szalonych godzin sam na sam ze sobą, bez towarzystwa rodziców czy teściów. My dbamy o naszych obywateli jak nikt inny. – Puścił do niej oko.

Nagle rozległ się huk, przednia szyba rozsypała się na tysiące okruchów, słychać było świst kul. El Comandante przycisnął Zuzę do siedzenia, zasłaniając ją swoim ciałem. Kierowca przyspieszył, a jadący tuż za nimi pojazd osobistej ochrony się zatrzymał. Słychać było wymianę ognia, która po dłuższej chwili ucichła. Być może dlatego, że odjechali już kawał drogi od miejsca strzelaniny lub dopadnięto zamachowców i ich zabito.

Fidel wrócił na swoje miejsce, poprawił mundur i zapalił następne cygaro Cohiba. To była jego ulubiona marka. W tym czasie Zuza powoli dochodziła do siebie. Już drugi raz w życiu przeżyła coś takiego, pierwszy raz w Maszewie, koło Płocka, kiedy morderca wygarnął do niej z pepeszy, przy okazji doszczętnie niszcząc jej ukochaną petkę. To było dawno i prawie o tym zapomniała, a teraz wszystko nagle odżyło.

– Co to było, do cholery? – wydukała. – Czy chciano nas zabić?

El Comandante zaniósł się rubasznym śmiechem.

– Nic takiego, a jeśli nawet, to do mnie, do ciebie nic nie mają. – Machnął ręką, jakby odganiał natrętną muchę. – To chyba pięćsetny zamach na moje życie. Już się do nich przyzwyczaiłem. Nie mówmy już o tym, nie psujmy sobie dnia, nie warto.

Włączył radio, z głośników zaczęła dochodzić kubańska muzyka, której Zuza zaczynała już mieć trochę dość. Czuli ją przesyty i zatęskniła za czymś zupełnie innym.

– Czy u was w radiu nie puszczaają Beatlesów lub czegoś w tym stylu? – spytała.

– No wiesz co? – obruszył się. – Beatlesi to wymysł imperialistów, żaden zespół śpiewający po amerykańsku nie ma prawa być słuchany na Kubie. To jest surowo zabronione, choć tak prywatnie, to powiem ci, że Lennona to bardzo lubię. Ostatnio waham się, czy nie zrobić dla niego wyjątku i mu nie postawić pomnika za piosenkę *Imagine*, bo to jest pieśń godna prawdziwego rewolucjonisty.

– Cenzura na muzykę? To przecież głupota! – krzyknęła oburzona Zuza. – Nawet u nas to się nie sprawdziło.

– Nie mówmy o muzyce, lepiej coś zjedzmy. – Szybko zmienił temat. – Zawiozę cię do wioski Cojímar, gdzie cumował swoją łódź Hemingway. Tam w knajpce Las Terrazas zjemy świętą rybę, a później to, co lubimy najbardziej: szampan i szaleństwa w mojej willi.

Objął Zuzę ramieniem i przytulił, a ona się temu zupełnie biernie poddała. Co się z nią dzieje, do cholery? Patrząc z drugiej strony, czuła się tu niczym księżniczka, była obdarowywana kwiatami, szampan się lał, paliła doskonale cygara, a i stocka nie zabrakło, gdy w Polsce trudno było nawet znaleźć takiego mężczyznę, co by ją w drzwiach przepuścił, a kwiaty? Nie pamiętała, kiedy ostatni raz je dostała. Tu, na tej gorącej wyspie, pierwszy raz od dawien dawna znów poczuła się kobietą i to było naprawdę piękne uczucie.

Odkąd tu przyjechała, wciąż miała w głowie dwa powiedzenia, które usłyszała w samolocie od Polaka znajdującego tę wyspę jak własną kieszeń. „To, co się wydarzy na Kubie, pozostaje na Kubie” i „Żyj tu tak, jakby życie miało się zaraz skończyć”. Wprawdzie zapewne miał na myśli Kubę sprzed rewolucji, ale Kuba wciąż była Kubą, wciąż rozbudzała emocje, jak i żądze.

Wioska Cojímar okazała się bardzo klimatyczna. No cóż, ocean, złote, niekończące się plaże, dzika tropikalna roślinność. Kiedy siedzieli w Las Terrazas, jedli wspaniałe homary w towarzystwie samego Gregoria Fuentes, kapitana jachtu Hemingwaya, jego wieloletniego przyjaciela, słuchając morskich opowieści, Zuza wreszcie poczuła obecność ducha jej ulubionego pisarza tak, jakby tu był, siedział razem z nimi przy stole, palił cygaro i popijał swoje ulubione daiquiri.

To była szalona noc w willi na peryferiach Hawany, pierwszy raz El Comandante wziął ją pod prysznicem, drugi tuż po kolacji na stole w jadalni, wcześniej ściągając z niego obrus wraz z zastawą, a później była nocna kąpiel nago w basenie. I znów ją wziął, kiedy z niego wychodziła.

Rankiem wyruszyła z powrotem na bagna. Przespała całą podróż, tak była zmęczona.

Gdy tylko wysiadła z wołgi, od razu obsiadły ją komary. Pacnęła się dłonią w kark, kilka z nich zabijając.

– Kurewskie bagna – mruknęła ze złością pod nosem.

– Pani Zuzo, proszę poczekać.

To Irena, biegła za nią. Mogła jej chociaż dać czas na to, żeby się rozpakować i włożyć kwiaty do wazonu, bo znów została nimi obdarowana.

– Co się znowu wydarzyło? – spytała Zuza. – Jestem zmęczona, potrzebuję odpoczynku.

Po tej szalonej eskapadzie była dosłownie wykończona. Skąd El Comandante miał w sobie tyle energii? Skąd ją czerpał? On nigdy nie miał dość. Nieraz się nad tym zastanawiała. Eduardo kiedyś jej wspomniał, że jego ciotka była kapłanką voodoo i to ona za pomocą laleczki z jego podobizną dawała mu dodatkową energię oraz chroniła go przed zamachami. Z tą energią to chyba jednak nie to, ale z zamachami chyba faktycznie było coś na rzeczy, bo jak można wciąż uchodzić z życiem?

– Pani mecenas, zabójca chyba znów zaatakował.

Zerknęła ciekawie na dziewczynę. Niezły by był z niej detektyw, bo ona żyła zbrodnią.

– Kto tym razem? Na kogo padło? Tylko mi nie mów, że Mariański, bo jego żaden krokodyl by nie przełknął. To jest smakołyk chyba tylko dla hipopotama, a tu, o ile wiem, to ich nie ma.

– Zaginęła jedna z dentystek, Opara.

– Widzę, że Oparom Kuba wyraźnie nie służy – zadrwiła. – Jak to się stało? Opowiedz mi wszystko. Chodź na taras, zapalimy po cygarze i wypijemy po kieliszeczku stocka.

Weszły do hotelu.

– A zatem mów. – Zuza z kieliszkiem w dłoni rozsiadła się w fotelu i wbiła ciekawy wzrok w Irenę.

– Rano, jak wstałam, to pani Opara jeszcze spała, ale na śniadaniu już jej nie było. Od dwóch godzin wszyscy jej szukają, ale wciąż bez rezultatu. Na farmie krokodyli ktoś z obsługi znalazł jej torebkę. Miejscowi podejrzewają, że to znów sprawka krokodyla.

– Czemu tam samotnie laźła? – zdziwiła się Zuza. – Durna baba. Z tymi sukinsynami nie ma żartów. One i na łądzie są cholernie szybkie. Pamiętasz, jak jeden z nich rzucił się w pogoń za kurczakiem? W mig go dorwał.

– Myśli pani, że to sprawka tego krokodyla ludojada? Bo wszyscy z wycieczki mówią tylko o tym zabójcy, a przecież faktycznie to mógł być ten gad.

– Jakoś mi to nie wygląda na mordercę z maczetą. Po co miałby ją zabijać? Dla pieniędzy? Bzdura. Zabójstwo na tle seksualnym też wykluczam. Widziałas ją, na mężczyzn raczej działa odstrasza ją.

– No tak, ale to już trzecia osoba. Jeszcze kilka dni i zabójca wybije wszystkich. I co wtedy będzie? Aż się boję o tym myśleć.



– Przynajmniej będzie wiadomo, kim on jest, bo tylko on zostanie. – Zuza roześmiała się w głos. – Policja go aresztuje i z dumą oświadczy, że złapano seryjnego zabójcę Polaków. Ambasador przypnie tutejszym komendantom me-dale i wszyscy będą szczęśliwi.

– Znalezli! Znalezli!

Wokulski wpadł do hotelu niczym bomba. Natychmiast wszyscy zbiegli na dół. Kamil był bardzo podekscytowany.

– Co znaleźli? Następną stopę? Może do pary? – spytała Zuza z kpina w głosie.

– Nie, tym razem szczękę. To znaczy protezę. Leżała w szuwarach na bagnisku.

– A skąd wiecie, że to jej? Miała na zębach wygrawerowane nazwisko?

– Co proszę? – Mężczyzna spojrział na nią nic nierozumiejącym wzrokiem. Najwyraźniej nie zrozumiał żartu.

– No, jak poznaliście, że to jej? Przecież nie tylko ona tu na Kubie nosi sztuczne zęby, a w ogóle, czy ona je nosi? Ja tego nie zauważyłam, choć przyznam, że nie gapiłam się jej w szczękę.

– A czyja mogłaby być?

– Nie wiem, może jakiegoś Kubańczyka. Myślisz, że oni nie chodzą do dentysty?

– No to co mamy zrobić? – spytał Wokulski, wyraźnie zdezorientowany. – W takim razie jak mamy ją rozpoznać?

– Szukajcie dalej. Może ta cała Opara najzwyczajniej gdzieś zablądziła?

– A jeśli faktycznie zjadł ją krokodyl? Jak go znaleźć?

– No to szukajcie w gównach, bo pewnie wszystkiego nie strawi. Swoją drogą, przepytajcie tę drugą dentystkę, czy tamta nosiła protezę. Skoro to koleżanki, to może wie coś na ten temat? Zresztą, mnie o te rzeczy nie pytajcie, nie jestem śledczym. Macie tu towarzysza Mariańskiego, wybitnego oficera śledczego, bardzo zasłużonego dla Płocka. Jego się radźcie.

– Ten cały milicjant kazał nam szczękę spakować i wysłać do ambasady, a oni by ją przesłali bagażem dyploma-tycznym do Warszawy. Tam by wszystko ustalili. Co pani o tym sądzi?

– Nic. – Wzruszyła ramionami. – Róbcie, co chcecie, ja jestem tu na urlopie. Za kilka dni opuszczam was i wracam do Hawany na ślub brata, i to jest teraz dla mnie najważniejsze.

Wróciła do pokoju i sięgnęła do szafki po krem Nivea. Grubo się nim nasmarowała, po czym wyszła się opalać przed hotel. Widząc Irenę, przywołała ją do siebie.

– Tobie też radzę korzystać ze słońca. No bo co tu można robić innego? Chyba jedynie dać się pożreć krokodylowi.

– Nie ma mowy. Już za bardzo się przypiekłam, swędzi mnie cała skóra. Zaraz będzie mi złazić – jęknęła dziewczyna.

Zuza nic na to nie rzekła, położyła się na leżaku i zamknęła oczy. Ręką przesunęła po nodze.

– Cholera, znów muszę ogolić nogi. Tobie też tak klaki rosną?

– Niestety, też, ale ja je wrywam na wosk.

Zuza, słysząc to, skrzywiła się z niesmakiem.

– Próbowałam, ale cholernie boli i też nie jest skuteczne. – Wyjęła z torebki ekstra mocne i zapaliła. – Ciebie nie częstuję, bo wiem, że ci nie smakują. W barze możesz kupić sobie miejscowe. Ponoć są dobre, ale dla mnie stanowczo za słabe. Musiałabym palić dwa na raz. – Zaśmiała się rubasznie.

– I co pani mecenas postanowiła? – Irena nie ustępowała.

– A ty znowu swoje. Widzę, że się ode mnie nie odczepisz. Mogę spróbować rozwiązać tę zagadkę, ale musicie mi pomóc. Po pierwsze pogadać z twoim ojcem, niech mi dostarczy wszelkich informacji na temat wszystkich jego pracowników, którzy tu przyjechali. Potrzebuję też informacji na temat naszego Niemca i tego gościa zaszlachtowanego maczetą. To wszystko na już. Być może jutro będę w Hawanie i przez moje znajomości ustalę coś więcej na temat Pawłowicz vel Małeckiej. Ta kobieta to dla mnie zagadka na miarę budowniczych wielkiej piramidy w Gizie. A w ogóle, to odsuń się, bo mi zasłaniasz słońce.

Zobaczyła Mariańskiego, kręcił się po okolicy, co i raz nerwowo zerkając w jej kierunku. Z nagim torsem, w samych szerokich płóciennych szarawarach i w japonkach, wyglądał obleśnie. Nagle coś krzyknął i zaczął biegać w kółko niczym Indianin wykonujący przy ognisku taniec wojenny. Machał przy tym rękoma, starając się coś zrzucić z pleców.

– A jemu co odjebało? Mózg zaczął go uwierać czy co?

– Chyba chce coś z siebie zrzucić – rzekła Irena.

Faktycznie coś tam mu się przyczepiło, coś żywego. To był wielki kosmaty pająk, który zapewne ruszył na łowy i któremu trafiła się zdobycz życia, prawdziwy tłusty poleć. Kapitan wił się jak piskorz, starając się strącić intruza, ale zwierzak nie zamierzał łatwo rezygnować z tak smakowitego kąska. Walka trwała w najlepsze, aż w końcu Wo-

kulski zlitował się i przyszedł Mariańskiemu z pomocą. Długim grubym kijem strącił z niego napastnika, a później rozgniół go butem. Kapitan stał, ciężko dysząc, nad rozdeptanym pająkiem i chyba nie wierzył w swoje szczęście, bo to coś wyglądało jak legendarny ptasznik. Już sama nazwa mówiła właściwie wszystko o jego wielkich możliwościach.

– Pani mecenas, pani patrzy, on się zerznął w gacie!

Faktycznie, na szarawarach kapitana, w okolicach kroku widać było wielką ciemną plamę.

– Prawdziwy bohater, kapitan milicji obywatelskiej – podsumowała i otworzyła książkę *Komu bije dzwon*, z którą tu przyszła. Oczywiście powieść Hemingwaya, bo jakże mogło być inaczej. Ta wyspa to była jego wielka miłość, a jego twórczość – wielka miłość Zuzy.

Punkt trzynasta jak zwykle wszyscy się zeszli w restauracji hotelowej, żeby zjeść obiad. Zuza na szybko policzyła towarzystwo, liczba się zgadzała, choć konfiguracja się zmieniła. Rodzice Ireny siedzieli osobno, matka przy stoliku z Dworczyk, ojciec samotnie. Pawłowicz z Niemcem niezmiennie trzymali się razem. Mariański od czasu śmierci Oparę siedział z Wokulskim, a Irena z nią.

Jedzenie zawsze było tu liche, ale dziś wyjątkowo paskudne. Fasola niedogotowana, ryż czarny jak matka ziemia, a mięso drobiowe o podejrzanym smaku. To się za często powtarzało i w końcu trzeba było coś przedsięwziąć. Skoro faceci nic nie robią, to ona tu zaraz coś zarządzi. Zawołała Wokulskiego do swojego stołu.

– Siadaj, kochasiu, i słuchaj mnie uważnie! – Wskazała mu krzesło.

Tak też uczynił i wbił w nią pytające spojrzenie.

– Coś musimy postanowić – zaczęła szeptem bardzo tajemniczo. – Żarcie jest paskudne, a tu wokoło nas tyle smacznego mięsa biega, i to bezkarnie. Aż żal na to patrzeć.

– Nie rozumiem. Co pani ma na myśli?

– Czego, kurwa mać, nie rozumiesz? Zaczynasz mnie denerwować. Wciąż się wszystkiego boisz i wciąż nic nie rozumiesz. Teraz przyszedł moment, żebyś zachował się jak prawdziwy mężczyzna. Ty jeden, bo inni to zwykle mięczaki.

– Ale ja naprawdę nie wiem, o czym pani mówi. Co mam zrobić?

– Nie ty, tylko my wszyscy. Zapolujmy na nasz jutrzejszy obiad. Zatluczmy krokodyla. Skoro on może zjeść człowika, to może być i na odwrót. Mam rację?

Wokulski, kiedy to usłyszał, zbladł ze strachu.

– Nie ma mowy! To jest szalone. Jest zakaz ich zabijania, za to pójdziemy do więzienia, i to bez dwóch zdań.

– Powiedz to im i tym nieszczęśnikom, których schrupały. – Ostentacyjnie pokazała palcem resztę wycieczki. – To będzie taka forma zemsty, a przy okazji uruczmy się czymś dobrym, bo ich mięso jest bardzo delikatne. Wiem, bo już je jadłam. Wygląda jak z kurczaka, a smakuje trochę jak ryba. Oczywiście, jeśli upolujemy ludojada, to ponoć smakuje jak człowiek.

– A jak pani chce to zrobić? To nie jest to samo co zabić świnię. To jest kawał gada o cholernie grubej skórce.

– To powinieneś wiedzieć ty, wszak tu mieszkasz od lat i chcesz się osiedlić na stałe.

– Nigdy nie zabijałem krokodyli, nawet o tym nie pomyślałem, więc nie mam pojęcia.

– Kiedyś czytałam o tym w jakiejś książce przygodowej. Musimy go wywabić z mokradła, bo w wodzie nie mamy żadnych szans, a później sukinsyna walić przez łeb, czym popadnie. Weźmy z kuchni siekiery i noże. Z takim ekwipunkiem pójdzie nam dużo łatwiej.

– A co powiemy miejscowym? Przecież nie ukryjemy tego przed nimi. Ktoś będzie musiał go przyrzędzić, a oni zaraz dadzą znać do władz. Będzie z tego niezłe szambo. Już to czuję.

– Szambo to będzie, jak nas dalej będą tak karmić. Idź, pogadaj z innymi. Pawłowicz już niejednego zatłukł, więc krokodyl nie powinien zrobić na niej żadnego wrażenia. Reszta jest tak wygłodzona, że też się na wszystko zgodzi. Zobaczysz.

Wokulskiemu propozycja nie przypadła do gustu, ale bez słowa sprzeciwu ruszył do stolików. O dziwo, pomysł się wszystkim spodobał, a szczególnie Mariańskiemu, który chyba najbardziej narzekał na jedzenie. A zatem decyzja zapadła jednogłośnie. Akcję postanowiono przeprowadzić wieczorem, tak żeby było jak najmniej świadków.

Na polowanie wyruszyli wszyscy mężczyźni oraz Pawłowicz, Irena i Zuza, której, mimo ostrego sprzeciwu kapitana, powierzono dowodzenie. Bądź co bądź, to był jej pomysł. Wybrali się na najbliższe bagno, a jako przynęta posłużyła im zdechła papuga, którą znaleźli na tyłach hotelu.

– Pewnie to pierwsza ofiara hotelowego żarcia – podsumowała Zuza.

Uwiązali ptaka na sznurku i zaczęli się w szuwarach. Napięcie rosło, adrenalina buzowała.

Co chwila Irena szarpała sznurkiem, starając się w ten sposób zwrócić uwagę potencjalnej ofiary.

Wreszcie po kilka minutach papuga wpadła w oko całkiem okazałemu osobnikowi. Sukinsyn mierzył ponad trzy metry długości. To było mnóstwo smacznego mięsa. Krokodyl najpierw przepłynął kilkanaście metrów, by w końcu błyskawicznie wyjść na brzeg. Jak na swoje gabaryty był wyjątkowo szybki. Irena w pewnym momencie spanikowała, porzuciła sznurek i sama rzuciła się do ucieczki. Gad chwycił przynętę i to był ten moment. Teraz albo znów będą jeść tę niedogotowaną fasolę i padlinę nieznanego pochodzenia. Zuza wyskoczyła z trzciny jako pierwsza, dzierżąc tasak w dłoni. Za nią ruszyli Niemiec, Pawłowicz i Wokulski. Innych, tak jak studentkę, sparaliżował strach. Zuza wskoczyła bestii na kark i zaczęła ją tłuc po głowie, krzycząc:

– A mam cię, sukinsynu!

Tymczasem Niemiec starał się dźgnąć gada nożem w podbrzusze. Wokulski nie mógł mieć gorszego pomysłu, bo zabrał się za ogon i od razu został nim znokautowany. Uderzenie było tak silne, że mężczyzna przeleciał kilka metrów, nim z głuchym łoskotem gruchnął na ziemię. Krokodyl wystraszył się i zaczął uciekać do wody, ale Zuza nawet na chwilę nie przestawała ranić go tasakiem.

– Stój, ty kupo mięsa! Zatrzymaj się! Łapcie skurwysyna, bo nam kolacja ucieka!

Dosięgły go także dwa ciosy nożem wymierzone przez Pawłowicz. Mimo że ofiara bardzo krwawiła, to wciąż się nie poddawała. Teraz wreszcie obudziła się reszta, mężczyźni przypomnieli sobie, że są mężczyznami. Dopadli gada tuż nad wodą i dźgali, gdzie popadnie. Nagle potwór znieruchomiał.

Wygrali, zabili go! Wspólnymi siłami pokonali sukinsyna. Zuza, cała umorusana błotem i okropnie podrapana, w końcu zeszła z grzbietu krokodyla. Ze zmęczenia dosłownie chwiała się na nogach. Spojrzała po swoich towarzyszach, w ich twarzach i w ich oczach widziała szacunek. W tym momencie poczuła wielką satysfakcję. Chciała zapoLOWać i dopięła swego.

– Teraz wy się nim zajmijcie. Ja swoje zrobiłam – rzekła jakby od niechcienia, po czym zapaliła papierosa i wolnym krokiem ruszyła w stronę hotelu. W tej chwili przede wszystkim musiała się umyć. Miała nadzieję, że szczęście jej dopisze i będzie woda w kranach, bo z tym tu bywało różnie, co ją dodatkowo wkurwiała.

Kucharz, widząc ich zdobycz, przeraził się, i to nie na żarty. Gardłowali po hiszpańsku z Wokulskim chyba z pół godziny, pertraktowali, aż w końcu doszli do porozumienia –

wszyscy musieli się zrzucić na łapówkę dla niego w zamian za milczenie. Wyniosła ona całe pięć dolarów, ale było warto, bo następny obiad zapowiadał się wspaniale. To miała być prawdziwie królewska uczta.

Zuza tymczasem położyła się, żeby odpocząć, i na chwilę przysnęła. Śnił jej się El Comandante, pokłóciła się z nim o krokodyla. On chciał go sam zjeść i nie dać nikomu nawet kawałka. Obudziła się cała spocona. Odetchnęła z ulgą, że to tylko nocny koszmar, walnęła sobie w samotności kielicha stocka i dopiero wtedy udała się do baru. Wciąż myślała o polowaniu. Zastanawiała się, co jej odbiło, że wsiadła na krokodyla? Przecież to było czyste szaleństwo. Gdyby gad z nią na grzbiecie dotarł do wody i zanurkował, w jednej chwili zmieniliby się z potencjalnej ofiary w łowcę, a ona jak nic zakończyłaby swój żywot w jego wielkiej paszczy. Tak czy owak pokazała tym wymiękłakom, kto tu ma jaja, i była z tego cholernie dumna.

W knajpie byli tylko ona i barman. Wypiła trzy drinki, nim zjawiła się reszta wycieczki. Wszyscy byli w wyśmienitych humorach. Nawet w oczach Mariańskiego zobaczyła szczery podziw, a to się nieczęsto zdarzało.

Patrzyła po ich rozemocjonowanych i roześmianych twarzach. Aż trudno było w to uwierzyć, ale przypuszczalnie jedno z nich było bezlitosnym zabójcą, który za pomocą maczety pociął swoją ofiarę na plastry, a być może na dodatek maczał palce w zniknięciu dentystki. Alkohol się lał, co chwila wybuchały salwy śmiechu. Towarzystwo jakby zapomniało o tym, co tu się wydarzyło w ciągu tych kilku ostatnich dni. Przyszli i muzycanci, Niemiec z Pawłowicz ruszyli w tany, ale nie udało im się porwać towarzystwa, nikt inny nie poszedł w ich ślady.

Było już koło północy, kiedy w barze zjawili się trzej umundurowani policjanci. Muzyka ucichła i wszyscy w napięciu czekali na rozwój wydarzeń. Funkcjonariusze wezwali Wokulskiego do siebie i zaczęli gardłować, a po chwili wyszli.

– Ci panowie właśnie poinformowali mnie, że złapano zabójcę i możemy jutro jechać dalej.

– A krokodyl? A nasz obiad? – spytał z zalem ojciec Ireny.

– Chuj go strzelił – mruknęła pod nosem Zuza, zamówiła następne daiquiri i zapaliła cygaro. Coraz bardziej tęskniła za domem, za Borysem, a nawet za tym sukinsynem Wrzodem. Brakowało jej przyjaciół, a przed wszystkim jej starej, częściowo zarwanej kanapy, na której uwielbiała się uwalic z ekstra mocnym w zębach i z kieliszkiem stocka w dłoni, by słuchać piosenek Czesława Niemena. Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej. Stare, ale jakże trafne porzekadło.

Mariański zerknął do portmonetki i przeliczył dolary. Tęsknym okiem zerknął na Kubankę, tę, która go kilka dni wcześniej zbalamuciła. Nabral ochoty na powtórkę, tylko szkoda mu było pieniędzy. Wahał się. Może dziś da mu ja-

kiś upust? Pomyślał. Ale jak z nią negocjować? Przecież nie poprosi o to Wokulskiego. Kobieta parę razy przeszła obok niego, prowokacyjnie się o niego ocierając. Poczul zapach jej spoconego ciała. To go cholernie kręciło, to mu odbierało rozum. I znów przeszła, tym razem ocierając się jeszcze bardziej. Kapitan, czuł, że dłużej nie wytrzyma, że mu zaraz gacie w kroku pękną. Z impetem poderwał się z krzesła i ruszył na zaplecze, co chwila zerkając nerwowo na Kubankę. Zauważyła to, mrugnęła do niego znacząco okiem i zaraz potem byli sam na sam. Brutalnie zerwał z niej odzienie, obnażając jej ponętne ciało. Zanurzył twarz w jej obfitych piersiach, zlizywał z nich pot, by po chwili ją pościć. To były szalone chwile, bardzo wymagające dla jego fistaszka. Niestety, jak się okazało, słono go kosztowały te chwile uniesienia, bo od ostatniego razu usługa drastycznie podrożała. To wszystko przez szalejącą na Kubie inflację.

Po pół godzinie Mariański wrócił do baru. Bez sił opadł na krzesło, tęsknym wzrokiem spojrzął na drinki innych gości, bo jego już na nic nie było stać.

Zuza w mig zrozumiała jego myśli, wszak były bardzo czytelne.

– Kosztowne ruchanko? – spytała z przeziębieniem jak na nią uśmiechem. – Mogłeś wychędożyć krokodylicę, byłoby za darmo.

– Uważajcie! – warknął groźnie, marszcząc brwi. – My wszystko wiemy, co robicie, z kim się spotykacie.

– Ciekawe, czy wasza żona wie, co wy tu robicie? – zadrwiła i zaraz dodała: – Nie wiem, czy wiecie, ale macie rozpięty rozporek.

Dopiła drinka, przycisnęła cygaro i opuściła bar.

Rano Zuzę zbudziło brutalne szarpanie za ramię. Otworzyła oczy i zobaczyła twarz Wokulskiego. Cholera, mógłby powstrzymać się od takich działań, bo ktoś może zejść na zawal.

– Pani Lewandowska, czekają na panią.

– Idź do diabła, dajcie mi się chociaż raz wyspać. Kto czeka? – spytała, choć dobrze wiedziała, o kogo chodzi.

– Ci sami. Ma pani jechać do Hawany.

– Teraz mi się nie chce – odparła nieszczerze, bo tak naprawdę to poczuła silne uderzenie gorąca. Znów miała się z nim spotkać, to było takie szalone, takie podniecające.

– Błagam panią. On nie lubi, jak mu się odmawia.

I znów stara śpiewka. Ciekawe, czy gdyby El Comandante chciał spotkać się z jego żoną, to też by tak ją błagał? Podejrzewała, że pewnie tak. To był kawał obszłizgłego chuja, jak mawiała.

– Będę gotowa za godzinę.

– Dopiero?

– Co dopiero? Nie jestem facetem, który tak jak wstaje z łóżka, tak wychodzi na ulicę. – Zdenerwowała się. – Kobieta potrzebuje chwili, żeby się ogarnąć. A teraz wynocha z pokoju, bo obudzisz resztę. – Co zabrzmiało śmiesznie, bo ich głośna rozmowa już postawiła na nogi Irenę i Dworczyk.

Wyszedł z pokoju jak niepyszny.

– Do cholery, mogłybyście zamykać drzwi na klucz – warknęła na współlokatorce. – Chyba że chcecie być w nocy zgwałcone. To przecież południowy kraj, oni biegają z penisami w łapach. Tyle dni tu jesteście i jeszcze o tym nie wiecie?

Punkt dziesiąty Zuza była w Hawanie. Trochę zaniepokojona obserwowwała, jak wołga skręca do wojskowych koszar. Bez żadnych przeszkód wjechali na ich teren i zatrzymali się przed jakimś wysokim budynkiem przypominającym z wyglądu halę sportową. Zaprowadzono ją do środka. Zdumiona stanęła w wejściu. Cała sala aż po sufit była wypełniona klatkami. Wyglądało na to, że wszystkie są zapełnione. Dobrze im się przyjrzała. Tak, dokładnie tak było. W każdej z nich siedziała papuga ara, każda w kolorze Zgagi. Każda z nich wydierała się wniebogłosy, naśladując głosy ludzkie, każda z nich przeklinała po polsku.

– Kuuurwa maać! Preeecz z kooomuną! Caaaastro toooo chuuj! Zaaabić teeego chuuj! –

Były też okrzyki sympatii: – Kooocham Zuuuzę!, ale i: – Maaaariański tooo kuuuutas!

Zuza wciąż stała jak posąg i nie wierzyła w to, co słyszała i widziała.

– Ja pierdolę, ale się narobiło – wyszeptała w końcu.

– Proszę wskazać swoją papugę – usłyszała zza pleców.

Odwrociła się. Przed nią stał jakiś mężczyzna. Widziała go pierwszy raz w życiu.

– Nazywam się Grzelak, jestem z polskiej ambasady. Pani papuga będzie deportowana do Polski. Nie ukrywam, że przez nią doszło do poważnego kryzysu dyplomatycznego. Ma pani szczęście, że Fidel Castro bardzo panią lubi i przytknął oko na pewne sprawy. Gdyby nie to, to byłaby niezła międzynarodowa awantura.

– A co z resztą papug? Co się z nimi stanie?

– Nie wiem. Pewnie skończą w garnku. Tu przecież ludzie głodują, chyba pani to wiedziała?

– To kurewskie draństwo. Przecież one nie wiedzą, co mówią. Jak można zabić tyle ptaków? To jest zwykłe barbarzyństwo.

– To nie moja ani pani sprawa. Proszę wskazać swoją arę. Inaczej i ona marnie skończy.

Zuza była wściekła. Ona tak tego nie zostawi. Musi o tym porozmawiać z El Comandante, i to pilnie. Ruszyła wzdłuż klatek, przypatrując się ptakom. Część z nich wyraźnie się różniła, ale kilkadziesiąt było identycznych jak Zgaga i one wszystkie reagowały na nią. Jak ją rozpoznać? Jak ją wyłuskać z tej gromady?, zastanawiała się. Nagle ją oświeciło. Miała w torebce piersiówkę ze stockiem. Zgaga go uwielbiała tak jak i jej właścicielka. Nalała ciut trunku do zakrętki i trzymając ją przed sobą, od nowa przeszła się wśród klatek. Tylko jedna z papug zareagowała. Tak, teraz jak się jej bardziej przypatrzyła, była pewna, to jest Zgaga. Durna papuga, nie wykorzystała tego, że została obdarowana wolnością. Głupio zaprzepaściła tę szansę, bo dała się złapać.

– Ty frajerko! – wydarła się na nią. – Tu byś miała życie. Niepotrzebnie chlapałaś dziobem na lewo i prawo. To jest komunizm, tu trzeba kontrolować każde słowo, bo inaczej ma się poważne kłopoty.

– To ona. – Wskazała papugę palcem. – Chcę ją zabrać ze sobą. Wracam do kraju za kilka dni.

– Nie ma mowy! Ona już jutro będzie deportowana. Proszę zadzwonić do Polski i załatwić kogoś, żeby odebrał ją z lotniska.

– A skąd mam niby zadzwonić? Tu wszystko jest postawione na głowie. Dotąd myślałam, że nie może być gorzej niż w Polsce, ale jak widzę, bardzo się myliłam.

– Proszę się udać do naszej ambasady. Stamtąd może pani zadzwonić. Proszę powiedzieć, kim pani jest, i umożliwią to pani. Na poczcie też można zamówić rozmowę, ale tam się czeka po kilka godzin na połączenie.

Zuza nic na to nie rzekła. Wyszła przed halę i zapaliła papierosa. Zaciągnęła się nim głęboko. Cholera, w komunizmie to się nawet ptaki prześladowały za poglądy. Za nieprawomyślność można wyładować w garnku, a później na talerzu jakiegos czerwonego prominenta.

Usłyszała klakson samochodu, kierowca wołgi wyraźnie się niecierpliwił. Spokojnie, najpierw wypali. Tu na obczyźnie nawet milimetr polskiego papierosa nie może się zmarnować.

W końcu wsiadła do samochodu i opuścili teren wojskowy. Przemknęli przez Hawanę w asyście dwóch policjantów na motocyklach. Nie wiedziała, czy jest aż tak niebezpieczna, czy aż tak cenna, że wymaga dodatkowej ochrony. Zatrzymali się na jakichś peryferiach miasta. Niska zabudowa, stare pokolonialne wille zaraz po rewolucji zabrane Amerykanom i bogatym Kubańczykom w myśl zasady wszyscy po równo... mają jedno wielkie gówno. Budynek, do którego ją zaprowadzono, wyglądał ciut lepiej, pewnie to była jedna z wielu rezydencji El Comandante. Tym razem po willi kręciło się sporo ludzi. Na jej tyłach wybudowano halę. To była nowa inwestycja lub świeżo po remoncie, bo z budowy jeszcze nawet nie wywieziono betoniarki. Przy wejściu Zuza zobaczyła stojącego Fidela, przywoływał ją ruchem ręki. Jak zwykle uśmiechnięty od ucha do ucha z nieodłącznym cygarem w zębach. Początkowa złość na niego za uwięzienie papug wnet prysła, Zuzanna poczuła silne bicie serca, znów jego czar zaczynał działać. Chwyił ją za rękę i pociągnął do środka. Od razu uderzył ją smród drobiu, ale nic dziwnego, bo jak się zaraz okazało, to była arena walk kogutów.

– Z Papą tu chadzaliśmy, on też to uwielbiał, ale nie miał szczęścia do zakładów, zostawił tu fortunę. – Fidel zarechotał i puścił do Zuzy oko. – Po Hawanie krąży plotka, że kiedyś przegrałem tu sporo pieniędzy, po czym zwycięzcę kazałem rzucić krokodylom na pożarcie. Nie prostuję tego i dzięki temu teraz wciąż wygrywam. Chodź, pokażę ci zawodników, postaw na któregoś. Nie obawiaj się, gwarantuję, że wygrasz.

– Bo inaczej następnym skończy w paszczy gada? – spytała uszczypliwie.

– Nasze krokodyły gustują bardziej w twoich rodakach – nie pozostał jej dłużny. Sukinsyn najwyraźniej dobrze wiedział o zdarzeniach na bagnach.

– Bo są lepiej odżywieni. Typowy Kubańczyk to skóra i kości. Musimy porozmawiać o papugach, nie możesz ich zabić. To byłoby nieludzkie.

– Jakie papugi? Nic o tym nie wiem – wyparł się, ale wiedziała, że kłamie. Wiedziała też, że ona tego tak nie zostawi.

– Chodź. – Pociągnął ją za rękę. – Pokażę ci te kurczaki. One mają większe jaja niż wielu facetów.

Nie chciała się temu przyglądać, dla niej to była durna rozrywka. El Comandante, choć niechętnie, w końcu jej ustąpił i pojechali do hotelu Nacional de Cuba na obiad.

Po drodze Zuza widziała co chwila na ulicach długie, zakręcone kolejki.

– Za czym oni stoją? – spytała.

– Dziś na Kubie jest wielkie święto, bo odbywa się ogólnokrajowe referendum.

Pamiętała, jak Ambroży, jej ojciec, opowiadał jej o referendum, które odbyło się w Polsce. Były trzy pytania, a kto nie zagłosował trzy razy tak, to miał spore problemy włącznie z uwięzieniem.

– To znaczy?

– Kubańczycy mają odpowiedzieć na cztery pytania. Pierwsze brzmi, czy chcesz, żeby zgnili imperialiści z Ameryki zagarnęli całą kubańską ziemię i żeby dzielny naród kubański został rzucony rekinom na pożarcie? Drugie, czy chcesz, żeby Kubańczycy pracowali do samej śmierci, a jeśli umrą wcześniej, to i po śmierci? Trzecie brzmi, czy chcesz, żeby Kuba przyjęła milion imigrantów ze środka Afryki, którzy zjedzą wszystkie fasolę i kukurydzę, a na dodatek wypalą wszystkie cygara? Zaś treść czwartego to: czy chcesz, żeby Kuba przestała być wyspą i połączyła się z kontynentem? Jednym słowem, prawdziwy Kubańczyk komunista zgłaszuje cztery razy na nie.

Zuza słuchała tego ze zdumieniem.

– Ale po co to? Przecież to jest kabaret.

– Jak to po co? Niech wiedzą, że mają demokrację, niech wierzą, że mają na coś wpływ.

El Comandante puścił do niej oko i roześmiał się w głos.

Następnego dnia rano Zuza opuściła willę El Comandante w wybornym nastroju. Udało jej się dojść do porozumienia z Fidelem w sprawie papug. Miała je nauczyć innego słownictwa. Takiego, które wychwala go pod niebiosa. To była cena za ich życie i ona ochoczo na to przystała.

Dziś miała się odbyć pierwsza lekcja. Zuza stanęła przed rzędami klatek i zwątpiła. Dary się wniebogłosy i każda krzyczała co innego. Jak okiełznać tę pierzastą bandę?

Usiadła na jakiejś starej drewnianej skrzynce i zapaliła ekstra mocnego. Wciąż nie miała żadnego konstruktywnego pomysłu.

– Caaaastro kooocham ciiiie! – wydarła się nagle Zgaga.

– Caaaastro kooocham ciiiie! Caaaastro kooocham ciiiie! – podchwyciły inne papugi, wprowadzając Zuze w zdumienie. Wszystko wskazywało na to, że Zgaga stała się ich przywódcą, takim papuzim El Comandante.

– Viiiiva Kuuuuba! Viiiiva Kuuuuba! – zaintonowała.

– Viiiiva Kuuuuba! Viiiiva Kuuuuba! – rozwrzeszczały się.

Zuza była rozanielona. Nachyliła się nad klatką i szepnęła:

– Dziękuję ci. Gdybyś nie była taką suką, tobym cię nawet z wdzięczności pocałowała w ten twój parszywy dziób.

– Świiniinia! Świiniinia! – wrzasnęła Zgaga, ale na szczęście inne ary tego nie podchwyciły.

Po opuszczeniu koszar Zuza pojechała do polskiej ambasady, gdzie spotkała się z bardzo ciepłym przyjęciem, co ją niezmiernie zdziwiło, bo od zawsze władza przez swoich przedstawicieli okazywała jej wrogość. Domyśliła się, że to pokłosie jej zwariowanej znajomości, że wiedzą o jej gorącym romansie z El Comandante i traktują to jako umacnianie przyjaźni polsko-kubańskiej. Niech myślą, co chcą, ale to jej życie i wiedziała, że te kilkanaście dni będzie ciepło wspominać aż do jego końca, no bo czy jakkolwiek Polak zimnokrwisty niczym krokodyl może dać kobiecie choć ułamek tego, co gorący południowiec? Nigdy, przenigdy! Tego była pewna.

Nim zadzwoniła do Polski, chwilę się zastanawiała, czy numer wybrać. Najrozsądniej było porozmawiać z Nowakiem. Spojrzała na zegarek, było południe, to w kraju będzie szósta wieczorem, czyli jeszcze dość przyzwoita pora.

W pierwszej chwili sierżant nie wiedział, z kim rozmawia. O dziwo, było lepiej słycać niż przy połączeniach miejscowych. Musiała kilka razy powtórzyć swoje imię, nim sierżantowi przysłowiowe dwie kulki spotkały się w głowie.

– Co za niespodzianka! Co u ciebie? Co u Eduarda? Jaka pogoda? Słyszałem, że u was jakaś rewolucja – zasypał ją pytaniami.

– Jaka rewolucja? O czym ty pierdolisz? Nic o tym nie wiem. Wszystko w porządku. Co u moich zwierzaków i co u was?

– Borys ugryzł Geńkę, bo mu chciała zabrać kość.

– Słusznie. Też bym ją pogryzła nawet za mniejsze przewinienie.

– Wrzód złośliwie rozdarł jeden bęben. Proboszcz jest zrozpaczony, bo w dzisiejszych czasach nie można kupić żadnych części, nawet do perkusji.

– To sukinsyn. Jak wrócę, to oddam go hyclowi. A co w kancelarii?

– Wszystko w porządku. Aha, bym zapomniał, aresztowali Piosika.

– Za co go przymknęli? Co znów narozrabiał ten sukinsyn?

– No właśnie nie bardzo wiadomo. Ponoć coś ukradł ze sklepu mięsnego, ale ma alibi.

– A co tam można ukraść? Chyba puste haki. Posłuchaj mnie uważnie. Pogadaj z tymi swoimi kumplami z Warszawy. Potrzebuję informacji na temat kilku osób. Zaraz podam ci nazwiska i gdzie pracują.

Sięgnęła do torebki po kartkę.

Nowak wszystko zanotował. Nie wspomniała mu nic o Pawłowicz, bo rozmowa by wtedy nie miała końca, a kątem oka widziała, jak pracownica ambasady nerwowo zerka na zegar. Pewnie to znacząco obciążą ich budżet.

Prosto z ambasady Zuza kazała się zawieźć do Eduarda. Ledwie się wygrzebała z wołgi, a już Eduardo wziął ją w objęcia.

– Siostra, ty działać cuda. Wczoraj przyjechać do nas cały transport jedzenia. Ponoć to z magazynów samego El Comandante. Ja i nasza rodzina być ci wdzięczni. Ty pamiętać, że za dwa dni ślub i wesele?

– Oczywiście. A jak twoja narzeczona? Gdzie zamieszkacie? W Polsce czy tu? W końcu to ustaliliście?

– Ona chceć u was, a ja tu. Tu na Kuba ja mieć mnóstwo rodzina i przyjaciele. Polaki nie lubić muzina, a tu kochać Polaka. Ty być tego przykładem. Ty zakręcić w głowa sam nasz El Comandante. Wszyscy o tym mówić, cała Hawana. Najgorzej z twoja papuga. Ona być wróg klasowy. Oni na nią chceć polować. Oni chceć ją zabić!

– Spokojnie, wiem o wszystkim, papuga jest już bezpieczna.

Bardziej bała się czegoś innego. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby o tej znajomości poinformowali w polskiej reżimówce i będzie po niej. Znała polskie realia i dobrze wiedziała, jaką łatkę jej zaraz przyszyją. W oczach jednej polowy rodaków będzie rozpustnicą, a drugiej komunistyczną zdzirą. Nikt nie zrozumie, że to ponadpartyjne zauroczenie, że ona wciąż nienawidzi komunizmu.

– Ty, siostra, chodź do nas na kawa, dobra kubańska.

– Eduardo, nie mam na to czasu. Muszę dobić do swojej wycieczki i jedziemy dalej.

Spojrzał na nią z niepokojem.

– Ale ona być udana? Czy ty wciąż się z niej cieszyć?

Musiała znów skłamać. Nie chciała mu robić przykrości, bo wiedziała, że sporo się na nią wykosztował.

– Bardzo udana. Kuba to piękna wyspa, a te krokodyle, to... palce lizać.

W tym momencie przypomniała jej się pieczeń, która miała na nią czekać, bo przez ten jej wyjazd dalsze przemieszczenie grupy zostało przełożone o jeden dzień i tym samym został uratowany wspañiały obiad.

– No to ja się cieszyć. Ty jechać ostrożnie i bezpiecznie dojechać.

– Będzie dobrze. Aha, mam dla ciebie fajny podkoszulek.

Z torebki wyjęła zielony T-shirt, który kupiła w sklepie dolarowym.

– Ładny, siostra, ale i tak ja nie móc go tak zwyczajnie nosić. Za to u nas kara, i to surowa.

– Co ty pierdolisz?

– Tak, siostra, to u nas niemoralne. Ty możesz, bo ty turysta, ale my nie. Jest zakaz.

– No tak – westchnęła głęboko. – Mnie tu już nic nie zdziwi. Do zobaczenia.

Uścisnęła go serdecznie i wsiadła do wołgi.

Irena jak zwykle dopadła Zuze, gdy tylko ta dojechała na miejsce. Już w momencie kiedy Lewandowska wysiadła z auta, została odciągnięta na bok i musiała wysłuchać relacji studentki. Dziewczyna coraz bardziej jej się podobała, i Zuza postanowiła ją przekabacić, żeby rzuciła w cholerę tę archeologię i grzebanie w prehistorycznym trupach na rzecz grzebania w paragrafach. Razem z Jolką stanowiłyby wspañiały duet, który mógłby objąć kancelarię wtedy, kiedy ona pójdzie na emeryturę. Wprawdzie to jeszcze bardzo odległe czasy, ale już o tym nieraz myślała.

– Pani mecenas, kucharz podczas dzielenia mięsa znalazł w brzuchu krokodyla ludzkie oko i kawałek palca z paznokciem. Był pomalowany na czerwono. To pewnie tej dentystki. A zatem zabiliśmy jej mordercę. Wszyscy się cieszą, że sprawca nie żyje, ale nie chcą jeść tego mięsa, no bo to tak, jakby zjeść panią Oparę, a ona w sumie była sympatyczną kobietą i nie zasłużyła na to.

– Nie załamuj mnie. Czy chcesz powiedzieć, że nici z pieczeni? – Zuza nie kryła zawodu, bo przez całą drogę powrotną zastanawiała się, czy kucharz nie sknoci tego jedzenia, czy dobrze je przyprawi.

– Kubańczycy ją zjedli. Śmiali się, że poloco jest bardzo smaczne. Został jeszcze kawałek, to jeśli pani to nie przeszkadza...

– Już mi się odechciało – weszła jej w słowo. – W takim razie idę na tę ich fasolę z tym niby kurczakiem. A tu wszystko w porządku? Bo co wyjadę, to jest nowy trup! – zadrwiła.

– Wszyscy są, tylko jest problem z tym grubym milicjantem.  
– Jak zwykle. Z nim są zawsze problemy. Co tym razem?  
– Od rana się awanturuje, że jakaś Kubanka go oskubała z mnóstwa pieniędzy.  
– Nikt go na nią nie wkładał – zakpiła. – Mam nadzieję, że plany się nie zmieniły. A zatem wcześniej rano ruszamy dalej? Łudzę się, że do jutra nic się nie wydarzy, że będzie spokój.

– Ja też mam taką nadzieję. Wszyscy się cieszą z wyjazdu. Cholerne owady wciąż nie dają spać, a najgorzej z tymi pająkami, są dosłownie wszędzie. Jeden z nich ugryzł mojego ojca w rękę i mu spuchła jak bańka. Spanikowaliśmy, bo tu nigdzie nie ma lekarza. W końcu przyjechał weterynarz. Dał jakąś maść dla krów i już jest prawie dobrze, bo opuchlizna zniknęła.

– Tylko nie mów mi nic o krowach! – krzyknęła Zuza, bo wciąż miała w pamięci oborę, do której zaprowadził ją El Comandante, żeby jej z dumą pokazać „Białe Wymię”, krowę rekordzistkę. Co ją obchodziła jakaś krasula? Co ją obchodziło, że dawała sto dwadzieścia litrów mleka dziennie? W Polsce też były takie głupoty. Też hodowano krowy rekordzistki. Też starano się udowodnić, że socjalistyczna krowa góruje nad kapitalistyczną, że komunizm to coś wybitnego. Owszem, udowodnili, ale że to jest jedno wielkie gówno. Najgorsze w tym było to, że kiedy tak stali w tej oborze i zerkala na Fidela, kiedy patrzył na „Białe Wymię”, to widziała w jego oczach większe podniecenie niż wtedy, kiedy ją brał w ramiona. Przez chwilę nawet poczuła zazdrość, ale zaraz się opamiętała, przecież to chore być zazdrosnym o krowę. W ogóle zaczęła się coraz bardziej buntować, bo El Comandante obwoził ją po Kubie niczym jakąś delegację partyjną. Pokazywał przodowników pracy, pola kukurydzy i plantacje tytoniu, choć akurat te ostatnie ją zainteresowały. Kiedy w końcu mu to wygarnęła prosto w oczy, on tylko uśmiechnął się, przytulił ją do siebie, by po chwili w dzikim uniesieniu zerwać z niej ubranie, rzucić ją na łóżko i znów ją posiąść z nieodłącznym cygarem w zębach. O dziwo, nawet podczas miłosnych uniesień ono mu nigdy z ust nie wypadło.

Wieczorem, tak jak zwykle, zebrali się w barze. Tak było bezpieczniej. Wszyscy prócz Mariańskiego zamówili sobie daiquiri. Kapitan pieniądze swoje i te zaszyte w majtkach Opary wydał w zupełnie inny sposób i teraz jedynie tęsknym okiem spoglądał na ich pełne szklaneczki. On tu przyszedł w innym celu, on pisał raporty dla attaché z polskiej ambasady. Zuza tym razem postanowiła przycisnąć do muru domniemanego Niemca. Wykorzystała moment, kiedy Pawłowicz wyszła do toalety, i przysiadła się do niego. Język niemiecki znała ze szkoły i ze studiów. Może nie była poliglota, ale co nieco jeszcze pamiętała.

– Skąd jesteś?  
– Z Monachium – odpowiedział po dłuższej chwili. Tak jakby zastanawiał się, jak zareagować na jej pytanie.  
– Słyszałam, że to piękne miasto. Ponoć warto tam zwiedzić katedrę.  
Mężczyzna się zmieszał.  
– Katedra jak katedra – odparł. – Nie interesuję się kościołami.  
– Słyszałam też o ratuszu – drążyła dalej. – Nie pamiętam, co jest w nim tak ciekawego, że przyciąga tłumy turystów.

Jej uwagę zwróciły jego dłonie, zaczął je mocno pocierać. Czyżby ze zdenerwowania?  
Nagle szeroko się uśmiechnął.  
– Trzeba jechać i samemu zobaczyć – rzucił wymijająco.  
To już Zuzie w zupełności wystarczyło. Niemiec kłamał, nie znał Monachium, bo każdy Bawarczyk znałby odpowiedzi na jej pytania. Nawet ona wiedziała, mimo iż nigdy nie była w tym mieście, że tamtejsza katedra, wraz z kopułami swoich wież, jest jego symbolem.

Wróciła Pawłowicz. Była wyraźnie niezadowolona, widząc ją siedzącą przy jej stoliku.  
– O co chodzi? – spytała zaczepnie.  
– O nic. Już wszystko wiem. – Zuza puściła do niej oko i wróciła na swoje miejsce.  
Po drodze podeszła do stolika Mariańskiego, który był skupiony na pisaniu czegoś na małym karteluszk. Zajrzała mu przez ramię.

– „Śledzę” pisze się przez „ę” a nie „e-em” – szepnęła mu do ucha.  
Kapitan dopiero teraz ją zauważył i szybkim ruchem dłoni zasłonił kartkę.  
– Czego chcecie? – warknął.  
– Nie bójcie się, na pewno nie waszej cnoty. Ją już zabrała ta ponętna Kubanka, co pomaga w kuchni. Dobrze ci było, ty stary buhaju? Może nie wiesz, ale tu na Kubie szaleją choroby weneryczne, i to takie, po których ponoć chuj odpada. Bój się.  
– Wy się bójcie. Wiemy o was wszystko i o tym gorylu z cygarem w gębie.  
– Lepiej uważaj, bo szkalowanie El Comandante może się dla ciebie źle skończyć. Tu wszyscy go kochają.



– Tak jak wy – zaszydził.

Udała, że tego nie usłyszała. Nie warto było sobie więcej języka strzępić na dyskusji z tym tępakiem.

Jak tylko na powrót usiadła na swoim miejscu, zaraz przysiadła się do niej Irena.

– I co pani o nim sądzi?

Zuza w pierwszej chwili nie zrozumiała pytania.

– Mariański to idiota, jakich mało. Właściwie powinien przebywać w zamknięciu, bo zagraża nawet sobie. Jakby mógł, toby sobie grdykę przegryzł. Niestety, jest to niemożliwe.

– Nie, chodzi mi o tego Niemca. On jest podejrzany.

– Też tak uważam. Kłamie jak najęty, to pewne. Bardzo możliwe, że jedynie udaje Niemca. Z chęcią zajrzałabym mu do paszportu, ale nie bardzo jest jak to zrobić.

– Myśli pani, że to on jest mordercą?

– Nie wiem, równie dobrze może nim być ktoś z miejscowych. Wszyscy oni patrzą na nas co najmniej z niechęcią, a często wręcz z nienawiścią.

– Ale dlaczego?

– Bo mamy lepiej niż oni. Nie dziw się, to takie ludzkie. Lepiej zapalmy po papierosku.

Irena, widząc w jej dłoni paczkę ekstra mocnych, aż się wzdrygnęła.

– Dziękuję, wciąż się dziwię, że pani je może palić.

– Kochana, to kwestia przyzwyczajenia. Po prostu długie lata praktyki.

Pojawili się muzycy, dziś była z nimi kobieta. Śpiewała, i to całkiem dobrze. Miło było jej posłuchać.

Tuż przed północą bar opustoszał. Został jedynie Mariański, a na zapleczu Kubanka, ta, która wcześniej co i raz mu dogadzała. Kapitan postanowił z nią pertraktować ostatni pożegnalny numerek. Z płóciennej torby wyjął aparat fotograficzny Kijew, który wcześniej zabrał z bagażu kaprala. Jemu i tak się już nie przyda. Kobiecie na widok takiego sprzętu oczy zabłysły z pożądania. Rzuciła się na Mariańskiego, jakby pościła od lat, a przecież kilka godzin wcześniej zrobiła loda funkcjonariuszowi bezpieki, który ją przesłuchiwał. Przygniotła kapitana swoim ciałem, aż mu zabrakło tchu, a to był dopiero początek. Guziki przy rozporku rwały się jeden za drugim, te od koszuli w dalszej kolejności. Spocone ciało Kubanki przykleiło się do spoconego ciała Mariańskiego. Pojękiwaniom i westchnieniom nie było końca. Bądź co bądź to nie był tani aparat. Godzinę potem kapitan, chwając się na nogach, opuścił pakamerę i ukradkiem pomknął do hotelu.

Wczesnym rankiem przed hotel zajechał autokar. Taki sam jak ten, co ich tu przywiózł, zielony ikarus. Załadowali się do środka, bagaże tak jak wcześniej wcisnęli do luku pod podłogą i ruszyli w drogę, prawie sześćsetkilometrową, do Santiago, pierwszej stolicy Kuby. Samochód w pełnym słońcu rozgrzewał się prawie do czerwoności. W środku nie było czym oddychać, i to mimo otwartych okien i silnych przeciągów. Z zewnątrz wpadał żar i jeszcze bardziej podgrzewał i tak już gorące powietrze. Pot lał się dosłownie ze wszystkich prócz kierowcy. Tylko on jeden w jakiś cudowny sposób potrafił się dostosować do panujących warunków. Według Wokulskiego odporność na upał to była kwestia przyzwyczajenia. Zuza co i raz zerknęła na Mariańskiego, bo on z racji pokaźnej tuszy przechodził największe katusze. Widziała na jego koszuli wielkie ciemne plamy pod pachami i na plecach. Chwilami nawet mu współczuła, ale zaraz uprzytomniała sobie, że ten kawał sukinsyna zasłużył na to, i natychmiast serce jej na powrót twardniało niczym skała.

Co sto kilometrów zatrzymywali się na krótki odpoczynek. Często w szczerym polu, przy ciągnących się wzdłuż drogi uprawach kukurydzy lub plantacjach trzciny cukrowej, ale nigdy, kiedy jechali przez las tropikalny, i to nie tylko z racji dzikich zwierząt, ale głównie ryzyka zabłądzenia. Te tereny były trudno dostępne i przez to bardzo niebezpieczne. Był już wieczór, kiedy zaczęli się przebiegać przez pasmo gór Sierra Maestra. To tu przez kilka lat ukrywał się Fidel Castro, nim rozpoczął swoją rewolucję, nim wszystko na Kubie wywrócił do góry nogami. Droga stała się kręta, a na dodatek trafił im się objazd z powodu uszkodzonego mostu. Teraz jazda stała się ekstremalnie trudna, bo jechali nad przepaściami, co gorsza, nawierzchnia była dziurawa i autobus co chwila skakał na wybojach. Jezdnia zwężała się, że ledwie się na niej mieścili, a o mijaniu się z pojazdem nadjeżdżającym z przeciwka mogli zapomnieć. Jedynie może co kilometr były miejsca przeznaczone na mijanki. Dzień chylił się ku końcowi, słońce zachodziło za górskimi szczytami, powietrze się schłodziło, wszyscy prócz kierowcy, okrutnie umęczeni upałem, drzemali na swoich miejscach. Zuza przytuliła głowę do szyby, Irena do jej ramienia. W pewnym momencie i kierowcę sen zmorzył. Autobus zamiast na najbliższym zakręcie skręcić w lewo, pojechał prosto, a po chwili z całym impetem zaczął się staczać ze wznesienia, by na koniec wykonać kilka gwałtownych obrotów wokół swojej osi, inaczej zwanych śrubą. To nie mogło się dobrze skończyć. Słychać było krzyki raptownie przebudzonych pasażerów i zgrzyt brutalnie gniecionych blach, aż w pewnej chwili wszystko ucichło. Zapadła grobowa cisza.

## POLSKA

**P**ułkownik Kozioł akurat wchodził do komendy, kiedy podbiegł do niego oficer dyżurny.

– Przyszedł pilny szyfrogram z Kuby. Położyłem go towarzyszowi pułkownikowi na biurku.

– Bardzo dobrze – pochwalił podkomendnego szef. – Zaraz na niego zerknę.

Pewnie znów ten Mariański coś spierdolił, aż strach to czytać, pomyślał, wchodząc do swojego gabinetu. Nawet nie zdjawszy płaszcza, podszedł do biurka i sięgnął po meldunek.

– Niniejszym zawiadamiamy, że w wyniku wypadku zginął na służbie kapitan Zygmunt Mariański. Wraz z nim śmierć poniosła płożka mecenas, Zuzanna Lewandowska. Zwłok do dziś nie odnaleziono. Przepuszczalnie nigdy nie zostaną odnalezione z racji trudnego dostępu do miejsca wypadku.

– Kurwa mać! – zaklął pod nosem i z rozmachem usiadł w fotelu. Co tu teraz należy zrobić?, zastanawiał się. Na pewno trzeba urządzić jakiś pogrzeb, ale co pochować? Ta Lewandowska to go nie obchodzi, mogą zakopać pustą trumnę, ale Opara z Mariańskim byli milicjantami i zginęli na służbie. Musi być kompania honorowa, przed trumnami muszą nieść na czerwonych poduszkach ich ordery. Kurwa mać, ale czy oni mają jakiegokolwiek odznaczenia? Trzeba to pilnie sprawdzić i jak trzeba, to im na szybko po kilka przyznać. Jutro z Okęcia mają odebrać stopę Oparę, ale właściwie może lepiej, żeby ona była Mariańskiego, w końcu był oficerem.

Musi to sobie na spokojnie przemyśleć.

Sięgnął po telefon.

– Kasin, do mnie! – ryknął do słuchawki.

Nie minęła minuta i chorąży się zameldował w gabinecie.

– Słuchajcie, Kasin. Wiemy, że możemy na was liczyć. Wy potraficie wszystko, nawet zamotać przy urnach wyborczych. Dobrze pamiętamy tę historię w komisji na Powiślu w Warszawie. Dobrze się wtedy spisaliście. Wykazaliście frekwencję sto dwadzieścia procent.

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku. Dziękujemy za docenienie naszych zasług.

– Dajemy wam teraz nowe zadanie. Tylko nas nie zawiedźcie. A więc macie podzwonić po różnych płożkach instytucjach, tych, co nadają ordery, i kazać im, żeby je nadali naszym zmarłym towarzyszom, kapitanowi i kapralowi.

Chorąży, zdumiony poleceniem, patrzył na zwierchnika. Nie miał pojęcia, kto w Płocku rozdaje takie błyskotki. Kozioł w mig się zorientował, że to intelektualnie przerasta jego podwładnego. Musiał mu jakoś pomóc.

– Zadzwońcie do szefa sztabu wojskowego. Niedawno przydzielali ordery za zdobycie Berlina. Może coś im zostało?

– Ale, o ile wiemy, to kapitan Mariański nie zdobywał Berlina.

– I co z tego? A kto to sprawdzi? Wiecie, jaki tam wtedy był burdel? Zadzwońcie też do ZBOWID-u. Coś nam się kojarzy, że też dawali jakieś odznaczenia.

– W zoo też coś dawali – wtrącił Kasin, bo mu się akurat przypomniało.

– W zoo? Czy was zupełnie pojebało? Nawet nie ważcie się tam dzwonić. Jutro pojedziecie na lotnisko po stopę. Przywieźcie ją tu na komendę, pomyślimy co z nią zrobić dalej. A teraz wypierdalajcie mi stąd.

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku!

– Aha, jeszcze jedno. Co wiecie o tych niby helikopterach nad Wisłą?

Kasin zrobił zdziwioną minę.

– My nic o nich nie wiemy, poza tym, że jakaś babcia z wnuczkiem przyszła na komisariat i krzyczała, że wrogie helikoptery latają nad rzeką. No ty my pytamy, skąd ona wie, że wrogie? A ona, że na bokach mają wymalowane gwiazdy. No to my, że to ruskie, więc nie wrogie i że za takie gadanie to my ją do pierdła wsadzimy. Wtedy ten gówniarz zaczął się drzeć, że to białe gwiazdy. No to my, że jak się nie zamknie, to my mu tak po łbie pałką przypierdolimy, że wtedy naprawdę zobaczy białe gwiazdy.

– To co to było? Sprawdziliście?

– Tak, towarzyszu pułkowniku, to były bociany.

– No i dobrze, Kasin.

Kowalski siedział sam w kancelarii, bo Jolka w tym czasie była na poczcie po korespondencję, kiedy przyszło tam dwóch milicjantów.

Miny mieli ponure, stanęli przed Kowalskim i zaczęli nerwowo dreptać w miejscu, spoglądając po sobie.

– Co tak drepczenie? Kibel jest na końcu korytarza – zakpił z nich.

– My nie w tej sprawie. Szukamy rodziny obywatelki Zuzanny Lewandowskiej – w końcu zakomunikował jeden z milicjantów.

– A o co chodzi konkretnie? – spytał zaniepokojony Kowalski.

– To informacja dla jej rodziny. Nie dla was, obywatelu.

– Owszem, nie jestem jej rodziną, ale bliskim przyjacielem. Gadajcie, co się stało?

– Nie wiemy, czy nam wolno. – Milicjant się zawahał.

– Nie pierdolicie mi tu głupot, tylko gadajcie. Przecież znacie mnie dobrze.

– Obywatelka Zuzanna Lewandowska zginęła na Kubie.

– Co proszę?! – krzyknął Kowalski na całą kancelarię.

Zbladł, chwycił się rantu biurka, bo inaczej pewnie by się przewrócił. Wszystko, tylko nie to. To nie może być prawda! Świat bez Zuzy to coś okropnego, coś niewyobrażalnego.

– To pewnie pomyłka, jakieś nieporozumienie. Nie wierzę – wyszeptał.

– Niestety, to prawda. Zginęła w wypadku samochodowym, tak mamy napisane. Zresztą nie tylko ona. Śmierć ponieśli dwaj wybitni funkcjonariusze milicji, kapitan Mariański i kapral Opara.

Kowalski spojrział na nich zdumiony.

– A co oni tam robili, do cholery? Szpiegowali Zużę? Może to oni ją zabili? Mariański od lat jej się odgrażał, że pozabawi ją życia.

– My nic nie wiemy. My tylko mamy zawiadomić rodzinę. W czwartek odbędzie się pogrzeb kaprala Oparę, a właściwie jego stopy, bo tylko tyle po nim zostało.

– A co się wydarzyło? Co za wypadek? Wiecie coś więcej? Mówcie, do cholery!

– Za dużo nie wiemy. Słyszeliśmy tylko, że zjadł go krokodyl, ale czy innych też, to nie mamy pojęcia. To jak z tą rodziną obywatelki Lewandowskiej? Macie jej adres?

– Wiem, że ma rodzinę w Sierpcu. O innej nie słyszałem. To jest dom na wjeździe do miasta. O ile pamiętam, po prawej stronie drogi – odparł Kowalski beznamiętnym głosem. Usiadł za biurkiem i skrył głowę w dłoniach. Wciąż nie dowierzał.

Kiedy milicjanci wyszli, poczłapał wolno do pokoju Zuzy i usiadł w jej fotelu. Z szuflady wyjął butelkę stocka i kieliszek. Nalał sobie, wypił i znów nalał. Patrzył na ścianę, na miejsce, gdzie od lat miał zawisnąć portret Zuzy, i lzy płynęły mu z oczu.

W takim stanie zastała go Jolka. Od razu się zorientowała, że stało się coś okropnego.

– Co z szefową?! Chyba nie spadł samolot?! Mów, człowieku! Czemu milczysz?! – zaczęła krzyczeć.

– Nie żyje. Chyba krokodyl ją zjadł. Do cholery, czemu lazała do tych bestii? Zawsze miała nie po kolei pod sufitem! Zostawiła nas! Tak się nie robi. To jest zwykle świństwo.

Jolka stała nieruchomo jak głaz, porażona tymi informacjami. To było niczym koniec świata, prawdziwa apokalipsa.

– Nalej i mnie – wyszeptała po dłuższej chwili. – Jak to się stało? Skąd to wszystko wiesz? Może to tylko jakaś plotka? Już nieraz uważaliśmy Zużę za zmarłą, a ona po jakimś czasie odnajdywała się cała i zdrowa.

– Nie tym razem. – Kowalski pokręcił głową. – Krokodyl ją zjadł, tylko stopa została.

– Stopa? – wydukała dziewczyna.

– Tak. Chociaż nie wiem, czy po niej czy po tym sukinsynie Oparze. A może po Mariańskim? Sam już nie wiem. To było, jakby we mnie piorun strzelił. Wszystkiego bym się spodziewał, ale nie tego. Pogrzeb w czwartek.

– W czwartek? Ale co pochowają, skoro ją krokodyl zjadł?

– No jak to co? Stopę. Głucha jesteś?

– Ale powiedziałaś, że nie wiesz, czyja to stopa.

– Powiedziałem, wiem, co powiedziałem. Daj mi już spokój – warknął na nią, wypił i znów nalał.

Jolka usiadła na krześle i też wypiała.

– I co teraz będzie? Co z Borysem? Przecież nie mogę wziąć go domu, bo mnie starzy wygonią. A co z Wrzodem? Proboszcz się załamał nerwowo, jak usłyszy, że u niego zostanie. Muszę iść do niego i go o tym poinformować. Skoro pogrzeb za trzy dni, to może odprawi jakąś mszę żałobną. W końcu się przyjaźnili, choć może to była dość specyficzna przyjaźń. Nalej jeszcze.

Kowalski napełnił kieliszki.

– Więcej nie ma – oznajmił ze smutkiem. – Nie wiem jeszcze, co ze Zgagą. Jeśli jej nie zjadł krokodyl, to wróci tu i będzie z nią spory kłopot.

– Ty ją weź. Masz już jedną papugę.

– Nic z tego. One się nie znoszą.

Ktoś zapukał do drzwi. To pracownik elektrowni, przyszedł odczytać licznik. Jolka nie wytrzymała i wszystko mu wypaplała. Poskutkowało to tym, że jeszcze przed wieczorem w Płocku aż huczało od plotek na temat śmierci Zuzy. Kiedy Jolka dotarła do fary, do proboszcza, on już wszystko wiedział.

– Słyszałem o tym nieszczęściu, że tygrys rozszarpał Zużę, a tego idiotę Mariańskiego zjadł krokodyl. Co za tragedia!

– Jaki znowu tygrys? – zdumiała się. – Na Kubie ich nie ma. Ją też zjadło to gadzisko – sprostowała, szlochając. – W czwartek jest pogrzeb.

Spojrzał na nią niespokojnie.

– Jak to? Nikt tego nie ustalał ze mną. Bez księdza? Nie po katolicku? Tak przecież nie można.

– No nie wiem – bąknęła, wycierając oczy chusteczką. – Kowalski go chyba organizuje. Tak w każdym razie zrozumiiałam, że będzie symboliczny pogrzeb, no bo ciała nie ma. To znaczy, jest stopa, ale nie wiadomo czyja.

– Co temu Kowalskiemu odbiło? – zastanawiał się proboszcz. – Przecież on jest katolikiem. Trzeba urządzić prawdziwy pogrzeb, z karawanem. Cały Płock na niego przyjdzie. Ludzie ją kochali. – Duchownemu się głos łamał. – To był złoty człowiek. Każdemu pomógł. Każdemu rękę podał, z każdym wypił, zapalił, prawdziwy katolik.

– Ale, o ile wiem, szefowa nie chciała modłów na swoim pogrzebie, zawsze tak mówiła.

– Może i mówiła, ale w obliczu śmierci na pewno zmieniła zdanie. Tego jestem pewien. Jednak jest problem, no bo jak mam pochować samą stopę? Nigdy nie chowałem czegoś tak małego. W wielkiej trumnie? To nie ma sensu, tym bardziej że byłoby kosztownie. Lepiej pochować ją w dziecińnej, ale co wtedy ludzie powiedzą? Porozmawiam z Kowalskim, może pokryje koszt dużej trumny, no bo ja nie mam pieniędzy. Wszystko, co zbieram, idzie na remonty kościoła i wciąż tego mało.

– To może trzeba sprzedać Zużę mercedesa? Przecież po niej został, a jej już się nie przyda.

Na te słowa proboszczowi aż oczy zabłyśły.

– Tym akurat mogę się zająć. Ładny jest i niezniszczony, może ja sam bym go kupił.

Jolka zmierzyła go złowrogim spojrzeniem. Było nie było, przed chwilą twierdził, że nie ma pieniędzy. Natychmiast zorientował się, że palnął głupotę. Uśmiechnął się przepraszająco.

– No wiesz, wciąż muszę biegać po parafianach z ostatnim namaszczeniem, a tusza i zdrowie mi na to zbyt mało pozwalają. Mogę kiedyś nie zdążyć, a wtedy taka dusza nie wiadomo gdzie powędruje.

– Skoro ksiądz tak wciąż biega, to w parafii musi panować jakaś okropna zaraza. Dżuma to czy cholera? – zakpiła.

– Z tym mercedesem to oczywiście żartowałem, ale może znajdę na niego godnego kupca. Znam trochę bogatych ludzi. Popytam tu i ówdzie. Problem jest za to z tym kociskiem. Jest jeszcze bardziej wredny niż moja gosposia. Siusia po kątach i przez to mam w mieszkaniu okrutny smród. Nie może tu zostać, musicie go zabrać, i to pilnie.

– Ale dokąd? Ja mam Borysa na karku, a Kowalski nawet nie chce o tym słyszeć, bo ponoć ma alergię. Może ksiądz ogłosi podczas mszy, że miły kotek szuka nowego domu?

Proboszcz spojrzał na nią zdumiony.

– Miły kotek? Ty chyba żartujesz? To jest kawał skurwysyna! – Zaraz spojrzał w górę, przeżegnał się i dodał: – Panie Boże, wybac mi te bluźnierstwa, ale inaczej nie mogłem zareagować, bo to kocisko jest z piekła rodem.

– Wiem, jaki jest, ale nie można go wygonić na ulicę. To kaleka i zaraz stanie się karmą dla zdziczałych psów. – Jolka zaczęła się uzalać nad losem Wrzoda.

– No cóż, jeśli tak, to będzie to wola Pana. Amen – rzekł proboszcz i się przeżegnał.

Jolka zorientowała się, że tylko w niej dla kota jedyna nadzieja. Duchowny niczym Piłat umył od tej sprawy ręce. Musi działać, roześle wici po znajomych, może się ktoś zlituje, okaże dobre serce.

– Zgoda, zabiorę go, ale dopiero po pogrzebie – rzekła z rezygnacją.

– I bardzo dobrze, będziesz mieć jeden dobry uczynek więcej. To się po śmierci przyda. Kot to też stworzenie Boże i nie może być zostawiony bez opieki.

Nic na to nie rzekła, cholerny faryzeusz. Zresztą tak jak oni wszyscy. Tak zawsze mawiała nieboszczka szefowa i miała rację.

Pułkownik Koziół siedział w fotelu i jak zahipnotyzowany patrzył na podłużny pojemnik, ponoć zawierający stopę Opary.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Wejść!

To doktor Ludwicki, przyszedł na jego prośbę.

– Wejdźcie, towarzyszu lekarzu. Mamy dla was zadanie.

– Domyślam się, o co chodzi. W końcu cały Płock o tym mówi. Chcecie, żebym przeprowadził sekcję szczątków czyjegoś ciała. Mam wskazać, czyja to stopa.

– Zgadza się, towarzyszu. Podejmiecie się tego?

– To, czego ode mnie oczekujecie, jest niewykonalne. To już wam od razu mówię. Przecież nie powiem wam, czyja to stopa. Nie słyszałem o metodzie rozpoznawania ludzi jedynie po takim fragmencie ciała. To jest nierealne. Może gdyby dystynkcje milicyjne tatuowano na dużym palcu u nogi, byłaby na to szansa.

– Kpicie sobie ze mnie? – Pułkownik groźnie zmarszczył czoło.

– Ależ skąd! Tylko mówię, jak jest. Zajrzę do tej nieszczęsnej stopy i powiem, co ustaliłem, ale proszę się nie spodziewać jakiejś rewelacji.

– Wy, towarzyszu lekarzu, potraficie podnieść człowieka na duchu jak mało kto.

– Patolog nie jest od tego. Ja tylko kraję trupy i piszę protokoły, nic więcej. Jeśli chcecie pocieszenia, towarzyszu pułkowniku, to udajcie się do psychologa. On jest od tego, nie ja.

– Jesteście bezczelni. Uważajcie, nie pogrywajcie sobie z nami. W archiwum mamy na was całą teczkę. Lepiej, żebyśmy z niej nie zrobili użytku.

– Nie groźcie mi. Lepiej dajcie ten pojemnik. Zobaczę, co da się zdziałać.

## KUBA

Zuza ocknęła się wreszcie. Otworzyła oczy i zobaczyła przed sobą wielką kupę mięsa. To mógł być tylko Mariański, leżał na plecach i się nie ruszał. Kurwa mać, zawsze on? Chwilę trwało, nim sobie przypomniała to, co się działo wcześniej. Pamiętała, że się obudziła, kiedy autokar koziołkował. Latała po nim niczym groch w grzechotce, aż w końcu wszystko się urwało. Spróbowała się teraz podnieść, ale był problem, w lewej stopie poczuła silny ból. Usiadła i obmacała nogę. Nie wyglądało to na złamanie, pewnie jedynie zwichnięcie. Zaczęła się rozglądać, ale wszędzie panowała ciemność i nic nie było widać.

Z oddali dolatywały jakieś dziwne dźwięki, pewnie wydawane przez zwierzęta, które uaktywniają się nocą. Brzmiało to groźnie, ale dobrze pamiętała, co mówił jej Eduardo, że na Kubie nie ma drapieżników, i to ją od razu uspokoiło. Siedziała tak i zastanawiała się nad swoim położeniem. Byli tu tylko we dwoje, ona i kapitan. Czemu akurat on? Gdzie jest Irena? Co się z nią stało? Czemu ta tłusta świnią wciąż ją prześladowuje, nawet tu, w tym tropikalnym lesie? Gdzie jest reszta wycieczki?

– Jest tam kto?! – krzyknęła, ile sił w płucach, ale bez odzewu. Ponownie krzyknęła: – Czy ktoś mnie słyszy?!

I znów cisza. Pewnie nie żyją. Musi się stąd jakoś wydostać. Przecież nie z takich opresji udawało jej się wyjść bez szwanku. Żyje, a to już połowa sukcesu.

Postanowiła najpierw sprawdzić, co się dzieje z tym komunistycznym gadem. Czy jeszcze dycha, a może już wyki-tował? Tak w każdym razie wypadało zrobić, choć była pewna, że gdyby sytuacja była odwrotna, to on by nawet palcem w bucie nie ruszył, żeby jej pomóc, a być może by ją nawet dobił. W końcu niejedno miał już na sumieniu. Prze-czołgała się do niego i się nad nim nachyliła. Oddychał.

– Tego to i szpadlem nie dobijesz – mruknęła pod nosem.

Szarpnęła go za ramię. Poruszył się. Coś zamamrotał. Otworzył oczy.

Uśmiechnęła się szeroko.

– To ja, Zuza Lewandowska, twój największy koszmar – zdobyła się na drwinę.

– Co się stało? Co mi zrobiliście? – szeptał. – Gdzie jesteśmy?

Przechylił głowę i zaczął się nerwowo rozglądać.

– W czarnej dupie, kochasiu. Mieliliśmy wypadek i wszystko na to wskazuje, że tylko my żyjemy, dwoje największych przyjaciół. To chyba jakieś zrządzenie boskie, nie uważasz?

– Jaki wypadek? Co wy pierdolicie? Nic z tego nie rozumiemy. To znów wasza sprawka. Nie ujdzie wam to na sucho!

– Że nic nie rozumiesz, to się wcale nie dziwię. Nigdy nie byłeś bystry, a teraz pewnie ci się pogorszyło. No jak to jaki wypadek? Nie pamiętasz? Autobus się wypierdolił i spadł w przepaść, a teraz musimy jakoś dotrzeć do drogi. Trzeba sprowadzić pomoc, trzeba szukać pozostałych. Może ktoś jeszcze ocalał. Teraz po nocy nic nie zrobimy, musimy poczekać do rana, bo ciemno tu jak w dupie u Murzyna.

Ułożyła się wygodnie na ziemi i bezskutecznie próbowała zasnąć, ale Mariański, którego natychmiast sen zmo-rzył, swoim głośnym chrapaniem długo jej na to nie pozwolił, pewnie przy okazji wystraszał wszystkie zwierzęta w okolicy. Zuza podejrzewała, że i węże, które chyba nie posiadają uszu. Tego akurat nie była pewna, ale obiecała sobie, że jeśli jej się uda cało wrócić do Polski, to pójdzie do zoo i o to spyta.

Skoro świt odgłosy budzącej się przyrody postawiły ich na nogi. Zuza dopiero teraz mogła rozejrzeć się wokoło, widok kiepski, bo wszędzie dookoła dziki las, a oni tkwili w samym jego środku. Gdzie nie spojrzeć gęste zarośla, liany, no i skały. Znajdowali się u podnóża wysokiego wzniesienia. To pewnie z niego spadli. Jakim cudem w ogóle przeżyli? To było nieprawdopodobne. O wspięciu się do góry mogli zapomnieć, bo było za stromo, Mariański był na to za gruby, a Zuza z bolącą nogą w ogóle nie nadawała się do wspinaczki. Musieli wybrać inne rozwiązanie.

– Jest tam kto?! – krzyknęła, ale bez żadnego odzewu. Nie mieli innego wyjścia, trzeba było iść dalej w dół i tam szukać pomocy. W końcu muszą kiedyś dotrzeć do jakichś zabudowań, wsi, a może drogi.

Zuza chwyciła grubą gałąź leżącą koło niej, żeby służyła jej jako kula, i spróbowała się podnieść. Ze stopą chyba nie było najgorzej, bo mimo bólu nawet dało się na niej stanąć. Mariański, widząc jej poczynania, również dźwignął się

na nogi, choć z wyraźnym trudem, pewnie spowodowanym jego okazałą tuszą, bo raczej nie odniósł żadnej poważnej kontuzji.

– Co teraz? – spytał, patrząc na Zuzę. – Macie jakiś pomysł, bo my nie mamy. Mamy jedynie pustkę w głowie.

Pierwszy raz od dawna powiedział coś z sensem, pomyślała, słysząc jego ostatnie słowa.

– Jak to co? Idziemy. Nie ma sensu tu pozostawać. Tu nie mamy co liczyć na jakąkolwiek pomoc.

Rozejrzała się na boki, zastanawiając się, w którym kierunku powinni iść. Wszędzie gęste zarośla, więc trzeba będzie się przez nie przedzierać. Wybrała, wydawałoby się, łagodniejsze zejście, ale czy to był dobry pomysł? Nie miała zielonego pojęcia.

Ruszyła przodem. Kapitan chwilę się wahał, ale w końcu rad nierad poszedł za nią. Szli powoli. Trzeba było wciąż łamać gałęzie i uważnie patrzeć pod nogi, bo przy ziemi mogło się czaić mnóstwo pułapek, jak choćby jadowite pająki.

– Pewnie są tu węże. – Usłyszała zza pleców drżący ze strachu głos Mariańskiego.

– Tak, jednego to masz w gaciach, kąsał, i to bez opamiętania, tę biedną Kubankę – mruknęła pod nosem. Dobrze pamiętała, co mówił jej Eduardo. Na Kubie nie ma jadowitych węży, ale jej towarzysz nie musiał tego wiedzieć. Niech sukinsyn sra w gacie ze strachu.

Zejście robiło się coraz bardziej strome, kamienie coraz bardziej śliskie. Nagle Mariański potknął się, zachwiał i wywrócił, po czym zaczął zjeżdżać na tyłku, po drodze gnąc i wyłamując krzaki. W chwilę potem minął Zuzę i pomknął dalej niczym wyścigowy bolid na torze bobslejowym, wydzierając się przy tym niemilosiernie:

– Na pomoc! Ratunku! Ty suko, to przez ciebie! Zabiję cię! Już po mnie!

Długo rozlegał się odgłos łamanych gałęzi i trzepot skrzydeł wystraszonego ptactwa, które zrywało się ze swoich siedlisk. Wydawało się, że to wszystko nie będzie mieć końca.

Wtem Zuza usłyszała głośny plusk i nastała cisza.

Pewnie się ta świnią w końcu zabiła. Szkoda, że dwoje jest zawsze raźniej, nawet z Mariańskim.

Podążyła tropem kapitana, żeby sprawdzić, jaki był finał jego karkołomnego zjazdu, co nie było zbyt trudne, bo jego wielkie tłuste cielsko zadziało na tutejszą roślinność niczym muzułmański taran na bramę Jerozolimy w roku 1187. Gdzie on, do cholery, jest?, zastanawiała się, bo trop wciąż się nie kończył. Zeszła może ze trzydzieści metrów w dół i zatrzymała się zdumiona na brzegu niedużej sadzawki, na której środku była mała wysepka, a na niej rosły dwie palmy. Mariański, cały mokry, drżący jak galareta, stał na owej wysepce przytulony do jednej z palm i z trwogą w oczach obserwował taflę wody. Kiedy Zuzę zobaczył, zaczął machać do niej rękoma i wrzeszczeć:

– Krokodyle! Przeklęte krokodyle!

Dokładnie przyjrzała się owej sadzawce i okolicy. Do cholery, gdzie są te krokodyle? Gdzie on je widzi? Ona nie dojrzała żadnego, nawet śladu ich łap na brzegu. A w ogóle, skąd by się wzięły tak wysoko w górach? To jakaś wietrzna bzdura, to nie miało żadnego sensu.

Znów zerknęła na bajoro. Tafla wody wciąż nie była niczym zmacona, co tylko potwierdzało jej przypuszczenia.

– Ja ich nie widzę. Tu nic nie ma! To jakaś fatamorgana! – odkrzyknęła.

– Są! Na pewno są! Tu wszędzie one są! Jest ich pełno! – wydierał się, ile sił w gardle.

Jedynie wzruszyła ramionami i usiadła na starej, przewróconej palmie, żeby obejrzeć stopę. Wciąż ją bolała, choć nie aż tak, żeby nie mogła iść dalej. Kapitan w tym czasie cały czas przytulał pień palmy niczym swoją kubańską kochankę. Nie będzie durnia przekonywać, że kolor czarny jest czarny. Ciekawe, kiedy mu się to znudzi? Słońce wspięło się coraz wyżej, było coraz bardziej gorąco. Zuzie zaczęło coraz bardziej dokuczać pragnienie. Trzeba było pilnie poszukać wody pitnej.

– Ruszcie się, przegnajcie te gady, bo nie możemy tu tak stać w nieskończoność!

– Puknijcie się w ten pusty łeb, kapitanie, tu nie ma żadnych krokodyli – odparła spokojnym głosem, zdejmując but. Nie jest za dobrze. Stopa była delikatnie zaczerwieniona i lekko spuchnięta. Muszą natychmiast iść dalej, bo z każdą godziną może się pogorszyć. Na powrót włożyła but i znów zerknęła na Mariańskiego. Wciąż stał przy drzewie i trząśił się jak galareta. Zrobiło jej się go żal. No cóż, taka już była. Podeszła do stawu i zaczęła jakąś gałęzią uderzać w wodę. Gdyby krokodyle faktycznie go okupowały, toby zareagowały natychmiast. Tymczasem nic się nie działo.

– Nic tu wam, towarzyszu kapitanie, nie grozi. Tu nie ma tych imperialistycznych gadów i możecie ruszyć swoją komunistyczną dupę i opuścić tę przeklętą wysepkę, bo trudno to nawet nazwać wyspą – oznajmiła mu kąpiąco.

– Na serio? Jesteście tego pewni? Nie podpuszczacie mnie?

– Owszem, choć bardzo żałuję, bo nie ma nic piękniejszego niż widok wygłodniałego krokodyla chrupiącego tłustego komucha. Pospieszcie się, bo ja sobie stąd idę. No chyba że chcecie tu zostać na stałe i do śmierci ścisnąć tę

biedną Bogu ducha winną palmę.

Odwróciła się i ruszyła dalej przedzierać się przez gęste chaszczki. Wtem usłyszała plusk wody, a więc perspektywa samotnego pozostania na wyspie bardziej przeraziła kapitana niż ewentualny atak wymyślanego kroko-  
dyla.

– Poczekajcie! Już idziemy! Nie zostawiajcie nas!

Zwolniła i w końcu ją dogonił. Ciężko sapał. Dobrze mu, niech mu się ten smalec wytopi, pomyślała i z premedytacją przyspieszyła. Weszli na jakąś ścieżkę, wila się, ale i tak wędrówka stała się łatwiejsza. Mariański co chwila z głośnym okrzykiem trwogi strącał z siebie pająki, których tu było co niemiara i które go sobie nie wiadomo dla-  
czego bardzo upodobały. Co jakiś czas zatrzymywali się, żeby odpocząć. Wtedy kapitan z kieszeni spodni wyjmował wielką chustkę i ścierał sobie pot z twarzy. Las się powoli przerzedzał, więc mogli jeszcze przyspieszyć. W końcu wyszli na jego skraj. Przed nimi rozciągały się wielkie pastwiska, a na jednym z nich, ogrodzonym drewnianymi żer-  
dziami, pasło się kilka koni, co Zuza niezmiernie ucieszyło, bo oto znaleźli środek transportu. Samej jazdy na wierz-  
chowcu się nie obawiała, bowiem od kilku miesięcy w stadninie w Łącku pobierała naukę jeździectwa. Jednak przy-  
dałyby się do tego siodła. Na oklep nigdy jeszcze nie dosiadała konia i wołała tego uniknąć, a cóż dopiero mówić o kapitanie? Dla niej samej jazda bez uprząży na nieznanym jej koniu to było spore wyzwanie, a jak on sobie z tym poradzi?

– Mamy środek lokomocji – rzekła prowokacyjnie do swojego kompana.

– Co? Chyba nie myślicie, że wsiądziemy na taką bestię? – Palcem wskazał najbliższego konia. – Nie ma mowy! My nie dosiądziemy tego bydlęcia. My jeździliśmy tylko gazikami.

– To zostaniecie. Ja jadę. Noga mnie coraz bardziej boli i w takiej sytuacji nie mam innego wyjścia. Widzę w od-  
dali jakąś rozwalającą się szopę. Może tam znajdziemy siodła? Z nimi będzie dużo łatwiej – zakomunikowała mu su-  
cho i ruszyła w tamtym kierunku.

Z bliska szopa nie wyglądała dużo lepiej niż z daleka. Jeszcze jedna lub dwie silne wichury i złoży się niczym domek z kart, to było pewne. Zuza ostrożnie rozwarła wrota, które zaskrzypiały przy tym okropnie, i zajrzała do środka. O mało nie krzyknęła z radości, bo zauważyła trzy siodła wiszące na ścianie. Kapitan nie podzielił jej entu-  
zjizmu. On nie zamierzał dosiadać żadnego konia, ale mało się tym przejmowała.

Teraz należało przygotować wierzchowce. Zuza wybrała dla siebie pięknego, czarnego jak smoła rumaka, a dla ka-  
pitana mocno zbudowanego kuca. Ten na jej oko powinien poradzić sobie z ponadmiarową wagą jeźdźca. Zwierzęta bez problemu pozwoliły się osiodłać. Teraz czekało ich najgorsze. Należało w jakiś sposób dźwignąć kapitana na grzbiet jego wierzchowca. Przy szopie stało wielkie drewniane koryto. Zuza wywróciła je do góry dnem i przystawiła do niego jakąś starą skrzynkę.

– Towarzyszu kapitanie, wskakuj na koryto, ja tymczasem przytrzymam kuca.

Mariański raptownie odsunął się od zwierzęcia na bezpieczną odległość.

– Nie ma mowy. To bydlę nas zabije. Wszystko, tylko nie to.

– Jak chcecie, ja wsiadam na swojego i odjeżdżam.

Zuza chwyciła konia za uzdę i pociągnęła za sobą.

– Poczekajcie! – usłyszała zza pleców. – Nie chcemy tu sami zostać.

Przywiązała na powrót rumaka do żerdzi ogrodzenia i wróciła.

– No więc? Jedzicie?

Mariański, klnąc szpetnie pod nosem i ciężko sapiąc, wdrapał się na górę. Zuza wolno podprowadziła kuca.

– Wsiadajcie! – rozkazała.

To była chwila i nim zdążyła się zorientować, kapitan siedział na kucu. Widocznie chciał mieć to jak najszybciej za sobą i to było jego błędem. Sęk w tym, że wsiadł na odwrót, twarzą do ogona. Kuc, czując jeźdźca na sobie, natych-  
miast ruszył klusem w stronę widocznej z daleka przełęczy. Co za cholerna idiota! Chyba tylko on mógł coś takiego zrobić.

Widziała, jak tłusty zadek Mariańskiego rytmicznie podskakuje w siodle. Patrzyła na to z przerażeniem. Była wściekła, bo jeśli podczas tej szalonej jazdy spadnie z kuca, to może złamać sobie kręgosłup, a wtedy skończy na wózku inwalidzkim i do śmierci będzie ją ciągał po sądach. To było pewne. Sama prowadziła kilka takich spraw.

– Ratunku! Pomóżcie! On mnie zabije! – krzyczał, ile miał sił w gardle. Musiała coś przedsięwziąć, i to szybko. Wsiadła na swojego konia i pomknęła za nim. Musiała go dogonić, chwycić wodze kuca i go zatrzymać. To był dla kapitana jedyny ratunek.

Niestety, plan nie okazał się taki prosty. Kuc spanikował równie mocno jak Mariański i mknął w nieznaną niczym indiańska strzała. Dupsko kapitana na wertepach z każdym pokonanym metrem wyskakiwało z siodła coraz wyżej



i wyżej, w powietrzu wisiała prawdziwa katastrofa. Ścieżka była za wąska, żeby go wyprzedzić. Nie wiadomo, kiedy pokonali przełęcz i nagle kuc zwolnił. W pierwszej chwili Zuza myślała, że się zmęczył, ale zaraz wszystko się wyjaśniło. Dotarli do jakiejś wioski, a zatem byli uratowani. Zuza odetchnęła z ulgą. Zerknęła ciekawie na zabudowania. Same liche chaty wzniesione z najróżniejszego materiału, można rzec, że z tego, co budowniczym wpadło w ręce i nadawało się na ściany. Jeszcze jeden dowód na to, że nawet w tropiku komunizm nie jest dźwignią postępu, a wręcz kamienną kulą u nogi. Nie wiadomo skąd przed kucem pojawił się jakiś starszy mężczyzna. Chwytał wodze i zastopował zwierzę, tym samym definitywnie ratując kapitanowi życie. Po chwili zbiegło się jeszcze pięćiu innych wieśniaków, którzy pomogli Mariańskiemu zejść z siodła. Wydawało się, że wszystko zmierza do szczęśliwego zakończenia, gdy nagle ktoś przybiegł i zaczął coś do nich krzyczeć. W jednej chwili oblicza mężczyzn zrobiły się marsowe, a oni zaczęli wznosić wrogie okrzyki. Niektórzy chwycili za widły, inni za szpadle, a jeszcze inni za kilofy.

– ¡Ladrones de caballos! ¡Ladrones! ¡Bandidos! ¡Enciérralos!

Co oni mówią? Czego od nas chcą? Chyba uważają nas za przestępców, zastanawiała się Zuza. Ale dlaczego? Przecież nie zamierzali tych koni ukraść, oni je tylko pożyczyci. Chciała im jakoś to wytłumaczyć, ale nie bardzo wiedziała jak, bo oni nie znali języka polskiego, a ona hiszpańskiego. Atmosfera zaczęła się robić coraz bardziej duszna. Coraz brutalniej nimi szarpano. W końcu chwyciono ich za ramiona i zaczęto ciągnąć do jednej z chat. Zuza czuła jakiegoś kuksańca pod łopatkami, wykręcono jej ręce, ktoś uderzył ją w twarz, z kapitanem też się nie patyczkowano i zaliczył kilka ciosów w głowę. Zostali wepchnięci siłą do jakiegoś ciemnego pomieszczenia i zatrzaśnięto za nimi drzwi.

– Wypuście nas! Bandyci! Kapitaści! Wszystkich was zamknę! Jeszcze popamiętacie Mariańskiego! – wydierał się kapitan, waląc w nie pięściami.

– Do cholery, zamknij się w końcu! Jeśli chodzi o ścisłość, to bardziej Mariański zapamięta ich – zakpiła i usiadła na podłodze, bo jakichkolwiek siedzisk próżno było tu szukać. Zdjęła but i zerknęła na stopę. Wydawała się jakby mniej spuchnięta, chociaż to było dobre w tej całej sytuacji.

Z zewnątrz wciąż dochodziły jakieś krzyki, pewnie się naradzano, co z nimi zrobić, aż w końcu ucichły. Mariański też się uspokoił i przestał walić w drzwi. Jak się okazało, zrobił to z bardzo prozaicznego powodu. W dłoń weszła mu drewniana drzazga. Teraz zajął się jej wyjmowaniem, co przy panującym tu półmroku było nie lada wyczynem.

– Czemu nas zamknęli? Nic z tego nie rozumiemy – mruczał pod nosem kapitan, wciąż walcząc z obcym ciałem tkwiącym mu w dłoni.

– Kurwa mać, czego znów nie rozumiecie? A co wy, towarzyszu, robicie z koniokradami? Zamykacie! A zatem skąd to zdziwienie? – zakpiła.

– My nie ukradliśmy tych koni! – zaczął na nią krzyczeć. –

Właściwie to wy je ukradliście! Na siłę nas na tego konia wsadziliście! My tego nie chcieliśmy! My się przed tym broniliśmy. To wszystko to wasza wina.

– Powiedzcie to im. – Zarechotała. – Chętnie i ja posłucham! Problem w tym, że oni mają to w dupie, a w ogóle to sobie poszli.

– Ale jak mamy gadać? Nie znamy ich języka, ale wy też nie znacie.

– I dlatego nic nie mówię. Wam też radzę się zamknąć, tym bardziej że pierdolicie głupoty.

Było gorąco, duszno, oddychali cuchnącym wilgotnym powietrzem. Dręczyło ich coraz większe pragnienie. Zuza wszystko by teraz oddała za to, żeby wypić chociaż łyk wody i zapalić, stocka też by nie odmówiła, ale o tym to w zaistniałych okolicznościach tylko mogła pomarzyć. Czas włókł się niemiłosiernie i nic się nie działo. Obydwoje leżeli na ziemi i z niepokojem czekali na to co im los przyniesie, bo każdy scenariusz w tym dzikim kraju na samym końcu świata był możliwy.

Wreszcie usłyszeli jakieś ruchy koło chaty. Poderwali się na nogi. Po chwili drzwi się rozwarły i snop ostrego światła słonecznego zalał wnętrze. W progu stało kilku osiłków. Dwóch z nich chwyciło Mariańskiego pod pachy, dwóch następnych Zuzę, po czym wywekli oboje na zewnątrz. Tam stała nysa. Nieprawdopodobne, polski samochód nysa. W środku tropikalnego lasu ujrzeli taki swojski obrazek. W innej sytuacji być może poczuliby dumę, ale nie dziś. Zapakowano ich na tył samochodu, a właściwie do zamontowanej w nim metalowej klatki. Na koniec do nysy wsiał jeden z mężczyzn i pojazd pomknął w niewiadomym im kierunku. Samochód nie miał żadnych oznaczeń, jego kierowca był ubrany po cywilnemu, a zatem to nie była policja. Kto ich uwięził? Wojskowi? Bandyci? Kontrrewolucyjniści?, zastanawiała się Zuza. Zanim tu przyjechała, trochę poczytała o Kubie i o próbach przewrotu, jak choćby o słynnym incydencie w Zatoce Świń. Jeśli to oni, to marny ich dwójga los, no bo wezmą ich za komunistów i pewnie zaraz gdzieś tu w polu rozwalą. Mariańskiego słusznie, ale dlaczego ją? Ona od oseska nie cierpi komuchów. Może za jej flirt z El Comandante? To ideologicznie było złe, właściwie wstydlive, ale jak powiadają, serce nie służy.

– Zabiją nas?

Tą złotą myślą Mariański zakłócił jej rozmyślenia.

– Was pewnie tak – odparła beznamiętnie. Niech się sukinsyn zamartwia.

– Was nie, bo was ten komunistyczny watażka co wieczór rucha, aż miło.

Trafił ją idealnie, prosto w wątrobę. To ją zabolalo i jednocześnie rozjuszyło.

– Odpierdol się ode mnie, i to raz na zawsze, ty tępy sukinsynu. Ty śmiesz mi wypominać jeden romans z komunizmem, i to po godzinach, a sam się z nim kurwisz całe życie!

Poskutkowało na tyle, że zamilkł, ale wciąż się uśmiechał z wyraźną ironią.

Wreszcie przestało trząść samochodem. Wjechali do jakiegoś miasteczka. To nie kontrrewolucjoniści, a zatem wszystko wskazywało na kubańską bezpiekę. Zatrzymali się przed wielką stalową i okropnie skorodowaną bramą. Kierowca zatrąbił dwa razy i po chwili ktoś ją otworzył na oścież. Mogli jechać dalej. Wjechali na spory dziedziniec i zaparkowali przed jakimś ponurym postkolonialnym budynkiem z kratami w oknach. To już na oko nie wyglądało dobrze. Kiedy opuszczali samochód, zakuto ich w kajdanki i zaraz otoczył ich wianuszek mężczyzn w mundurach polowych. Śmiali się, jeden z nich splunął na Mariańskiego, inny go kopnął w zadek, jeszcze inny próbował pocałować Zużę, ale kopnęła go w krok i ku ucieście innych skulił się, wyjąc z bólu. Brutalnie popchnięto ich w stronę wejścia do budynku, wykrzykując przy tym coś niezrozumiale po hiszpańsku. W pewnym momencie rozdzielili ich. Jego dokądś zabrali, a ją wepchnięto do małego pokoju, którego jedynym wyposażeniem było biurko, krzesło i taboret. Kazano jej usiąść. To zrozumiała z ich gestów. Po chwili zjawił się jakiś potężny mężczyzna w mundurze, chyba wojskowym, tak jej się w każdym razie wydawało. Śmierdział potem. Zmierzył ją pełnym nienawiści spojrzeniem.

– ¿Americanos? ¿Espías? ¿Imperialista? – krzyknął na nią.

– Nie jestem żadną imperialistką. Jestem z Polski. Zadzwonić do El Comandante. On wszystko potwierdzi – odparła po rosyjsku.

Parsknął śmiechem. W jego oczach czaiło się zło. On tego wszystkiego, co powiedziała, nie kupił. Nawet nie próbował. On miał swoją wersję i starał się jej trzymać.

– ¿Americanos? ¿Espías? ¿Bandidos!

– Nie! Poland! Amigos! – użyła jedyne słowa, które znała.

– ¡Amigos Americanos! – ryknął na nią. Podeszedł do niej od tyłu i nagle kopnął stółek, na którym siedziała. Ten się wywrócił, Zuza runęła na posadzkę, zaliczając bardzo bolesny upadek.

– Sukinsynu! Opowiem o wszystkim El Comandante! – wyrzuciła z siebie, gramoląc się do góry. Postawiła taboret i chciała na nim na powrót usiąść. Wtedy mężczyzna uderzył ją pięścią w twarz, tuż pod lewym okiem. To było jak kopnięcie konia, półprzytomna na powrót osunęła się na podłogę. Nim zdążyła dość do siebie, zaczął ją kopać, i to gdzie popadnie. Skuliła się, żeby chronić brzuch i podbrzusze. Wtedy odsłoniła nerki, a on to natychmiast wykorzystał. Sukinsyn, widać, że robił to nie od święta. Widać też było, że lubił tę czynność, bo się do niej bardzo przykładał. Pierdolony sadysta, pomyślała, a w chwilę później jego ciężki but wylądował na jej głowie. Poczula potworny ból i wtedy wszystko odpłynęło.

W tym samym czasie inny sadysta oprował kapitana. Na początek złamał mu protezę zębową, którą Mariański nosił od czasu nieudanej próby samobójczej. Później obił wnętrzości, nie oszczędzając żadnego z organów. Następnie swoją agresję skierował na jego jądra. Potraktował je pałąk bambusową. Z bólu kapitan stracił przytomność, a wtedy jego oprawca brutalnie go zgwałcił. Kiedy Mariański odzyskał świadomość, tamten akurat zapinał rozporek. Widać było, że jest bardzo z siebie zadowolony.

– I znów mnie wydupczono – jęknął kapitan, z trudem wciągając spodnie.

Zuza ocknęła się w jakiejś ciemnej cuchnącej celi. Światło wpadało tu jedynie przez małe okienko umieszczone w suficie. Było wilgotno, z kątów dochodziły znajome jej piski. Domyślała się, co to, ale bała się nawet myśleć, że może ze szczurami dzielić to samo pomieszczenie. Już raz tak było. Zawsze na samo wspomnienie jej pobytu na tonącej barce dostawała torsji. Była cała obita, obmacała twarz, wyczuła pod lewym okiem sporą opuchliznę. Sprawdziła zęby, na szczęście były nienaruszone. Odetchnęła z ulgą. Zauważyła, że ma rozpiętą spódnicę, i wtedy ogarnęło ją przerażenie. Czyżby została zgwałcona? Wszystko, tylko nie to. Na myśl o tym, że ten szubrawiec mógł to uczynić, zwymiotowała. Długo trwało, nim się jako tako uspokoiła.

Z tęsknotą pomyślała o egzotycznym lesie, o przebijaniu się przez dziką roślinność, jakże chciała cofnąć czas. Wtedy na pewno by nie dosiadła konia, nie zmusiłaby Mariańskiego do tego samego. Wciąż zachodziła w głowę, czemu ich nikt nie szuka. Przecież na pewno do tej pory zauważono wypadek ich autokaru. Być może uważano, że zżarły ich jakieś dzikie zwierzęta. Być może faktycznie gdzieś tu w okolicy żerują kubańskie krokodyle. Może są w innej sadzawce, aniżeli w tej, do której wpadł kapitan. Tylko to by wszystko tłumaczyło. Teraz za wszelką cenę

musi się jakoś wydostać z tej ciemnicy i o swoim położeniu zawiadomić ambasadę. Wciąż nie traciła nadziei, że ktoś od El Comandante ich tu znajdzie.

Zazgrzytał klucz w zamku i drzwi rozwarły się z łoskotem. W progu pojawił się ten sam sukinsyn co wcześniej. Chwyił ją za rękę i przyciągnął do siebie. Nawet się nie zastanawiała, to kopnięcie miała od lat opanowane do perfekcji. Jej prawa noga z całym impetem powędrowała w okolice jego kroku i to było jak strzał w dziesiątkę, i to z dużego kalibru. Mężczyzna, przeraźliwie wyjąc, zwinął się z bólu. Ona tymczasem minęła go i wybiegła z celi. Niestety, kilka metrów dalej była krata, o której wcześniej nie wiedziała, a zaraz za nią siedział uzbrojony strażnik. Stanęła, nie wiedząc co robić dalej. Nagle ktoś z tyłu chwycił ją za włosy i silnie za nie pociągnął. To ten skurwysyn, jej prześladowca najwyraźniej doszedł już do siebie i teraz, trzymając ją nadal za włosy, ciągnął ją po posadzce. Zawłókl ją do celi i zaczął z furią kopać.

Z oddali dochodził gwar czyichś głosów. Zbliżał się. Zuza rozróżniała słowa, ale ni w ząb nic z tego nie rozumiała. Słyszała także swojego prześladowcę. Jego jak i jego głosu chyba nie zapomni do końca życia. Nigdy wcześniej nie spotkała się z taką brutalnością ze strony jakiegokolwiek mężczyzny. Ktoś coś mówił do niego, chyba go rugał. Tak wynioskowała po intonacji jego głosu. Otworzyła oczy, ruszyła się, ale wszystko ją bolało. W końcu z dużym trudem usiadła, opierając się plecami o ścianę. Uniosła spojrzenie i dopiero teraz zobaczyła starszego mężczyznę w wojskowym mundurze. Na pewno był wysokiej szarży, co najmniej pułkownik. Poznała to po jego naszywkach. Kilku takich zawsze kręciło się wokół EL Comandante, który zwracał się do nich per *coronel*. Mężczyzna wskazywał ją palcem i wciąż krzyczał na tamtego. Podszedł do Zuzy, przyklęknął przy niej i zaczął jej się uważnie przyglądać. Nagle powstał, odwrócił się, podszedł do jej oprawcy i energicznym ruchem dłoni zerwał mu naszywkę z munduru. Zawołał jakiegoś strażnika, ten śpiesznie podszedł, po czym wyprowadził świeżo zdegradowanego wojskowego, brutalnie go przy tym poszturchując.

– *Señorita*, El Comandante przepraszać za tego bandyta i zapraszać na kolację. – Jej wyzolicieł zwrócił się do niej po polsku, czym wprawił ją w zdumienie.

– Skąd zna pan język polski? – ledwie wyszeptwała, bo spuchnięte wargi nie dawały jej mówić.

– Mój pradziadek był od was. Przyjść na Haiti z Napoleonem. Pochodził z Ziarności. On mnie nauczył. Niestety, nie żyje od wiele lat. Jestem pułkownik Osipko. Tym łobuzem, sadystą, co panią tak urządził, zajmie się sąd wojskowy. Osobiście tego dopilnuję.

– Razem ze mną aresztowano jeszcze takiego grubego mężczyznę. Co z nim? – upomniała się o Mariańskiego. Nie mogła go tu zostawić na pastwę tych zbirów, choć nie spodziewała się z jego strony nawet za grosz wdzięczności.

– Spokojnie, jego też uwolnimy. Zaraz wydam stosowne rozkaza.

– A co z resztą naszej wycieczki? Czy ktoś jeszcze przeżył, czy tylko my? Czy wie pan coś na ten temat?

– Wszyscy przeżyli prócz kierowcy. Obecnie są umieszczeni w hotelu w Santiago. Teraz ja zawieźdź panią do nich, a wieczorem przyjechać osobiście pod hotel i zabrać do rezydencji El Comandante. On się bardzo martwić o pani. Proszę się na mnie oprzeć, będzie łatwiej.

Pomógł jej wstać i wolnym krokiem ruszyli więziennym korytarzem. Wyszli z budynku odprowadzani wystraszo-nymi spojrzzeniami strażników. Zapewne ów Osipko to była bardzo ważna persona. Na dziedzińcu czekała na nich biała łada z kierowcą. Wsiedli do środka pojazdu i odjechali.

– A ten gruby mężczyzna? – spytała Zuza, zdziwiona, że kapitan z nią nie jedzie.

– Proszę się nie martwić o kolega. Jego dowiozą na przystanek autobusowy i stamtąd uda się do Santiago, on nie jest gościem El Comandante. On jechać tak jak wszyscy na Kubie.

Miała w pamięci obrazki z podróży, widziała tu autobusy tak zatłoczone, że pasażerowie siadali nawet na ich dachach. Ciekawe, jak się tam wgramoli? To będzie dla niego prawdziwe wyzwanie i dobrze mu tak, sukinsyn mógł tu w ogóle nie przyjeżdżać. Nikt go tu nie zapraszał.

Na szczęście do Santiago nie było daleko, bo Zuza cierpiała ogromnie. Kiedy dotarli na miejsce, weszła do hotelu wsparta na ramieniu pułkownika Osipki, bo inaczej pewnie by temu nie podolała.

Nikt z jej wycieczki nie został wcześniej poinformowany, że Zuza i Mariański żyją. Dlatego na jej widok każdy, a właściwie prawie każdy, spontanicznie rzucił się jej na szyję. Wyłamała się tylko Pawłowicz, ale to Zuzy nie zdziwiło.

Dostała apartament na najwyższym piętrze, z przepięknym widokiem na miasto. Domyśliła się, że to sprawka El Comandante, że on w tym maczał palce, bo to było bardzo w jego stylu. Jak tylko dotarła do pokoju, natychmiast skierowała się do łazienki. Wzięła gorącą kąpiel i dopiero gdy wyszła z wanny, stanęła przed lustrem. Wcześniej się nie odważyła. Jej twarz wyglądała jak twarz Muhammada Alego po wielorundowej walce o mistrzostwo świata, tak

była cała poobijana. Potrzeba było wiele pudru i innych kosmetyków, by to jakoś ukryć przed światem, ale w końcu jej się jako tako udało.

Kiedy wreszcie w szlafroku i ze szklaneczką stocka usiadła na balkonie, zjawiła się u niej Irena i od razu zdała relację ze wszystkiego. Autobus zatrzymał się na jakimś drzewie tuż nad przepaścią i w każdej chwili groziło im zsuniecie się w dół. Jej ojciec jako jedyny nie stracił głowy i po kolei wyprowadził wycieczkę z wraku w bezpieczne miejsce. Niestety, nie zdążył uratować kierowcy, bo tamten zakleszczył się za kierownicą, a w pewnym momencie drzewo się złamało i pojazd runął w przepaść. Zuzy i Mariańskiego szukali do czasu, kiedy zjawili się ratownicy, później kontynuowali to tamci, ale bez skutku. W końcu doszli do wniosku, że ona i kapitan zginęli w rzece, która się wiała na dole przepaści. Dziewczyna chciała posłuchać o Zuzy perypetiach, ale ta ją zbyła, nie chciała teraz o tym mówić, te rany były dla niej za świeże.

Martwiło ją, że nie udało jej się pojechać na ślub i wesele Eduarda. Przecież to był główny cel jej przyjazdu na Kubę. Przez ten cholerny wypadek i późniejsze zdarzenia wszystko wzięło w łeb. Teraz musiała go pilnie jakoś powiadomić, że żyje, żeby się o nią nie martwił, ale nie bardzo wiedziała jak. Postanowiła poprosić o to El Comandante, na pewno jej nie odmówi. On jej niczego nigdy nie odmawiał.

## POLSKA

**D**oktor Ludwicki skończył sekcję stopy. Teraz leżała na stole, oświetlona lampą wiszącą tuż nad nią. Patolog zdjął z rąk gumowe rękawice i usiadł na krześle. Patrzył jak zahipnotyzowany na te nędzne ludzkie resztki. Wiedział jedno: to nie była stopa Zuzy, ją pewnie krokodyl zjadł w całości. Podejrzewał, że to marne pozostałości marnego człowieka, czyli Opary. Zresztą jego nazwisko wyczytał na opisie dołączonym do pojemnika, a jego sekcja to potwierdziła. Mężczyzna był zawiedziony, że to nie zwłoki Lewandowskiej. Od dawna marzył o tym, że kiedyś będzie Zuzę kroił, że wyjmie mózg z jej czaszki i wrzuci go do słoja z formaliną, że wydlubie jej z brzucha wszystkie wnętrzności, a na koniec zerznie trupa. Pierdolony kubański krokodyl wszystko zepsuł, pozbawił go tych jakże wyszukanych przyjemności. Z wściekłości poczuł głód, więc z kieszeni fartucha wyjął kanapkę z szynką i wbił w nią zęby.

Pułkownik Kozioł wszedł do swojego gabinetu. Po chwili zjawił się sierżant Sierawski.

- Towarzysz pułkownik nas wzywał?
- Co z tą rakieta? Byliście tam?
- Tak jest. Stwierdziliśmy, że to chyba rakietka.
- Chyba? Co wy pierdolicie? To nie wiecie, jak wygląda rakietka?
- Meldujemy, że nigdy wcześniej nie widzieliśmy rakietki, ale kapral Wyrąbek, który był z nami, widział i twierdzi, że to rakietka.
- No i czyja ona?
- Melduję, że nadleśnictwa w Łącku.
- Kurwa mać, chodzi nam o to, co ma namalowane po bokach?
- Już nic. Przemalowaliśmy ją tak, jak towarzysz pułkownik kazał.
- Ale co było na niej, zanim ją przemalowaliście?
- Były napisy, ale po obcemu. Chyba była radziecka, bo była na niej czerwona gwiazda.
- Na jaki kolor ją przemalowaliście?
- Mieliśmy tylko czerwoną farbę, została puszcza po pierwszym maju.
- Czy was zupełnie popierdoliło? Pomalowaliście ją na czerwono?
- Towarzysz pułkownik nie powiedział, żeby nie malować na czerwono.
- Jakbyśmy powiedzieli, że macie ją chujem malować zamiast pędzlem, to też byście to wykonali?
- Jak rozkaz to rozkaz, towarzyszu pułkowniku!
- Wypierdalać mi stąd, i to już, bo nie ręczę za siebie!

## KUBA

**E**l Comandante, widząc Zuzę w takim stanie, wyglądał na mocno wstrząśniętego. Natychmiast sięgnął po telefon i gdzieś zadzwonił. Krzyczał długo do słuchawki, minę miał przy tym marsową. Kiedy skończył, jego twarz diametralnie się zmieniła, pojawił się na niej szeroki uśmiech.

– Przepraszam cię, Zuzi, za te wszystkie przykrości. Ten parszywiec więcej nikogo nie skrzywdzi, obiecuję ci to, on zdradził rewolucję. My tu na Kubie nie potrzebujemy takich ludzi. My ich... – Przerwał w pół słowa i znów się do niej uśmiechnął.

– Zabiją go? – spytała.

Mimo że swojego oprawcę szczerze znienawidziła, to nie chciała jego śmierci. Wystarczyłoby jej, gdyby jedynie zgnął w więzieniu.

– Nie, my nie jesteśmy tak okropni jak imperialiści – zaprzeczył stanowczo. – Wsadzimy go na tratwę i damy mu wiosła. Niech sobie płynie do tej swojej imperialistycznej Ameryki. Tu nie ma już czego szukać. Tu on jest skończony, i to na amen.

Zuza odetchnęła z ulgą i posłała mu spojrzenie pełne wdzięczności, bo to było z jego strony bardzo szlachetne posunięcie.

Do pokoju przyniesiono szampana. Korek strzelił, alkohol polał się do kieliszków.

– Wzniesmy toast! Wypijemy za cudowne ocalenie. Ja już rozpaczalem, a tu moja Zuzi żyje. Moja Zuzi jest twarda jak skała z gór Sierra Maestra, z kolebki naszej rewolucji. Potem pojedziemy na plażę, tu są najpiękniejsze w całej Ameryce. Może zapolujemy na marlina, ale najpierw coś zobaczysz.

Nie miała na nic ochoty, a tym bardziej na plażowanie. Trudno ją mieć, będąc tak poobijaną. Jednak kiedy El Comandante nachylił się nad nią, kiedy poczuła przesiąknięty aromatem cygar zapach jego ciała, kiedy jego gęsta czarna broda otarła się o jej policzek, natychmiast jej upór stopniał niczym lód w samo południe na środku Sahary.

– Ach, mój ty El Comandante – jęknęła, tonąc w jego silnych męskich ramionach i zatracając się w miłosnych uściskach.

Osunęła się na kanapę i pozwoliła mu robić z nią wszystko, co chciał. Nie zamierzała się bronić. Był delikatny, nawet nie wiedziała, kiedy zsunął z niej ubranie i zanurzył głowę między jej udami. Pieścił ją powoli, z wyrafinowaną delikatnością. To było wspaniałe uczucie. Chwilo, trwaj!, chciała krzyzczeć. W końcu uniósł się na rękach, przesunął w górę i wbił w nią swoją męskość.

– O tak! Jeszcze! – krzyczała z rozkoszy.

Tak jak zwykle, dopiero następnego dnia rano Zuza wróciła do hotelu. Była wściekła na siebie, że znów mu uległa, że zamiast być sobą, Zuzą Lewandowską, twardą babką znad Wisły, okazała się Zuzi, normalną kobietą podatną na męskie zaloty, a na dodatek zaloty zatwardziałego, ale jakże przystojnego, komucha. Westchnęła tęsknie na samą myśl o nim. To, co wydarzyło się na Kubie, zostaje na Kubie. Mariański będzie milczał jak grób, tego była pewna, bo miała na niego haka. Miała go czym postraszyć. Żona by go zabiła za ten szalony kubański romans, to było pewne. Jeszcze pozostała Pawłowicz, ale ona nie wróci do Polski, bo tam czeka ją kryminal, a być może stryzynek. Taka głupia to ona nie jest.

Jak tylko Zuza wróciła do swego pokoju, natychmiast zjawiała się w nim Irena. Wyglądało to tak, jakby zawsze czatowała na nią.

– Ja to pani zazdroszczę – wyznała jej z wypiekami na policzkach. – On jest taki przystojny, ponoć sama Rodowicz mu uległa, jak tu była na tournée. Tak w każdym razie plotkują.

– Skąd o tym wiesz? – odburknęła Zuza, ale przecież może coś w tym było na rzeczy, bo wspominał jej o tej wizycie. Pytanie tylko, czy mu piosenkarka uległa, czy podziałało na nią jego hipnotyzujące spojrzenie? To wiedzieli tylko Rodowicz i El Comandante.

– Pół Warszawy o tym mówi. Czy to prawda, że on ma... – urwała w pół słowa.

– Co masz na myśli? Jego pytona? To jest raczej krokodyl, i to wściekły. Kąsa non stop.

– Mój chłopak mi mówił, że jak Castro jedzie ulicami, to mężowie zamykają żony w domach, bo jak mu jakaś wpadnie w oko, to musi ją mieć. Dlatego był przeciwny mojemu wyjazdowi.

– A skąd twój chłopak wie takie rzeczy? Też o tym pół Warszawy mówi? – zakpiła.

– Nie, on występuje w zespole tanecznym. W zeszłym roku pojechali na Kubę na spartakiadę. To im po cichu w wielkiej tajemnicy powiedział jakiś Kubańczyk. Chodziło mu o bezpieczeństwo polskich dziewcząt.

– Nie zazdrość mi, masz chłopaka, to się go trzymaj. Ja jestem samotna. W moim wieku mam już inne wymagania od życia niż kilkanaście lat temu. Z czasem musiałam je bardzo skorygować. Ty wyjdiesz za męża i będziesz mieć gromadkę małych diabląt, zaś przede mną jedynie starość, i to w samotności.

– Sama nie wiem, czy chcę zamążyć się. Gdy widzę, jak żyje moja matka, to mi się tego odechciewa. Lepiej być wolnym i niezależnym.

– No cóż, rób jak chcesz. To przecież twoje życie. – Zuza ostentacyjnie wzduszyła ramionami. – Ja cię do niczego nie namawiam ani niczego nie odradzam. Lepiej mi powiedz, co się dzieje w naszej grupie.

– Nic się nie dzieje. Przed chwilą wrócił ten milicjant. Widziałam przez okno, jak czterech mężczyzn zdejmowało go z dachu autobusu. Od razu zrobiło się zbiegowisko, śmiechu było co niemiara. Licho wygląda, chyba nawet ciut wyszczupłał.

– Owszem, całkiem sporo schudł. Na garnuszku ich bezpieki trudno się upaść. Skoro nic się nie działo i nikogo nie zamordowano, to chyba znaczy, że jednak zabójcą był ktoś miejscowy. Tak w każdym razie można domniemywać. Zresztą z tego, co mi opowiadałaś o innych uczestnikach, wynikałoby, że trudno kogoś z nich o tę zbrodnię podejrzewać. Może chcesz kielicha czegoś mocniejszego? Tak na dobry początek dnia?

Zuza sięgnęła do walizki i zaczęła ją przeszukiwać.

– Gdzie, do cholery, jest ta butelka? Przecież na pewno tu gdzieś była – mamrotała.

Dziewczyna przyglądała się temu nerwowo.

– Pani mecenas... – w końcu się odezwała. – Myśleli, że pani nie żyje, i ją opróżnili.

Zuza spojrzała na nią zdumiona. To była z ich strony bezczelność.

– Kto? Mów zaraz, a z nim pogadam!

Irena zrobiła tylko głupią minę.

– Co tak zamilkłaś? No, kto śmiał wyzłopać mojego stocka? Co za skurwysyn? Podaj mi jego nazwisko, i to szybko, bo tracę cierpliwość!

– Ten niby Niemiec i mój ojciec. Ja też wypilał łyka z rozpaczy – odparła drżącym głosem. – Przepraszam.

– Dobra, nie przepraszaj. – Zuza machnęła ręką, jakby odganiała natrętną muchę. – Zapalimy po ekstra mocnym. Chyba nikt ich nie zapierdolił?

Spojrzała z niepokojem na Irenę i mina dziewczyny powiedziała jej wszystko.

– Nie no! Tylko nie to! To już jest skurwysyństwo do kwadratu! Kto ukradł moje papierosy? Mów, co wiesz na ten temat! Tego już nie daruję! Daję słowo, że mu urwę jaja!

– Ta pani, co jej pani nie lubi, pani Małecka i jej facet.

– Pawłowicz? Muszę sprawdzić, co jeszcze te sępy rozdrapały, ale najpierw zabiję tę sukę, i to własnoręcznie. Od kiedy ona pali ekstra mocne?

– Niech pani z nią pogada, może coś jej jeszcze zostało? Może nie wszystko stracone?

– Ja mam z nią pogadać? Czyś ty na głowę upadła? Nawet nie zamierzam. Widziałam z balkonu, że wyszła z hotelu. Chodź ze mną, zaraz odzyskam swoją własność.

– Chce pani grzebać w jej rzeczach? – Irena się przeraziła.

– A co z tego? Skoro ona grzebała w moich, to ja mogę w jej. To tak działa. Idziemy! Zresztą cholernie chce mi się zapalić, a nie mam co.

Opuściły pokój, zjechały windą dwa piętra niżej i poszły korytarzem.

Zatrzymały się przed drzwiami o numerze 406.

– To tu! – szepnęła dziewczyna, rozglądając się nerwowo.

Zuza jeszcze co nieco pamiętała ze szkolenia Nowaka. Spinka do włosów posłużyła jej jako wytrych. W chwilę potem były już w pokoju. Zuza się rozejrzała, szukając papierosów, ale na wierzchu nigdzie nie leżały. Skoro ich tu nie ma, to pewnie suka schowała je do któregoś z walizek, stwierdziła.

Walizki leżały pod łózkami.

– Ja przetrząsnę tę siwą, a ty brązową – rzekła Zuza do Ireny i zabrała się do przetrząsania bagażu.

Idealnie wybrała, bo należał do Pawłowicz. Ze zdumieniem patrzyła na jej koronkowe majtki, bardziej pasujące młodej zgrabnej dziewczynie, a nie temu tłustemu pasztetowi, a to rozpustna zdzira, proszę, proszę. Na samym dniu walizy leżały cztery paczki ekstra mocnych. Dobre i to, pomyślała Zuza. W bocznej kieszeni znalazła paszport i się zdumiała, bo nie był własnością tamtej. Był angielski, na nazwisko Smith, ale nie to ją najbardziej zadziwiło. Szokiem dla niej była podobizna na fotografii. To przecież kobieta, którą zjadł krokodyl, dentystka o nazwisku Opara. Do cholery, co tu jest grane? Nic z tego nie rozumiała.

– Pani mecenas! – krzyknęła Irena. – Niech pani tu podejdzie.

Dziewczyna trzymała w dłoni plik zdjęć. Na wszystkich była Irena i jej rodzice. Zuza od razu poznała, że część fotografii wykonano w Polsce.

– Po co im nasze zdjęcia? – szepnęła dziewczyna.

– Im albo jemu – zauważyła Zuza. Nie była do końca przekonana, czy Pawłowicz i Niemiec grają w tej samej drużynie. Być może to wszystko to była tylko jakaś gra pozorów i nic więcej. Trzeba powiedzieć, że robiło się coraz bardziej interesująco. Ciekawe, jakie jeszcze tajemnice ukrywali uczestnicy wycieczki?

Irena co chwila nerwowo wyglądała przez listwy okiennicy na ulicę.

– Może już uciekajmy stąd?

– Spokojnie, jeszcze nie teraz.

Zuza dalej rozglądała się po pokoju. Może jeszcze coś tu jest? Korciło ją, żeby rozpruć podszewkę w walizkach, ale wtedy wyszłoby na jaw, że znalazła paszport. W zaistniałej sytuacji nie należało odkrywać wszystkich kart. Zajrzała jeszcze pod materace i to był strzał w dziesiątkę. U Niemca znalazła następny dokument, ale to była znajoma jej granatowa książeczka, paszport obywatela Polski Ludowej. Julian Tuwim, nazwisko nieobce, ale na pewno nie chodziło o tego Tuwima. Na zdjęciu podobizna mężczyzny podającego się za Niemca. Cholera, kim on naprawdę jest? Zaczęła się dokładnie przyglądać dokumentowi. Wyglądał na oryginalny, ale coś było nie tak ze zdjęciem. Podeszła do okna, żeby lepiej widzieć. Tak, nie myliła się, ktoś majstrował przy fotografii.

– Idą! – krzyknęła nagle Irena.

– Dobra, zmiatamy stąd.

Zuza schowała na powrót paszport, wzięła papierosy i wymknęły się z pokoju. Zrobiły to w ostatnim momencie, bo kiedy zniknęły w windzie, z drugiej wygramoliła się Pawłowicz.

Ledwie znalazły się w pokoju, ktoś zapukał do drzwi. Irena spojrzała wystraszona na Zużę.

– Myśli pani, że to ktoś z nich?

– E tam. – Zaśmiała się. – Spokojna głowa. To jest niemożliwe.

Otworzyła drzwi, w progu stał człowiek w mundurze wojskowym, z wielką paczką w dłoniach.

– El Comandante przysłała prezent – zakomunikował po rosyjsku. Gdy wyszedł, otworzyły karton, a tam dwie butelki stocka, dwa pakiety ekstra mocnych i dwa pudełka cygar, jej ulubionych. Zuza poczuła silny ścisk w piersi, to serce. Nigdy dotąd żaden mężczyzna tak o nią nie dbał. El Comandante właściwie wyprzedzał jej myśli i pragnienia. Co za mężczyzna! Dlaczego został komuchem? Widocznie nikt nie jest bez wad, nawet El Comandante.

– Ja pierdziele – wyszeptwała Irena. – On chyba się w pani zakochał, i to na amen.

– I co z tego? Ten związek nie ma przyszłości. – W głosie Zuzy nietrudno było wyczuć smutek.

– Dlaczego tak pani uważa? Nie może pani zostać tutaj? To jest piękny kraj. Ja bym się nawet nie zastanawiała, gdybym dostała taką propozycję.

– Po pierwsze nie dostałam takiej propozycji, a po drugie, kim bym tu była? W kraju jestem kimś, tu byłabym jedynie kobietą El Comandante. To dla mnie, kobiety niezależnej, krok, a nawet dwa kroki do tyłu. Nie ma mowy.

– Ale miłość to miłość.

– Przestań mi tu pieprzyć o miłości, jestem za stara, żeby się na to nabrać.

Irena patrzyła na nią zdumiona.

– To po co to wszystko?

– Jak to po co? To jedynie wakacyjna przygoda – odparła Zuza nieszczerze, bo wiedziała, że wystarczy jedno słowo El Comandante, a zostanie. – A teraz idź już, bo muszę coś pilnie załatwić na mieście.

Przebrała się i poszła na pocztę, żeby zadzwonić do Eduarda. El Comandante ponoć miał to jakoś załatwić, tak w każdym razie jej obiecał. Domyślała się, co pewnie teraz przeżywa Eduardo. On był taki uczuciowy i rodzinny.

Uzyskanie połączenia z Hawaną graniczyło z cudem, ale nie z powodów technicznych. Kuba mogła się pochwalić pierwszą rozmową telefoniczną już w roku 1877, a zatem w czasach, gdy w Polsce o czymś takim jeszcze nikt nie słyszał. Bariery prawie nie do pokonania był język hiszpański, w żaden sposób nieprzypominający angielskiego, który



notabene ledwie liźnęła na studiach, niemieckiego, który miała w liceum, a tym bardziej rosyjskiego, który był obojętkowy już w szkole podstawowej. W końcu po wielu perturbacjach usłyszała znajomy głos.

– Hallo!

– To ja, Zuza! – krzyknęła w słuchawkę.

Zaległa cisza. Pewnie myślał, że uzyskał połączenie z duchem, no bo przecież jego siostra zginęła w wypadku.

– Kto? – spytał.

– No, jak to kto? Zuza Lewandowska, twoja siostra! Żyję!

– Zuza? Ty żyć?! Jak to możliwe? Ale ja się cieszyć! – Od razu głos mu się zmienił, nabral radosnej barwy.

– Wypadłam z autokaru i zgubiłam się w dżungli. Przepraszam, że nie byłam na twoim ślubie.

– Siostra, nic się nie stać. Ślubu nie być! Ja ci być bardzo wdzięczny, że ja nie popełnić tego błędu. Ja wciąż być wolny i ja się cieszyć, bo tyle pięknych kobiet wokół. Ja chcieć być jak Fidel Castro, ja kochać wszystkie kobiety. To wszystko dzięki tobie! Kocham cię, siostra! Kiedy wrócisz do Hawana? Ty mieć za tydzień samolot do Polska. Ty o tym pamiętać?

– Wiem, wiem. Chyba więcej katastrof już nie będzie. Mamy jeszcze jechać na dzikie plaże, zobaczyć jakieś wodospady i muzea rewolucji. Te ostatnie atrakcje pewnie pominię, wolę posiedzieć w hotelu.

– Ty, siostra, odwiedź wszystko, bo telefony podsłuchiwać. Ja nie chcieć, żebyś ty mieć kłopot.

– Spokojnie, Eduardo. Dam radę. Jestem do tego przyzwyczajona. Muszę kończyć, do zobaczenia w Hawanie.

Zakończyła połączenie. Kiedy przyszło do płacenia, doszło do zgrzytu. Urzędniczka chciała od niej płatność w dolarach. Doszło do ostrej pyskówki, ale nie wiadomo skąd zjawiał się jakiś mężczyzna w polowym mundurze i szepnął coś urzędnicze do ucha. Po chwili jak za uderzeniem czarodziejskiej różdżki konflikt został zażegnany.

Wreszcie Zuza opuściła pocztę i wyszła na ulicę, a tam, jak zwykle, skwar nieludzki, słońce pionowo nad głowami, dobrze, że miała na głowie słomkowy kapelusz. Zmierzając w stronę hotelu, zobaczyła małe zbiegowisko. Podeszła bliżej, żeby się temu przyjrzeć. Dwaj Kubańcy grali w domino. Kibicowało im kilkunastu gapiów. Atmosfera była przy tym bardzo gorąca. Niektórzy robili zakłady, widziała, jak banknoty skrycie przemykają z ręki do ręki, bo to było tu nielegalne. Jeden z mężczyzn w końcu wygrał, podniósł się od stolika i odszedł. Wtedy wszystkie oczy skierowały się na Zuze. Domyśliła się, w czym rzecz, czego od niej chcą.

– Nie, nie ma mowy! – krzyknęła, mocno gestykulując dłońmi. Przekaz jej wypowiedzi był jasny nawet bez znajomości języka polskiego. Udali, że nic nie rozumieją, a może i nie zrozumieli, w każdym razie prawie siłą posadzili ją na wolnym krzeselku. Nie wiadomo skąd na stoliku pojawiła się szklaneczka z rumem. To już wyglądało dużo lepiej. Kiedyś grała w domino, zresztą w Polsce chyba wszyscy znali tę grę, ale jej umiejętności były raczej znikome. Skoro jednak tak tego chcą, to czemu nie. Łyknęła rum, co wywołało aplauz publiczności. Znow polano, ale zamiast pić, skupiła się na grze. Zawsze kręciła ją rywalizacja, wciąż powtarzała, że ma gen zwycięzcy. Pierwszą rozgrywkę po chwili poddała, ale druga to była zacięta walka. Tu nie było litości, tu nie było brania jeńców. Wypiła rum i znow aplauz publiczności. Wygrała! Była szczęśliwa. Duma ją rozsadała. Teraz mogła opróżnić kolejną szklaneczkę i znow aplauz. Wstała od stolika i rozejrzała się. Otaczał ją tłum rozentuzjasmowanych Kubańczyków, wiwatowali na jej cześć, poklepywali ją po ramionach. Pomachała do nich i poszła dalej. Kiedy przechodziła koło hotelowej kawiarni, na tarasie zauważyła Pawłowicz i rodziców Ireny. Siedzieli przy jednym stoliku i zawzięcie dyskutowali. Wyglądało to nawet bardziej na kłótnię niż rozmowę. Kiedy zobaczyli Zuze, natychmiast umilkli. Ona sama udała, że ich nie widzi, i weszła do holu. Tam się natknęła na Wokulskiego, ich przewodnika. Był czymś bardzo podekscytowany.

– Co się stało? – Sama go zaczepiła.

– Na plaży znaleziono zakrwawioną tratwę. Jest cała pogryziona przez rekiny. Jakiś nieszczęśnik pewnie chciał na niej uciec z Kuby. To był chyba szaleniak, bo te wody są pełne tych drapieżników. Nawet spore łodzie są przez nie atakowane, a cóż dopiero nędzna tratwa.

Zuza od razu pomyślała o tym sadyście, co się nad nią pastwił, i o tym, co powiedział jej El Comandante. Źle oceniła ten akt miłosierdzia. Najwyraźniej jej prześladowca skończył swój żywot jako przekąska w pysku rekina. W sumie, po głębszym przemyśleniu, sukinsyna nie żałowała.

Nie skomentowała tej informacji, nie podzieliła się z Wokulskim swoimi przypuszczeniami, bo nie musiał za dużo wiedzieć. Interesowało ją bardzo, co wiedział o Pawłowicz, i nadarzyła się okazja, żeby go o to podpytać.

– Panie Kamilu, skąd pan zna panią Małecką? Skąd się wzięła w naszej grupie?

– Wcześniej jej nie znałem. Poznałem ją na wycieczce, a właściwie tuż przed nią. Prosiła mnie, żebym ją i jej facetą do niej dokooptował. Mówiłem jej, że to nie takie proste, ale bardzo nalegała.

Zuza spojrzała na niego podejrzliwie.

– Zapłaciła panu za to? Mam rację?

Mężczyzna się zmieszał. To znaczyło, że trafiła w punkt. No cóż, jakże prosty sposób na dorobienie sobie do pensji.

– Ile ją to kosztowało? Dwadzieścia dolarów czy więcej?

– Pięćdziesiąt – wydukał.

Pokręciła głową.

– Sporo jak za taką przysługę. Gdzie pana poznała? Chyba nie w naszej ambasadzie?

Pawłowicz na pewno dużym łukiem omijała polskie placówki dyplomatyczne. Gdyby ją ktoś rozpoznał, to beknęłaby za swoje wyczyny w kraju, a tego było sporo i wszystko z artykułu 148, a zatem ciężkiego kalibru.

– Wpadliśmy na siebie przypadkowo na ulicy. Tu nieczęsto spotyka się Polaków.

– Nie sądzę, że to był przypadek. Czy wie pan, że jest poszukiwana w Polsce?

– Jak wielu Polaków, co uciekli. Ona ma niemiecki paszport i nikt jej tu nie ruszy. Ja też nie mam nic do niej. Mnie to nie obchodzi.

– No dobra, zostawmy ją, a reszta wycieczki, jak choćby rodzice Ireny? Widziałam, że dziewczyna wpadła panu w oko.

Mężczyzna się zaczerwienił. Wstydlivi, rzadki okaz w dzisiejszych czasach, pomyślała.

– Dużo nie wiem. Sympatyczne małżeństwo, ten pan wciąż sypie kawalami, a jego żona jest taka dystyngowana jak jakaś hrabina.

– No proszę, jak szybko komuniści weszli w gacie przedwojennej inteligencji – zadrwiła Zuza.

– Nie, pani Zuzo. Tej pani ojciec przed wojną był adwokatem, a mąż urzędnikiem w warszawskim magistracie.

– Ciekawe, bardzo ciekawe rzeczy pan opowiada.

Ta informacja dała jej dużo do myślenia. Ludzie o takim pochodzeniu, a zaszli bardzo wysoko w komunistycznej hierarchii. To się często nie zdarzało.

– A co pan wie o tej dentyście? Tej, co żyje?

– Nic. Chyba nie zamieniłem z nią nawet jednego słowa. Pani powinna wiedzieć więcej, bo na moczarach spałyście w jednym pokoju.

Może gdyby faktycznie spała z nią w jednym pokoju, toby coś wiedziała, ale ona głównie spała w objęciach El Comandante i wcale nie zamierzała tego żałować.

Mariański wytoczył się z hotelu. Upał go wykańczał, a podróż na dachu autobusu była chyba nawet gorsza niż pobyt w więzieniu i wydupczenie przez strażnika. Z kieszeni spodni wyjął wielką kraciastą chustkę i przetarł nią czoło. Rozejrzał się. Tłum ludzi na ulicy, wszyscy ruszali się jak muchy w smole, ale przy tym upale nie da się żyć inaczej. Udał się w stronę jakiejś kawiarni, tak mu się w każdym razie z daleka wydawało. Kiedy tam w końcu dotarł, okazało się, że słowo „kawiarnia” było mocno na wyrost. To był jeden z wielu tu podrzędnych barów, w którym serwowano tani alkohol i jakieś ich trudne do zidentyfikowania napoje, nad którymi zawsze krążyły roje much. Zamówił kieliszek rumu i usiadł przy stoliku. Od razu przysiadło się do niego dziewczę, które z racji wieku mogłoby być jego córką, i zaczęło się do niego nachalnie wdzięczyć. Kiedy na to nie zareagował, dziewczynka poszła o krok dalej, bo poczuł w kroku nacisk jej stopy. Dopiero teraz zrozumiał jej prawdziwe intencje. Ładna była, dużo ponętniejsza od tej ostatniej. Miał przy sobie kieszonkowe swoje i Opary, bo jak dotąd kaprała oficjalnie nie uznano za zjedzonego. Ta kwota mogła wystarczyć na opłacenie rumu i kilku chwil rozkoszy z tym dziewczęciem. Im dłużej jej się przyglądał, tym bardziej sperma zalewała mu mózg i wyłączała racjonalne myślenie. W końcu poderwał się z krzesła, zapłacił za napitek i wraz z małolatą opuścił knajpę, by zapuścić się w jakąś wąską uliczkę. Stał tam szereg zrzuconych kamieniczek, weszli do jednej z nich.

## POLSKA

Dziś Geńka już wcześniej rano zajrzała do mieszkania Zuzy. Kiedy wchodziła do środka, zaniepokoiło ją to, że drzwi były uchylone. Czyżby Jolka, ta aplikantka, zapomniała je zamknąć, kiedy wieczorem wyprowadzała Borysa za potrzebą? Na wszelki wypadek w przedpokoju chwyciła pogrzebacz oparty o ścianę i dzierżąc go w dłoni, wkroczyła do pokoju.

Zdumiona stanęła w drzwiach. Na środku pomieszczenia leżał na brzuchu jakiś nieznaną jej mężczyzna, przydużony do podłogi przez Borysa. Kiedy tylko ów nieznanomy próbował się poruszyć, pies groźnie warczał, szczerząc kły. Sprzątaczką wycofała się z mieszkania i pobiegła piętro wyżej do pana Tadzia po pomoc. Sąsiad wcisnął jej w rękę słuchawkę telefonu, żeby zadzwoniła po milicję, a sam z dubeltówką w dłoni poszedł do mieszkania Zuzy przypilnować zbirów.

Jak się okazało, sukinsyn, usłyszawszy, że Zuza nie żyje, postanowił oczyścić jej mieszkanie. Gdyby nie odpowiednia reakcja Borysa, to pewnie by mu się to udało. Radiowóz przyjechał po godzinie, skuto i zabrano włamywacza.

Od razu po tym zdarzeniu w kamienicy zjawili się Jolka wraz z Nowakiem i Kowalskim. Sierżant został na miejscu, żeby wymienić zamek w drzwiach, a reszta z nich udała się do komendy milicji, by pomóc przy spisywaniu protokołu. Przy okazji chcieli coś ustalić w sprawie zwłok, a właściwie jedynie stopy Zuzy czy nie Zuzy, bo wciąż w tej sprawie było wiele pytań. W prokuraturze twierdzili, że to jej część, na milicji, że Mariańskiego, a patolog, że pewnie Oparę. Problem polegał na tym, że odzyskana część ciała przysłała w szczelnie zaplombowanym pojemniku, a opis na nim był w języku hiszpańskim. Nikt w Płocku nie był w stanie tego przetłumaczyć. Tylko nieliczni wiedzieli, że doktor Ludwicki przeprowadził oględziny i miał pewną teorię. Sytuację podgrzewały różnice polityczne dzielące ofiary i trzeba było coś postanowić. W końcu biskup z sekretarzem partii i komendantem milicji na polowaniu, a właściwie po nim, przy wspólnym ognisku i jedzonych kiełbaskach doszli do porozumienia. To było rozstrzygnięcie godne króla Salomona. Po pierwsze miano rozpuścić plotkę, że stopy są trzy, a po drugie postanowiono wypożyczać ją na każdy pogrzeb. Po ceremonii, w środku nocy, żeby nikt postronny tego nie widział, specjalna ekipa złożona z funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa i kogoś z sanepidu miała wykopać trumnę, wyjąć z niej pojemnik ze stopą i przekazać go dalej. Z racji katolickiego urodzenia pogrzeb Zuzy miał się odbyć jako ostatni i w jej mogile stopa miała spocząć na wieki wieków, amen.

Jolka z Kowalskim zostali poinformowani o tych ustaleniach na wysokim szczeblu i z mocno mieszanymi uczuciami opuścili komendę. Proboszcz, kiedy się o tym dowiedział, to ze złości przez trzy godziny tłukł w bębny i dopiero wtedy się jako tako uspokoił. Swoją grą uniemożliwił projekcję filmu w kinie „Diana” mieszczącym się w tym samym budynku. Tak czy owak duchowny musiał uznać decyzję biskupa, choć prywatnie uważał, że to zwykłe łajdactwo. No cóż, oni się nie lubili, a ich wzajemna nienawiść zaczęła się od kłótni przy podziale pomocy humanitarnej z Niemiec. Jeden chciał wyrolować drugiego. Skończyło się tak jak zawsze, oszwabiono parafian.

Pierwszy odbył się pogrzeb Oparę. Kompania honorowa oddała salwę i w rytm marsza pogrzebowego spuszczone stopę do mogiły. W nocy ją wydobyto i przewieziono na komisariat. Następnego dnia odbyła się druga ceremonia, ale zanim do niej doszło, na nowym budynku komendy milicji odsłonięto tablicę pamiątkową z podobizną Mariańskiego z wypiętą piersią, trzymającego w dłoni pancerfaust. Napis na tablicy głosił: „Kapitan Mariański, budowniczy nowej komendy milicji, bohater rewolucyjnych przemian, kawaler orderu za zdobycie Berlina, kawaler orderu Budowniczych Polski Ludowej”. Stopę złożono na cmentarzu przy ulicy Norbertańskiej, tam gdzie spoczywały szczątki starej Mariańskiej i jej całego pomiotu, ale zanim to uczyniono, kondukt żałobny przy dźwiękach Międzynarodówki przeszedł ulicami miasta. Było nie było, nieczęsto chowało się tak słynnych ludzi.

Trzeciego dnia już od samego rana na starówkę schodziły się żule z całego miasta. Jedni pijani, inni podpici, a jeszcze inni z butelkami taniego wina za pazuchą. Setki klientów Zuzy przyszły, żeby złożyć hołd jej stopie. Najpierw odbyła się msza celebrowana przez proboszcza. W pierwszych słowach opowiadał o zmarłej, o jej zasługach, o tym, jak przykładna z niej była parafianka, ale zaraz przeszedł do meritum sprawy, a więc gorąco zachęcał żałobników do składania ofiar na remont dzwonnicy. Wciąż mu brakowało kilku tysięcy złotych, żeby stać się szczęśliwym posiadaczem czerwonego mercedesa Zuzy. Ci zaś pod wpływem chwili wzruszenia rzucali na tacę spore datki, tak spore, że prócz samochodu proboszcz mógł śmiało pomyśleć o zakupie nowych, nowoczesnych bębnow. Po mszy trumnę załadowano do karawanu i kondukt ruszył w stronę parafialnego cmentarza przy ulicy Kobylińskiego.

Było dobrze po godzinie piętnastej, kiedy Nowak, Kowalski i Jolka zebrali się w kancelarii, a konkretnie w pokoju Zuzy. Kowalski przyniósł ze sobą obraz, który po cichu zamówił dla Zuzy u znajomego artysty malarza, Antoniego Romaszewskiego, absolwenta warszawskiej ASP. Powiesił go w jej gabinecie, w miejscu, które od lat czekało na portret tej, która w swoich zawodowych osiągnięciach zakasała Ambrożego Lewandowskiego. Jak oniemiała patrzyli na wspaniały portret Zuzy, na którym przeżyła dumnie piersi, uśmiechając się do widzów. W tym uśmiechu była odrobina drwiny i jednocześnie sporo ciepła. To była prawdziwa twarz Zuzy Lewandowskiej. Łzy zaczęły im płynąć z oczu.

Rozdzwonił się telefon w sekretariacie. Nie reagowali, dziś kancelaria była nieczynna. Dziś czcili pamięć Zuzy. Ktoś był jednak natarczywy. Znowu telefon zadzwonił. W końcu Jolka poszła zrugać tego kogoś.

Podniosła słuchawkę i przyłożyła ją do ucha.

– Jolka? To ja! Co u was? – Usłyszała wesoły głos Eduarda.

– No wiesz, smutno, dziś pochowaliśmy stopę szefowej – wydukała i zaraz się rozbeczała.

– Jaką stopę? O czym ty mówić? Ja nic z tego nie rozumiem? Ty nie przesadzić z alkoholem?

– Czego nie rozumiesz? Dziś był pogrzeb Zuzy, a że została po niej tylko stopa, to ją złożyliśmy w grobie.

– Jaki pogrzeb? Ja wciąż nic nie rozumiem. Zuza być zdrowa, ona mieć wszystkie stopy, ona nie umrzeć. Ja wczoraj z nią rozmawiał przez telefon. Ona za tydzień wracać do Polska.

– Co proszę?! Co ty mówisz? Powtórz to! – krzyknęła do słuchawki. To zabrzmiało zupełnie nieprawdopodobnie.

– Był wypadek, ale Zuza żyje. Zaginęła, ale się znalazła.

– Czyli to nie jej stopa? – bąknęła, zupełnie zorientowana.

– Ja nic nie wiedzieć o żadna stopa. Ona być cała. Ja ci wciąż to mówić. Czy ty mnie słuchać?

– Dziękuję, Eduardo. Bardzo się cieszę! Co za wiadomość!

Powoli odłożyła słuchawkę na widełki, tak jakby to sobie wszystko na powrót układała w głowie. Nagle poderwała się z krzesła i pobiegła do pokoju Zuzy.

– Szefowa żyje! – krzyknęła. – Dzwonił Eduardo! Ona wraca za tydzień do Polski.

Zdumieni popatrzyli po sobie. Kowalski zareagował najszybciej, podszedł do ściany i zdjął portret.

– Był drogi, jak go chce, to może go ode mnie odkupić – mruknął pod nosem, wziął obraz pod pachę i wyszedł. Nowak dopił stocka i nalał sobie na powrót.

– To jednak prawda, ona jest niezatapialna – podsumował.

– A jednak uda mi się dokończyć aplikację. – Jolka odetchnęła z ulgą i zapaliła zefira, bo ekstra mocne ćmiła tylko przy Zuzie, żeby się jej podlizać. Tak naprawdę to ich nie cierpiała.

Jeszcze tego samego dnia Jolka pobiegła do proboszcza, żeby podzielić się z nim dobrą nowiną. Zastała go w garażu, jak oglądał mercedesa. Gładził dłonią karoserię, a jego oblicze było rozpromienione co najmniej tak, jakby patrzył na Maryję zawsze dziewicę.

– Księżę proboszczu, Zuza żyje. Zaszło jakieś nieporozumienie.

Rzucił jej przeciągłe spojrzenie, trudno było szukać w nim jakichkolwiek oznak radości.

– Niemożliwe! Jesteś tego pewna?

– Tak, dzwonił Eduardo i nas zawiadomił. Ksiądz proboszcz nawet nie wie, jak się cieszę.

– Czuwa nad nią opatrność. Dzięki ci, Panie – rzekł grobowym głosem. Spojrzał ostatni raz na mercedesa i z impetem, z wyraźną złością, zatrzasnął wrota garażu.

– A co z tą stopą? – spytała Jolka. – Trzeba chyba ją wyjąć z grobu. No bo jak?

Popatrzył na zegarek.

– Już to zrobiono. Przed chwilą wydobyto ją z grobu i będzie przewieziona do Krakowa. Zuza pojechała na Kubę, żeby krzewić chrześcijaństwo. To jest wielka sprawa.

Spojrzała na niego zdumiona. O czym on w ogóle gada?

– To znaczy? – wydukała, no bo wszystkiego po Zuzie można było się spodziewać, ale na pewno nie tego.

– Zabrała ze sobą tysiąc medalików z wizerunkiem Matki Boskiej. Pewnie przez nie zginęła. Stała się męczennicą Kościoła.

– Księżę proboszczu, ale ona żyje.

– No cóż, wiem o tym i przez to mamy problem. Myślę jednak, że biskupi i kardynałowie znajdą jakieś wyjście z tej sytuacji.

– A nie można po prostu ogłosić, że żyje? Czy nie byłoby prościej?

– Nie, moja droga. W tych czasach bezbożników potrzeba nam takich aktów. Dla dobra ogółu nie można tego zmarnować.

– Dobra, nie będę się kłócić. – Machnęła ręką z rezygnacją. – Wiem, że w tym kraju wszystko się da załatwić, ale proszę mi nie wciskać kitu, że zabrała ze sobą jakieś medaliki. Nigdy w to nie uwierzę.

– Chodź ze mną – odparł lakonicznie i ruszył do swojego mieszkania. A kiedy weszli...

– Usiądź. – Wskazał jej krzesło, a sam podszedł do szafy i wyjął z niej walizkę. Jolce wydała się znajoma.

– To jest bagaż Zuzy. Zamieniłem go na lotnisku – rzekł z dumą.

Jolka otworzyła walizkę, a tam kostium kąpielowy, zapas papierosów, leki i środki higieny.

– Domyślam się miny szefowej, jak otworzyła walizkę. Kiedy wróci, to na miejscu księdza omijałabym ją wielkim lukiem, a najlepiej bym wyjechała na jakiś czas. Tak dla bezpieczeństwa.

– Spokojnie. Ja myślę, że kiedy ją otworzyła, to dostała przemianę duchowej.

Jolka parsknęła śmiechem.

– Tak, ze spokojnego człowieka w człowieka wkurwionego. Ma ksiądz rację.

– Mylisz się. – Puścił do niej oko. – Na tych medalikach zarobiła kupę pieniędzy. Wiem od jednego duchownego, że tam to jest bardzo chodliwy towar. Łudzę się, że okaże mi wdzięczność i odpali mi dołą.

Pułkownik Koziół siedział przy biurku i trzymał w ręku depeszę.

– Kurwa mać – zaklął. – Ja niedługo oszaleję. Jeszcze kilka dni i zawiozę mnie do czubków.

Sięgnął po słuchawkę.

– Wezwać mi tu chorążego Kasina! – ryknął do niej.

Po chwili podkomendny przężył przed nim pierś.

– Melduję się na rozkaz.

– Czytajcie! – Zwierzchnik rzucił mu depeszę.

Kasin chwycił ją w drżące dłonie.

– Informujemy z Hawany – stop – że wasz oficer operacyjny – stop – Mariański żyje i jest – stop – w pełni zdrowy – stop – odsyłamy go do Polski – stop – za tydzień – stop – Zuzanna Lewandowska – stop – też żyje – stop.

Zapadła złowroga cisza.

– Co to jest? To niemożliwe – wyszeptał chorąży.

– Słuchajcie, Kasin, wytłumaczcie mi jedno. Skąd wiedzieliście o śmierci Mariańskiego? Czemu napieraliście na wyprawienie mu pogrzebu? Wiecie, ile to nas kosztowało? Mówcie, ale chcę usłyszeć coś rozsądnego, wiarygodnego, bo inaczej zaraz wyślę was do diabła.

– Towarzyszu pułkowniku, przecież dostaliśmy szyfrogram i jego stopę. Sam towarzysz mnie o tym poinformował. – Przerażony Kasin zaczął dukać. Zrozumiał, że Koziół chce z niego zrobić kozła ofiarnego, że chce wszystko zrzucić na niego. – W faksie był dokument, ale po kubańsku. Jedyne, co udało się nam rozszyfrować, to nazwisko. Tak czy owak dobrze, że chociaż Opara nie żyje.

– Kurwa mać, to wszystko wiemy, a nawet więcej. Tam były trzy nazwiska. Czemu uważaliście, że to jego stopa?

– Nie wiedzieliśmy. To towarzysz pułkownik z kimś jeszcze ustalił, że to stopa jego, Oparę i tej Lewandowskiej. My tylko wykonywaliśmy rozkazy.

– Jesteście jeszcze większy idiota niż Mariański. I co wy na to?

Zapadła złowroga cisza.

– Myślałem... – zaczął chorąży.

– Wy, Kasin, nie jesteście od myślenia, tylko od wykonywania rozkazów. Teraz macie to wszystko odkręcić. Nie wiemy, jak to zrobicie, w sumie gównem nas to obchodzi, ale macie Mariańskiego wyciągnąć z grobu i basta. Też byśmy chcieli, żeby go krokodyl wpierdolił, ale prawda jest taka, że kapitan okazał się niezjadliwy nawet dla niego. A teraz precz z moich oczu.

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku!

Chorąży opuścił gabinet. Był zdruzgotany. Co tu robić? Jak to odkręcić, jak się wyraził pułkownik? Najpierw trzeba zawiadomić wdowę, że nie jest wdową, no i zabrać jej ten order pośmiertny, no bo skoro kapitan żyje, to mu się nie należy. Później trzeba tę przeklętą tablicę zerwać ze ściany komendy.

Kazał się zawieźć do mieszkania kapitana. Otworzyła mu zapłakana Mariańska.

– Mamy dla was dwie wiadomości, dobrą i złą. Jedną z nich to ta, że wasz mąż żyje i za tydzień wraca.

– A ta dobra? – wyszeptła.  
Kasin zaniemówił.

## KUBA

Mariański się ocknął. Głowa go bolała okropnie, właściwie prawie pękała. Jedyne, co pamiętał, to był moment wejścia do jakiejś pokolonialnej kamieniczki, później wszystko się urwało. Ręką dotknął czubka głowy. Poczul jakąś mazistą substancję. Cofnął dłoń, a na niej zobaczył pełno krwi. Teraz już wiedział, co zaszło, w końcu przez kilkadziesiąt lat był milicjantem. Ktoś mu przyłożył przez łeb tak zwaną gazurkę. Spróbował usiąść, przyszło mu to z wyraźnym trudem. Oparł się o ścianę. Nagle zorientował się, że jest kompletnie nagi, oskubano go dosłownie ze wszystkiego, z ubrania, portfela, pieniędzy, paszportu, a co najgorsze, ukradziono jego pamiątkowego poljota, którego dostał razem z nominacją na oficera. Ten zegarek był dla niego bezcenny. Do dziś pamiętał moment jego wręczenia. Sam komendant mu go podarował. Ta gówniara była wabikiem, a on się dał podejść jak smarkacz. Z wściekłością zerwał się na nogi i tak jak stał, wyszedł na ulicę. Jego pojawienie się wywołało popłoch. Wprawdzie był to kraj latynoamerykański, gdzie do nagości podchodzi się zupełnie inaczej niż w purytańskiej Europie, ale tym razem nawet tutaj Mariański przekroczył wszelkie granice. Tłusty, nagi mężczyzna toczył się główną aleją Santiago w kierunku hotelu Libertad, wywołując popłoch i ogólne zgorszenie. Nie dotarł do celu, bo w połowie drogi zwinęła go policja, zapakowała do gazika i zawiozła na posterunek. Tak oto kapitan ponownie dostał się w łapy kubańskich organów ścigania. Tak jak stał, nagiego, wrzucono go do celi z najróżniejszym elementem.

– Tylko nie to! – krzyknął, patrząc na kilku wytatuowanych mężczyzn uśmiechających się do niego przyjaźnie. – Wypuście mnie!

Zuza wraz z Ireną udały się nad ocean. Zatoka karaibska urzekała urodą. Być może w głównej mierze to była zasługa pięknego szafirowego koloru wody, a być może słynnej rafy koralowej. Zewsząd dochodziły do nich latynoskie rytmy samby, salsy, mieszkańcy siedzieli przed domami, przyjaźnie się do nich uśmiechali i ćmili cygara, popijali rum, często grali w domino. Zuza nie rozstawała się nawet na chwilę z aparatem fotograficznym. Dokumentowała to wszystko i wiedziała, że kiedy wróci do kraju, to opowieściom o tej czarującej wyspie nie będzie końca. Jedna z klisz zawierała jej fotki z El Comandante, ale one były nie do pokazania, bo nikt by tego nie zrozumiał. Mało tego, gdyby to dotyczyło kogoś innego, to ona sama też by to skrytykowała. Jedno ją tłumaczyło: „To, co się wydarzyło na Kubie, pozostaje na Kubie”.

Kiedy dochodziły do portu, ich uwagę zwróciło duże zgromadzenie. Podeszły bliżej. Przy nabrzeżu była przycumowana łódź, a na jej pokładzie leżał wielki rekin. Zuza pierwszy raz widziała na żywo tego drapieżnika. Wyglądał imponująco, a jego zęby wręcz odstraszały.

– Trup czy nie trup, oto jest pytanie – mruknęła, obserwując rybaka, który z dużym nożem w ręku nachylił się nad tym potworem.

A jednak trup, bo nawet nie drgnął, kiedy tamten wbił mu nóż w brzuch. Kilka wprawnych ruchów dłoni i zawartość wnętrza rekina wypłynęła na pokład, a tam... ludzka ręka, stopa, kawałek głowy, od razu poznała po gęstych włosach. To był okropny widok.

Zuza nagle poczuła, jak zawartość jej żołądka mknie do góry z szybkością ekspresowej windy. Ledwie zdążyła podbiec do śmietniczki. Tymczasem Irena, blada tak, że aż sina, stała jak skamieniała, nie mogąc oderwać wzroku od tych rozszarpanych ludzkich pozostałości. Mężczyźni stojący obok nich na widok ich reakcji zaczęli się śmiać. Ich to najwyraźniej nie ruszało. Ataki rekinów ludojadów na ludzi zdarzały się tu bardzo często i stąd na ulicach można było spotkać tak dużo inwalidów. Co chwila natykali się na kogoś bez ręki czy nogi, innym razem z okropnymi bliznami na tułowiu. To wszystko było dziełem tych drapieżników.

Czar karaibskiej zatoki w jednym momencie prysł niczym bańka mydlana, bo ujrzały to drugie, jakże ponure, oblicze tego miejsca. Natychmiast zawróciły do hotelu, a kiedy do niego dochodziły, zobaczyły attaché polskiej ambasady. Od razu go poznały po śmiesznych bokobrodach. Nikt teraz takich nie nosił. Wysiadł akurat z samochodu, a zaraz po nim Mariański w samych slipach. Widząc go, obydwie parsknęły głośnym śmiechem.

Kapitan z wściekłością spojrzął na Zuzę. Wiedział, że to nie przejdzie bez echa, że pójdzie fama na pół Płocka, że będą się z niego nabijać.

Kiedy zeszli na obiad do hotelowej restauracji, okazało się, że wśród nich brakuje dentystki. W pierwszej chwili nie wzbudziło to niczyjego niepokoju, ale nie zjawiała się również wtedy, kiedy serwowano drugie danie. W końcu Wokulski poszedł po nią do jej pokoju. Wrócił po dłuższej chwili. Był wyraźnie zaniepokojony.

– Nie ma pani Dworczyk – zakomunikował. – Sprawdziłem pokój, pytałem obsługę. Wyszła wcześniej rano i wszelki ślad po niej zaginął.

Wszyscy jak na komendę spojrzeli po sobie. Wiadomo, o czym pomyśleli, w duchu zadawali sobie jedno pytanie: czy to następne zabójstwo? Jeśli tak, to mordercą nie jest autochton, ale ktoś z nich. Zostało ich tylko osiem osób, ośmiu potencjalnych zbrodniarzy.

– Spokojnie. Jeszcze nie tracimy nadziei. – Zuza starała się schłodzić atmosferę. – Być może zblądziła w mieście, tak jak wcześniej obywatel Mariański. – Uśmiechnęła się drwiąco, spoglądając w stronę kapitana. – Zjedzmy obiad i poszukajmy jej.

– My nie idziemy – odezwał się Mariański.

– Wiemy. – Zarechotała. – W samych slipach z takim ponętym tyłeczkiem lepiej nie kusić losu.

Policzki mu zapłonęły, w oczach pojawiła się chęć zabijania i to, co Zuza najbardziej w nim lubiła – bezsilność.

Kiedy inni wyruszyli na poszukiwania, kapitan usiadł w kawiarni przy stoliku i zaczął pisać kolejny raport.

### Tajna misja w Kubie, raport

Wciesz ślęzimy obywatelke Lewandowską. W każdym noc ma kęszaży z nijakim Elem Komendantem. Oni cuś knujo! Podejżewamy że oni chco obalić towarzysza Fidera Kasdro. Dzisiej rano nieznaną nam obywatelka chciała nas zmóuścić do współpracy z kontrewolucjo. Zahowailiżmy czójnożć i się nie daliżmy, ale straciliżmy portki, koszule, buty i wszystkie piniondze.

Przetrzęsnęli całe centrum Santiago, ale bez rezultatu. Dentystka dosłownie rozplynęła się w powietrzu. Wszyscy uważali, że przypuszczalnie stała się następną ofiarą zabójcy, ale nikt nie odważył się tego głośno powiedzieć. Wieczorem zaraz po kolacji zebrali się jak zwykle na tarasie hotelowym. Każde z nich patrzyło podejrzliwie na pozostałych. Siedzieli w milczeniu, zatopieni w swoich rozmyślaniach, być może w duchu typując zbrodniarza. Nagle ktoś z obsługi zawołał Wokulskiego. Poderwał się z fotela i pobiegł do recepcji. Wrócił dosłownie po chwili. Trząśnięty ze zdenerwowania. Trzymał w dłoni kolczyk. Wyciągnął rękę do przodu, żeby wszyscy dobrze widzieli to, co w niej trzymał.

– Czyje to? Poznajecie? – spytał, spoglądając po twarzach.

Zuza poznała kolczyk od razu, ale milczała. Była ciekawa, czy ktoś jeszcze zwrócił uwagę na to cacko. Wspaniała biżuteria dentystki już pierwszego dnia wzbudziła jej zainteresowanie.

– To własność pani Dworczyk – odezwała się Irena. –

Dobrze pamiętam te kolczyki. Ponoć kupiła je w Jugosławii.

– Dziś znalezione go w brzuchu rekina ludojada. Był tam kawałek głowy z włosami, no i z uchem. Ten kolczyk tkwił w tym uchu.

No tak, przecież widziały, jak pruto brzuch tego potwora. Wszystko się zgadza, a zatem to nie było zabójstwo, tylko wypadek. A może ktoś chciał, żeby to tak wyglądało?

– Ale jak to się stało? – zaczęła dopytywać Zuza. – Co ta kobieta z samego rana robiła w oceanie? O ile pamiętam, to nie umiała pływać. Kiedyś mi o tym wspomniała. Tak, dobrze to pamiętam.

– Nie mam pojęcia. Może wynajęła łódź? – zastanawiał się Wokulski.

– Ale po co? – Zuza nie ustępowała. – Dokąd chciała nią płynąć?

– Pewnie do Ameryki – zakpiła Pawłowicz. – Czy to ważne po co? Najważniejsze, że to nie zabójstwo, tylko wypadek. Od razu zrobiło mi się lżej na duszy.

– Odezwała się obrończyni ludzkiego życia – zadrwiła Zuza i sięgnęła po papierosa. – Chcesz? – spytała Irenę, ale ta zaprzeczyła ruchem głowy.

Zapaliła i się głęboko zaciągnęła. Coś krwawa ta wyprawa. Zwykła turystyczna wycieczka, a już prawie połowa składu nie żyje. Jeszcze kilka dni i będzie pozamiatane, pusty autokar wróci do Hawany. Ona nie wierzyła w przypadek, nie była aż tak naiwna. Ktoś musiał za tym stać. Może władze? Komuniści mieli świra na punkcie szpiegów i być może ta ich obsesja doprowadziła do tragedii. Rozum nakazywał jej też nie wykluczać Pawłowicz z kręgu podejrzanych. Czy współdziałała z Niemcem? Paszport znaleziony w jego walizce też dawał dużo do myślenia. Jeśli był



pracownikiem służby bezpieczeństwa, to przede wszystkim powinien dążyć do wyeliminowania swojej współtowarzyszki, a oni pili sobie z dzióbków jak dwa gołąbki. Być może to była z jego strony tylko gra pozorów i uderzy w odpowiednim momencie. Czemu zginął Opara? Był za głupi, żeby coś odkryć. Czemu zaszlachtowano tego fircyka i czemu zginęły dentystki? W tym ostatnim przypadku mogła zrozumieć zabójcę. Sama nieraz, siedząc na fotelu dentystycznym, miała zbrodnicze myśli.

Znów Wokulskiego wywołano. Tym razem nie było go dłużej, ale kiedy wrócił, był cały podekscytowany.

– Jest świadek! – oznajmił im.

– Ja też widziałam towarzysza Mariańskiego biegającego po głównym placu Santiago jedynie w stroju Adama – zaskpiła Zuza, co wywołało salwę śmiechu mimo panującego wśród nich ponurego nastroju.

– Mariaaaański tooo chuuj! Mariaaaański tooo chuuj! – rozległo się z pobliskiej palmy.

Twarz kapitana pokryła się purpurą. Zuza widziała, jak ze złości zacisnęła dłonie.

– Widzę, że dotarło to nawet na drugi koniec wyspy – zadrwiła Zuza, puszczając oko do Ireny. – Dajmy jednak panu Kamilowi skończyć, bo mu przeszkodziłam. – Posłała Wokulskiemu przepraszający uśmiech.

– Jest świadek, który widział, jak rekin wciągnął pod wodę panią Dworczyk. Właśnie przesłuchują go na pobliskim komisariacie. Tak że sprawa jest wyjaśniona – oznajmił.

– Mariaaaański tooo chuuj! Mariaaaański toooo chuuj! – ponownie rozwrzeszczała się papuga. To była ta sama zielona ara co poprzednio. Kapitan zerwał się z krzesła, chwycił szczotkę do zamiatania stojącą w kącie i z głośnym okrzykiem: „a paszła stąd!” ruszył w jej stronę. Papuga poderwała się w górę, zatrzepotała skrzydłami i pofrunęła na następne drzewo.

– Paaalant! Paaaalant! Chuuj!

Mariański wybrał się do miasta zrobić porządek z protezą. Musiał ją jakoś naprawić, bo nie miał czym gryźć i przez to musiał wszystko lykać. Przy picciu rumu to akurat nie stanowiło problemu, ale przy jedzeniu to i owszem. Czym ją skleić?, zastanawiał się. Może klejem do butów?, przyszło mu nagle do głowy. Szewca znalazł już w najbliższej uliczce. Kiedy mu na migi wyłożył, z czym przybywa, tamten złapał się za głowę i zaczął pukać się w czoło. Zawałał jakiegoś chłopaczka i kazał kapitanowi iść za nim. Przeszli klika przecznic i skręcili w lewo, później w prawo. W końcu dotarli na miejskie targowisko. Chłopaczek zatrzymał się przy jednym ze straganów i gestem dłoni pokazał, że doszli do celu. Na wielkiej desce leżało mnóstwo protez z tak zwanego odzysku. Kapitan wyjął z kieszeni swoją i podał ją sprzedawcy, staremu bezzębemu Kubańczykowi. Ten chwilę na nią popatrzył, po czym sięgnął po jedną z leżących przed nim. Gestem ręki kazał Mariańskiemu przymierzyć. Przymierzył, ale miała o jeden ząb za dużo, a konkretnie o jedynekę, o ten ząb, który jako jedyny ocalał po jego próbie samobójczej. Sprzedawca w mig się zorientował, w czym jest problem. Krzyknął coś w stronę kilku mężczyzn stojących przy sąsiednim stoisku, przywołując ich gestem dłoni. Podeszli, dwóch z nich niespodziewanie chwyciło kapitana pod pachy i siłą posadziło go na krześle.

– O co chodzi?! Czego od nas chcecie?! To napad! My was aresztujemy! – zaczął wydzierać się na całe targowisko, jednocześnie szamocząc się z nimi. W mig zebrała się spora grupa rozweselonych gapiów. Najwyraźniej nikt nie chciał pomóc Mariańskiemu. Sprzedawca od protez nachylił się nad jakąś drewnianą skrzynią i wyjął z niej wielkie dentystyczne cęgi. Następnie z szerokim uśmiechem na twarzy zbliżył się do kapitana.

– Nie! Tylko nie to! Już nie chcemy kupić tej protezy! Nasza jest dobra!

Próbował za wszelką cenę się uwolnić, ale był na straconej pozycji. Siłą rozwarło mu usta i kleszcze chwyciły jego jedyny przedni ząb. Po chwili poczuł silne szarpnięcie, okropny ból i było po wszystkim. Sprzedawca przyjacielsko poklepał go po ramieniu i na migi pokazał, że jest mu winien dwa dolary. Zapłacił, wziął protezę, schował ją do kieszeni i cały obolały udał się do hotelu.

Zuza nudziła się, a że wiedziała, gdzie mieści się posterunek policji, postanowiła tam się udać, żeby choć rzucić okiem na tego świadka.

Namówiła Irenę, żeby jej towarzyszyła. Usiadły na ławce naprzeciwko budynku z wielkim szyldem POLICÍA i zapaliły. Dziewczyna lokalne papierosy, Zuza swoje. Przechodnie, kiedy wchodzili w chmurę dymu z ekstra mocnych, krzywili się z niesmakiem, bo mało które płuca wytrzymały ten aromat przypominający zapach palonej gumy w połączeniu z krowim łajnem.

– Rzuć tę archeologię i idź na prawo. – Zuza kolejny raz namawiała ją do drastycznej zmiany planów życiowych. – Zostań prawnikiem, w tym zawodzie brakuje babek, a faceci prawnicy to same szowinistyczne świnię. Mają się za mądrzejszych od nas, a są jedynie zarozumiałymi dupkami. Mam kancelarię i bardzo zdolną aplikantkę. Za kilkanaście lat ty i ona rządziłybyście w płockiej palestrze. Tego jestem pewna.

– Ale ja kocham historię, zabytki.

– I co z tego? Po kilkunastu latach rycia w ziemi niczym świnia w kartoflisku sama będziesz jak zabytek, tak zniszczona. Mówię ci, przemyśl to dobrze.

– Pani mecenas, pani jest taka doświadczona. Może mi pani doradzi w innej sprawie, nachodzą mnie wątpliwości odnośnie do mojego chłopaka.

Zuza zerknęła na nią ciekawie. O co jak o co, ale o rady sercowe to nikt nigdy się do niej nie zwracał.

– A o co chodzi? Co z nim nie tak? Lubi też chłopców?

– On jest jakiś dziwny. Kiedy przyszedł pierwszy raz do nas do domu, to ze strachu przed moim ojcem miał prze pocone całe pachy. Biedacek jest sierotą, rodziców stracił w wypadku samochodowym. Jak opowiada o swoich przeżyciach, to aż mnie coś chwyta za serce.

– Kurwa mać i co z tego? Nie jesteś od pocieszania sierot. Od tego są inni, fachowcy. Jeśli pytasz o radę, czy iść z nim do ołtarza, to powiem ci jedno: pogoń go jak burą sukę. Inaczej zostaniesz jego opiekunką. Znałam kiedyś takiego jednego, też sierota i też wypłakiwał się na piersi ukochanej, a później okazał się skurwysynem, a na dodatek pedalem. Kopnij go w jaja, jeśli je w ogóle ma, i każ zjeżdżać. Niech poszuka sobie innej ofiary.

– Tak pani uważa?

– Tak, kochana, to nie miłość, to litość. Staraj się odróżniać te uczucia, bo będziesz mieć przerąbane.

– A pani była zakochana?

– Czy byłam zakochana? Dobre pytanie. Może raz.

Zuza się zamyśliła. Pewnie, że była, ale i tak nic z tego nie wynikło. A El Comandante? Czy to miłość? To jest tak szalone, że sama nie wie, jak to nazwać. To jest niczym *Szał* Podkowińskiego, kompletne zatracenie.

– Byłam, ale się szybko z tego wyleczyłam. Faceci to świnie i skurwysyny, nie warto sobie nimi głowy zawracać.

Irena jakoś dziwnie spojrzała na nią, chyba źle ją zrozumiała.

– Spokojnie, nie jestem lesbijką.

– A ten tutaj? Kocha go pani?

– Kurwa mać, chyba miałyśmy gadać o twoim chłopaku, a nie o mnie? – zbyła ją.

Rozmowa się urwała. Patrzyły na Kubańczyków przechadzających się ulicą. Tu bieda była wszechobecna, ale mimo to ci ludzie nie wyglądali na nieszczęśliwych, a wręcz przeciwnie. Skądś dochodziły rytmy ich jakże charakterystycznej kubańskiej muzyki, w których czuć było afrykańskie korzenie, a w powietrzu unosiły się zapachy tropikalnych kwiatów. I wszędzie unosił się aromat kubańskiego tytoniu. W pewnej chwili z budynku komendy wyszedł jakiś mężczyzna. Jego twarz wydała się Zuzie znajoma. Gdzieś go już widziała. Nagle ją oświeciło. To przecież on rozpruwał tego rekina i wydobywał z niego ludzkie resztki.

Zaraz, zaraz, czy to on był świadkiem ataku drapieżnika na dentystkę? Coś tu jej nie zagrało. Albo to, albo tamto. Nagle tuż obok nich pojawił się Wokulski. Natychmiast poderwała się z ławki i chwyciła go za rękę.

– Z nieba mi spadłeś. Idź do tego gościa i spytaj, czy to on był świadkiem tragedii? – Wskazała palcem Kubańczyka.

– Czemu mam go o to pytać? Nie rozumiem.

– Później ci to wytłumaczę, a teraz się pospiesz, bo zniknie nam w tłumie przechodniów.

– Nie będę zaczepiał nieznanego – zaprotestował. – Nie zamierzam dostać kosą po żebrach.

– Jeśli tego nie zrobisz, to ja ci u El Comandante załatwię ekspresową ekstradycję do PRL-u. Wybieraj.

– To zwykły szantaż – warknął.

Roześmiała się.

– Nazywaj to jak chcesz, a teraz zapierdalał za nim i wypytaj go o wszystko. My tu będziemy na ciebie czekać.

Wróciła na ławkę i sięgnęła po papierosy.

– Zrobiłaby to pani? – spytała nagle Irena.

Zuza wzruszyła ramionami.

– Bo ja wiem? Chwilami sama siebie zaskakuję. Jakby mnie mocno wkurwił, to może coś bym El Comandante szepnęła do ucha, ale mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Wszystko teraz w jego rękach.

Wokulski wrócił dobry kwadrans później. Ciężko dysząc, usiadł na ławce. Z trudem łapał oddech.

– Coś się tak zasapał jak jakiś emeryt?

– Biegłem pół drogi, żeby was jeszcze tu złapać.

– Co ustaliłeś? Mów!

– Tak, to on widział atak rekina na tę kobietę. To było około godziny jedenastej.

Ciekawe, pomyślała Zuza. Przecież rekina rozpruł dużo wcześniej. A zatem kłamał. Pytanie brzmi: dlaczego?

– Zadowolona? Mogę już iść?

We wzroku mężczyzny próżno było szukać oznak sympatii, ale to nie miało dla niej żadnego znaczenia.

– Owszem, nawet bardzo, a teraz idź do diabła.

– I nawzajem – burknął pod nosem, po czym udał się w stronę hotelu.

Nagle Irena szarpnęła ją za ramię, pokazując kogoś palcem.

– Czy to przypadkiem nie nasz Niemiec?

Faktycznie, to on. Nie zauważył ich, mimo że przeszedł tuż obok ich ławki. To nie był zwykły spacerowy krok. On się dokądś spieszył.

– Idziemy za nim! – zdecydowała Zuza. – Ciekawe, dokąd tak zasuwa, że o mało kapci nie pogubi.

Dziewczyna wyraźnie się wahała.

– A to bezpieczne? Widziała pani, co spotkało pana Mariańskiego?

– Nie pana, ale towarzysza. Pamiętaj, to jest stary, obrzydliwy komuch. Poszedł na łajdactwo i źle trafił. Zresztą już nie pierwszy raz. My będziemy ostrożne. A jak ci się przytrafi jakiś ognisty południowiec, to jeszcze mi podziękujesz. Mówię ci, oni mają ukrop w jajkach, to nie to, co w Polsce. U nas to noszą w kroku mrożonki.

Irena spiekła raka.

– Nie mów, że cię zawstydziałam. Tu się wszystko wokół tego kręci, ponoć to wina klimatu. – Zarechotała i ruszyła za Niemcem.

Mężczyzna szedł pewnym krokiem, najwyraźniej zmierzał w konkretne miejsce. Dziwne, jeśli w Santiago był pierwszy raz, no chyba że już wcześniej tu zaglądał. Właściwie to nic o nim nie wiedziała. Wraz z Pawłowicz dołączyli do nich w Hawanie, ale przecież mógł tu przebywać od kilku miesięcy, a być może już któryś raz. Mogła o tym choćby świadczyć jego ciemna opalenizna. Mężczyzna zapuścił się w wąskie uliczki starego miasta zapewne pamiętające jeszcze gubernatorów wyspy, bo Santiago było jej pierwszą stolicą. Im bardziej się zagłębiali w miasto, tym większa nędza się przed nimi odkrywała, a co za tym idzie, spojrzenia mieszkańców stawały się bardziej nachalne, można rzec, że wrogie. Zuza starała się ręką zasłaniać aparat fotograficzny, torebkę przycisnęła do ciała, zabezpieczając się przed jej wyrwaniem. Kątem oka widziała minę Ireny, dziewczyna była przerażona.

W pewnej chwili Niemiec zatrzymał się przed jakąś szopą skleconą z kawałków blach i płyt pilśniowych, przykrytą dachem z liści palmowych.

– Rodríguez! – krzyknął.

Wyszedł z niej Kubańczyk, ten sam, co ponoć widział atak rekina, a kilka godzin przed całym tym krwawym zdarzeniem rozplatał tego samego ludojada. Podciągnął spodnie, splunął przez lewe ramię i podszedł do gościa.

Niemiec coś mu podał. Co? Tego z tej odległości nie dojrzały, ale sądząc po jego zachowaniu, mogły to być pieniądze, i ruszył w drogę powrotną. Szybko skryły się w cieniu pnia pobliskiej palmy, a po chwili, kiedy je minął, i one ruszyły w drogę powrotną. Nie doszły do hotelu, kiedy zauważyły Wokulskiego rozmawiającego z innym Kubańczykiem. Szeptali sobie coś do uszu. Zuza zauważyła, że przewodnik wciska tamtemu coś do kieszeni. Tubylec się początkowo opierał, ale w końcu uległ. Wszedł do budynku, przy którym stali, by po chwili wrócić z jakimś niedużym pakunkiem. Rozejrzał się nerwowo i, uspokojony, wcisnął to coś Wokulskiemu w rękę, po czym się pospiesznie oddalił.

– Pani Zuzo, o co tu chodzi? – wyszeptwała Irena. – Zaczynam się bać.

– Cholera wie. Czemu Niemiec opłaca tego Kubańczyka? Co tamten dla niego zrobił? Jednym słowem, mnóstwo pytań, a odpowiedzi wciąż brak.

– Myśli pani, że ten Kubańczyk zabił panią Dworczyk?

– Być może. Albo chodzi o coś zupełnie innego.

– To znaczy? Mówi pani samymi zagadkami.

– Pamiętasz biżuterię tej pani? Było tego całkiem sporo. Właściwie była nią obwieszona niczym choinka bożenarodzeniowa bombkami. Znalazł się tylko jeden kolczyk, a gdzie jest reszta? Być może panowie przeprowadzili jakąś transakcję. Niemiec mógł kupić precjoza i teraz widziałyśmy, jak mu za nie płacił.

– Uff, to mi ulżyło. Bałam się, że jest mordercą.

– Nie słuchasz mnie uważnie. Ja tego wcale nie wykluczyłam.

– No a ten nasz pan Kamil?

– Co pan Kamil? – Zuza podniosła głos. Denerwowały ją te ciągle pytania. Skąd mogła znać na nie odpowiedzi? Nie była jasnowidzem.

– On też czymś handluje?

– Pewnie organami dentystki. Słyszałam, że w Ameryce można za nie dostać sporo pieniędzy.

Twarz Ireny stała się trupio biała.

– Poważnie?

Zuza parsknęła śmiechem.

– Żartowałam, ale za kilka lat to kto wie? Chodź, lepiej napijmy się po szklaneczce rumu. W Polsce takiego nie kupisz, nawet w Pewexie.

Usiadły na tarasie jakiejś knajpki, zamówiły trunki i patrzyły na ulicę. Widać stąd było też ich hotel. Nagle na stoliczku z pobliskiej palmy sfrunęła czerwona ara. Zuza patrzyła na nią jak urzeczona. W pierwszej chwili nawet chciała krzyknąć: „Zgaga!”, ale zaraz się pohamowała. Przecież ta cholera jest obecnie w Hawanie i uczy inne papugi okrzyków na cześć El Comandante. W każdym razie taka była umowa. Ptaszyisko przydreptało do niej i figlarnie przechyliło łeb.

– Kuuuurwa maaaaa Zuuuza! Kuuuurwa maaaaa Zuuuza! – rozkrzyczało się.

Zuza była w siódmym niebie, czuła, jak lzy spływają jej po policzkach, więc szybko i dyskretnie się ich pozbyła. Twarde babki nie płaczą, nawet tu na Kubie.

– Niesamowite – wydukała Irena, wyraźnie poruszona całą sytuacją.

– Preeeeecz z Fiiiidelem! Preeecz z komuuuuna! – Ara nagle zmieniła repertuar. Dziobnęła Zużę w dłoń i odfrunęła.

Zuza syknęła z bólu.

– A to cholerne ptaszysko! Myślałam, że tylko Zgaga jest taką suką! Widzę, że ma tu godnych siebie naśladowców.

– Ale jak ona panią poznała? Przecież to tylko ptak.

– Mariański ma mózg mniejszy od rodzynka i też mnie wszędzie rozpozna, więc się nie dziw papudze.

Przed drzwiami ich hotelu zajechał autokar, a po chwili wysypała się z niego gromada ludzi, zapewne turystów, bo wielu z nich trzymało w dłoniach aparaty fotograficzne.

Zuza od razu rozpoznała nację.

– Ruski. Pewnie ci z osiedla w Hawanie przyjechali się tu rozerwać.

– Skąd pani to wie? – zdziwiła się dziewczyna.

– Poznałam ich po ubiorach i po tym, że miejscowi nie są nimi zainteresowani. Każdy Kubańczyk rozpozna Ruską, nazywają ich bolo, co oznacza „drewniak”. Oni nie mają nic na handel, to taka sama biedota jak Kubańczycy, a do tego są wiecznie pijani. El Comandante mi kiedyś opowiadał, jak rekin ludojad zjadł jednego z nich. Ponoć dra pieznik tak się upierdolił alkoholem, który Rusek miał w organizmie, że przez tydzień pływał do góry brzuchem, nim wytrzeźwiał. Zamówię jeszcze po szklaneczce rumu.

– Ja już dziękuję.

– Spokojnie, ja stawiam.

Mariański siedział w ubikacji i z niepokojem oglądał penisa. Od wczoraj zaczęły się na nim pokazywać ropiejące rany. Już kiedyś miał coś podobnego, ale w dużo łagodniejszej formie. Teraz wyglądało to okropnie. Wtedy na to pomogła penicylina, ale skąd ją wziąć tu na Kubie? Gdzie udać się z problemem? Za wszelką cenę musiał się z tym uporać tu na wyspie, bo Mariańska nie mogła tego zobaczyć.

W końcu naciągnął gacie i portki, po czym ruszył na poszukiwanie Wokulskiego.

Znalazł go w recepcji, akurat podrywał jakąś Kubankę.

– Obywatelu, mamy sprawę – zaczął bardzo służbowo i pociągnął go na stronę, po czym zaczął mu szeptać do ucha:

– Nie wiadomo jak, ale pewnie wtedy, kiedy przedzieraaliśmy się przez dżunglę, złapaliśmy coś, pewną chorobę. No wiecie jaką.

Przewodnik patrzył na niego nic nierozumiejącym wzrokiem.

– Nie, nie wiem. Od czego pan to złapał i jak się to objawia? To pewnie jakaś tropikalna zaraza. Pewnie trzeba do lekarza.

– No... – Kapitan się zająknął i podrapał się w głowę. – Mamy ropiejące wrzody.

– Na nogach?

– Nie, nie na nogach.

– Na brzuchu? To niedobrze. Proszę pokazać.

– Nie na brzuchu. No wiecie... na chuju.

Wokulski z trudem pohamował się, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Robił przy tym komiczne miny.

– To znaczy, że złapał pan tutejszego syfa? – wydukał po dłuższej chwili.

– Tak jakby. Nie mamy pojęcia, skąd nam się przyplątał.

– Może to z powietrza. Tu dość często to słyszałem – zadrwił z niego Wokulski, ale Mariański najwyraźniej się nie zorientował, że tamten z niego kpi.

– Poważnie? No tak, to by się zgadzało. No bo skąd? Znajdźcie nam jakiegoś konowała. Tylko żeby był tani, bo wiecie, diety mamy nieduże, a z tymi wrzodami to nie możemy wracać.

– Nie chcę pana martwić, ale tutejszy syf to tropikalna odmiana.

– To znaczy? – Kapitan spoglądał na niego z niepokojem. – Czym to grozi?

– Wiem, że kilku facetom fiuty odpadły, ale może u pana wszystko będzie dobrze. Zaraz się rozejrzę za jakimś lekarzem. Proszę tu w hotelu na mnie poczekać, a ja pójdę podzwonić po medykach. Zobaczymy, co da się zrobić.

Twarz Mariańskiego pokryła się śmiertelną bladością. Jeszcze tylko tego mu brakowało.

Kapitan, czekając na informacje od Wokulskiego, postanowił napisać nowy raport. Tak na wszelki wypadek, gdyby jego choroba okazała się śmiertelna.

Poszedł do swojego pokoju i z walizki wyjął zeszyt szesnastokartkowy w kratkę. Wyrwał z niego jedną kartkę i na niej zaczął pisać.

#### Tajny raport w Kubie

Po ślenceniu obywatelki Lewandowskie w drzungli dostaliśmy z powietrza wzdowu co wyglądają jak syw. Nie wiemy, czy som wyleczalne. Mimo że m hoży tom wpadli na trop nowych imperializdow w postaci dwóch kupanek. Na tutejzym rynku napadli nas tutejsi bandyci i posbawili mnie zemba.

Zuza kończyła kolejną szklaneczkę rumu. W lokalu kilku lokalnych grajków muzykowało, dziewczyna śpiewała *Guantanamera*, dwie pary tancerzy w rytmie melodii poruszały się na parkiecie. Patrzyła zafascynowana, w jaki sposób Kubanki wypinały pośladki, potrząsając nimi w takt muzyki. Tę muzykę czuły całym ciałem. Ona, tak jak większość Polaków, tańczyła sztywno, tak jakby połknęła gruby, sękaty kij, a przy takich wygibasach pewnie by jej kręgosłup pęknął.

– Pięknie. Mogę na to patrzeć bez końca – rzekła do Ireny. Tamta na to nie zareagowała. Zuza spojrzała na dziewczynę. Spała, położywszy głowę na blacie stołu. Najwyraźniej przeliczyła się ze swoimi możliwościami i rum ją pokonał. Zuza wyjęła ekstra mocne i zapaliła. Zaraz przysiadł się do niej jakiś Kubańczyk, wyraźnie zainteresowany jej papierosami. Poczęstowała go jednym i z ciekawością obserwowała, jak się nim zaciąga. Nagle uśmiech zniknął z jego twarzy, wytrzeszczył oczy, tak jakby ktoś mu z całej siły ścisnął szyję, po czym dostał silnego ataku kaszlu. Zuza zaciągnęła się głęboko i puściła kilka kóleczek z dymu w jego stronę, rzucając mu pogardliwe spojrzenie.

Szturchnęła Irenę w bok.

– Obudź się i weź się w garść, bo jak twoi rodzice zobaczą cię w tym stanie, to będzie awantura. Mój ojciec, kiedy pierwszy raz ujrzał swoją córkę w stanie nieważkości, dostał prawdziwego szału. Miałam wtedy piętnaście lat, byłam w liceum. Po tym zdarzeniu miałam szlaban na wyjścia przez dwa miesiące, ale nie to było największą karą.

– A co? – spytała dziewczyna, ziewając i wyjmując z torebki lusterko.

– Obrzydliwy trzydniowy kac. Do dziś pamiętam, jak mi głowa pękała. To było straszne uczucie. Zabierajmy się stąd.

Podniosły się od stolika. Dziewczyna w pierwszej chwili się zachwiała, ale po kilku krokach było już dobrze.

Dochodząc do hotelu, spotkały Mariańskiego w towarzystwie Wokulskiego wychodzących na miasto. Kapitan jak zwykle rzucił Zuzie nienawistne spojrzenie. Ta się szeroko uśmiechnęła i zalotnie puściła do niego oko, czym go jeszcze bardziej rozeźliła, a o to przecież zawsze chodziło.

– Gdzie się panowie wybierają? Kapitanie, co powie wasza żona, jak usłyszysz o waszych podbojach miłosnych? Już nawet po Santiago krążą o tym plotki. Wszyscy mówią o starym satyrze biegającym nago po centrum miasta. Opamiętajcie swoją chuć, bo zawstydzacie miejscowych.

– Idźcie do diabła! – ryknął na nią i pociągnął przewodnika za rękę.

Patrzyły za nimi dotąd, aż zniknęły za rogiem.

– Ciekawe, dokąd idą? – spytała Irena.

– Jak to, dokąd? – odparła, rechocząc, Zuza. – Wiadomo, poszli do konowała. Mariański coś złapał, i to coś egzotycznego. To będzie trudna i długotrwała terapia.

– Skąd pani to wie?

– Dobrze przyjrzałam się jego oblubienicy, tej z hotelu przy rezerwacie krokodyli. Na jej twarzy zauważyłam objawy zaawansowanej choroby wenerycznej. Już kiedyś widziałam coś podobnego u mojej klientki, płockiej prostytutki.

– A to jest zaraźliwe? – wyszeptła przerażona Irena.

– Lepiej się z nim nie całuj, a tym bardziej z jęczyczkiem.

Mariański z Wokulskim szli uliczkami Santiago. W pewnej chwili kapitan zobaczył dziewczynę, tę, która zwabiła go w pułapkę. Od razu ją poznał, gdy tymczasem ona go nie zauważyła. Zaszedł ją od tyłu i chwycił za ramię.

– Teraz pogadamy inaczej! – ryknął na nią po polsku.

Ona oczywiście nic z tego nie zrozumiała, ale też go poznała i zaczęła krzyczeć coś po hiszpańsku.

– Co pan wyprawia? Idziemy! – Wokulski starał się go odciągnąć. – Ona krzyczy, że pan ją chciał zgwałcić. Spadamy stąd, bo inaczej będą kłopoty. Kubańczycy są wyjątkowo solidarni. Jeszcze chwila i pana zlinczują.

Faktycznie, wokół nich zaczęli się gromadzić przechodnie.

– Ale ta suka zapierdoliła mi pieniądze i zegarek.

– Trudno, chodź pan, bo jak nie, to ja stąd znikam, a pan radź sobie sam.

Coraz więcej ludzi zaczęło się gromadzić. Wznosili nieprzyjemne okrzyki, ich miny nie wróżyły dobrze. Nie było na co czekać, bo zaraz mogło dojść do rękoczynów.

Mariański w końcu to zrozumiał i puścił dziewczynę, po czym szybkim krokiem ruszyli dalej. Długo jeszcze słyszeli za sobą wrogie okrzyki. Wreszcie po dobrym kwadransie kluczenia wąskimi uliczkami dotarli do jakiejś oskurnej budy zlepionej z przeróżnych odpadów budowlanych. Wyglądała tak, jakby się miała za chwilę rozlecieć.

– To tu? – zdziwił się kapitan. – Tu przyjmuje lekarz? W takich warunkach?

– Chyba tu. To nie jest lekarz, tylko felczer weterynaryjny. On panu pomoże. Nie możemy iść do przychodni, bo zaraz będzie dochodzenie. Na Kubie prostytutka jest zakazana i surowo karana. Karze się tak prostytutkę, jak i jej klienta. Tu tego łatwo nie zamiecie się pod dywan i zaraz się o tym dowie polska ambasada. Chyba nie jest panu potrzebny taki rozgłos?

To był argument nie do odrzucenia.

– Dobra, prowadźcie do niego.

Weszli do środka, a tam jeszcze gorzej. Sam felczer wyglądał jak poganiacz osłów. Na nosie miał prawdziwe binokle, dłonie miał zniszczone jak chłop pracujący na roli, a za paznokciami brud czarny jak matka ziemia. Wciąż się do niego uśmiechał.

Mężczyzna powiedział coś po swojemu.

– Mówi, że będzie pan zadowolony. Ja tymczasem poczekam przed domem.

Wokulski wyszedł, a felczer podszedł do kapitana i zaczął go namiętnie całować.

– Kurwa, co tu się dzieje?! Spierdalać, ty zboczeńcu! – ryknął kapitan, wyrwijając mu się z objęć. Wzburzony wybiegł z chaty.

Wokulski przeraził się, widząc go w takim stanie.

– Co się stało?

– Kurwa mać, gdzie wy nas zaprowadziliście? Ten sukkinsyn zaczął się do nas dobierać! – krzyczał, wciąż nie mogąc się uspokoić.

– Co pan mówi? Ten felczer? Jak to możliwe?

Wyjął z kieszeni spodni kartkę z adresem i długo się jej przyglądał.

– Cholera, pomyliłem numery domów. Przepraszam pana.

Mariański wciąż się trząsał ze złości.

– Kurwa mać, my was pociągniemy do odpowiedzialności, my tego nie popuścimy! Byliście z nim w zмовіe!

– W jakiej zmowie? Przecież przeprosiłem. Każdy może się pomylić. Felczer mieszka trzy domy dalej. Chodźmy tam.

Ten dom wyglądał dużo lepiej. W środku też. Ten Kubańczyk nawet miał na sobie fartuch. Kiedyś zapewne był biały, ale lata użytkowania i niezliczone plamy odcisnęły na nim swoje piętno. Stół był porządny, cerata czysta. Mariański na wszelki wypadek nie zdjął spodni, jedynie je delikatnie zsunął. Dostał zastrzyk w półdupek, jak wyjaśnił Wokulski, to była penicylina, a dawka jak dla konia. Tylko taka dawała szansę na wyleczenie tej odmiany syfa. Takich zastrzyków miało być kilka, codziennie jeden. Teraz mogli wracać do hotelu.

Zuza leżała w łóżku i przewracała się z boku na bok, nie mogąc zasnąć. To wszystko przez kacapów, jak ich nazywała, bo zachowywali się tak, jakby ten hotel był tylko dla nich. Od głośnej ruskiej muzyki szyby drżały w oknach, a prócz tego oni sami wydzielali się, jakby ich ze skóry ktoś obdzierał. W końcu miała tego dość, poderwała się z łóżka, zarzuciła na siebie szlafrok i poszła do pokoju obok. Drzwi były zamknięte tylko na klamkę, więc bez pukania wtargnęła do środka. Zobaczyła tam czterech mężczyzn. Wszyscy byli już mocno podpici. Widać to było po ich zapijaczonych mordach, jak i liczbie pustych butelek stojących pod stołem.

– Do cholery! Ma być spokój! – ryknęła.

Zamilkli na moment, tak byli zaskoczeni, po czym parsknęli gromkim śmiechem.

– Chcesz, to ci nalejemy! Dajcie szklankę – zaproponował jeden z nich.

Wiedziała, że musi sięgnąć po inny środek.

– Który tu dowodzi?

– Ja, lejtnant Morozow, a co? – odezwał się chłop wysoki jak góra, pewnie pochodził z Kaukazu, tam ponoć wszyscy wyrastają wielcy jak dęby. Mało tego, wyglądał na względnie trzeźwego. W tym momencie trochę pożałowała swojego pomysłu, bo stawał się wręcz karkołomny, ale nie zamierzała się wycofać.

– Zróbmy zawody. Kto pierwszy padnie pod stół, ten kiej. Jeśli ja, to możecie drzeć pyski codziennie nawet do rana, ale jeśli ty, to do mojego wyjazdu będzie tu cisza jak makiem zasiał. Co wy na to? – spytała, patrząc mu prowokacyjnie w oczy.

– Zgoda.

Lejtnant szeroko się uśmiechnął, najwyraźniej był pewny wygranej. Sukinsyn, musiał mieć mocny łeb i przez to od razu poczuł się zwycięzcą.

Usiedli przy stole, naprzeciwko siebie. Zaraz na jego blacie pojawiła się wódka. Po etykietce Zuza poznała, że to ruska. Szkoda, że to nie stock, przynajmniej byłoby przyjemnie. Pili z musztardówek, obydwój szybko i po równo do czwartej kolejki. Od piątej zwolnili. Zuza czuła, że dochodzi do ściany, jeszcze dwie, no może trzy musztardówki i padnie na pysk niczym disnejowski pies Pluto. Jedyną pociechą było to, że Morozow też zaczynał wymiękać. Szóstą musztardówkę wypił na raty, a konkretnie na trzy podejścia. Przy ostatnim łyku zakrztusił się i runął nieprzytomny na podłogę, ale to nie był koniec zawodów. Zuza musiała opróżnić swoją szklankę i utrzymać się na krześle. Wiedziała, że na raty to się nie uda, że podzieli los lejtnanta. Chwyciła musztardówkę w dłoń i wypila jednym haustem. Chwilę siedziała sztywno, za wszelką cenę starając się nie ruszyć. Udało się, wygrała. Ostrożnie podniosła się z krzesła, spojrzała na kacapów. W ich oczach dojrzała uwielbienie. No tak, pokonać któregoś z nich w picciu to jest wielki wyczyn. Niczym innym im tak nie zaimponujesz jak mocną głową.

– A teraz cisza. Zrozumiano? – wyszeptwała z trudem, czując, że jej się język zaczyna plątać. Powoli, wciąż starając się trzymać fason, opuściła ich pokój i poszła do siebie. Jak tylko doszła do łóżka, to runęła na nie bez przytomności.

Było południe, gdy ktoś zaczął Zuzę szarpać za ramię. Z trudem otworzyła oczy. To była Irena.

– A ty czego chcesz? Daj mi spokój!

– Przyjechali po panią. Czarna wołga czeka przed hotelem.

– Kto przyjechał? Nie ma mnie dla nikogo. Niech przyjadą jutro – wydukała. Głowę rozsadał jej potworny ból, a tamta stała nad nią i bzyczała niczym natrętna mucha. Cholerny kac, zakłęła Zuza w duchu i dźwignęła się z łóżka. Spojrzała na dziewczynę.

– O co chodzi?

– Znów ktoś przyjechał po panią.

– Kto? Mów jaśniej, bo nic do mnie nie dociera.

– Przed hotelem czeka na panią samochód, ten, co zawsze.

Zuza wyglądała okropnie, skotlowane włosy na głowie, rozmazany makijaż. Z czarownicą łatwo by było ją pomylić.

Irena patrzyła na nią zatroskana.

– Jest pani chora? Może im to powiem?

– Nie jestem chora, tylko wczoraj wieczorem wywalczyłam nam wszystkim ciszę nocną, bo inaczej te kacapy by nam zrobiły tu prawdziwe piekło. Musiałam z nimi pić do upadłego i to był ten jeden jedyny raz. Więcej nie będę za nikogo się tak poświęcać. Nie ma mowy!

Zerknęła w lusterko.

– O, cholera, ale ze mnie czupiradło. Tak nie pojedę. Coś trzeba z tym zrobić. Zaraz, poczekaj, pójdę do łazienki i wezmę zimny prysznic.

Wyszła się ogarnąć, by wrócić po pół godziny. Teraz wyglądała dużo lepiej. Wyrzała przez okno, czarna wołga wciąż czekała. Uparci. Tym razem miała mieszane uczucia. Tak jakby się to płomienne uczucie nagle w niej wypaliło. Teraz w El Comandante znów widziała jedynie wstrętnego komucha i szczerze go nienawidziła. Nie, nigdzie nie pojedzie, nie ma mowy.

– Powiedz im, że nigdzie nie jadę. Jestem chora i kropka – rzekła do Ireny.

– Na pewno?

– Nigdzie nie jadę, źle się czuję.

– Dobrze, pójdę po Wokulskiego, żeby to im wytłumaczył.

Irena wyszła z pokoju, a Zuza sięgnęła po stocka. Wypiła klina, dopiero teraz poczuła się wyraźnie lepiej. Chciała jeszcze zapalić, ale nie zdążyła wyjąć papierosów z torebki, jak do pokoju wpadł Kamil. Jak zwykle, kiedy sprawa dotyczyła El Comandante, miał panikę w oczach.

– Pani Zuza, błagam, niech pani nie odmawia. To dla dobra wszystkich. Castro jest nieprzewidywalny, jak wpadnie w szał, to budzi się w nim bestia.

Wił się przed nią niczym piskorz. Nie cierpiała takich ludzi, gardziła nimi.

– Wiesz co, byłbyś dobrym alfonsem. Masz do tego dryg – zauważyła z drwiną. – Wypierdalał stąd, i to już! Spotkam się z nim wtedy, kiedy będę chciała. Powiedz im, że jeśli się zdecyduję, to będę gotowa za godzinę. A teraz wynocha, bo złapię coś ciężkiego!

Po godzinie zeszła na dół i wsiadła do wołgi. Tym razem pojechali na lotnisko. Samochód zatrzymał się z boku niedużego samolotu, do którego były przystawione schodki.

– Cholera, znów mam lecieć? Jak ja tego nie cierpię – jęknęła pod nosem, ale wspięła się po nich i weszła do środka, a tam... uśmiechnięta, brodata twarz El Comandante z nieodłącznym cygarem w ustach. I te oczy, z których był słynny, które hipnotyzowały i czarowały kobiety. Zuza poczuła, jak gorąco uderza jej do skroni, jak jej serce nagle przyspiesza.

Zaryczał uruchamiany silnik, ale zanim wystartowali, El Comandante założył jej na plecy spadochron. Twierdził, że tak będzie bezpieczniej, bo z samolotami to różnie bywa, czym trochę ją wystraszył.

Wystartowali, a po kilku minutach mknęli wysoko w górze nad kubańskim wybrzeżem. Widok zapierał dech w piersiach. Zuza musiała przyznać, że El Comandante potrafi kobiecie dostarczyć różnorodnych mocnych wrażeń.

W pewnym momencie zauważyła, że silnik samolotu zamilkł. W chwilę potem jeden z pilotów zaczął coś wykrzykiwać. El Comandante poderwał się z krzeselka, chwycił Zuzę za rękę i szarpnął ją za sobą do drzwi.

– Co ty chcesz zrobić?! Chyba zwariowałeś?! – krzyknęła, domyślając się, co zamierza.

– Chcesz żyć? – spytał, patrząc jej głęboko w oczy. – Jeśli tak, to skacz. Nie masz innego wyjścia. Mamy awarię i ten samolot zaraz się rozbije.

– Kurwa mać, zachciało mi się chłopa, a teraz zginę! Na cholere mi to było?! – zaczęła krzyczeć po polsku.

– Co mówisz?

– Nieważne, i tak już po mnie! Otwieraj te cholerne drzwi! Niech mam to już za sobą! A w ogóle to cię nienawidzę, ty sukinsynu!

Nawet w tak mrozącej krew w żyłach sytuacji trzymał fason i potrafił się czarująco uśmiechnąć.

Wydawało się jej, że usłyszała:

– Kocham cię, Zuzi!

Szarpnął drzwi. Uderzył ich silny podmuch powietrza. El Comandante, wciąż z cygarem w ustach, nie wyjął go nawet na moment, kiedy wypchnął ją z samolotu, po czym sam za nią skoczył.

Zuza mknęła w dół z oszalamiającą prędkością i zamkniętymi oczami, klnąc w duchu wycieczkę na Kubę, El Comandante i wszystko to, przez co znalazła się na pokładzie tego cholernego samolotu. Zdążyła jeszcze pomyśleć o swoich zwierzakach, które będą musiały sobie znaleźć nowych opiekunów, no bo z niej to zaraz zostanie jedynie



mokra plama. Może to zawsze lepiej niż sama stopa? To była ostatnia myśl, nim coś nią silnie szarpnęło. Opadanie raptownie zwolniło, zaczęła powoli płynąć w powietrzu. Dopiero teraz ośmieliła się otworzyć oczy. W niedużej odległości od siebie zauważyła El Comandante z nieodłącznym cygarem w ustach. Machał do niej ręką. Zerknęła w górę i zobaczyła samolot. On wcale nie spadał, słyszała wyraźnie równomierną pracę jego silnika. Teraz zroszowała. To było ukartowane.

– Ale sukinsyn ma fantazję, niech go szlag!

Z jednej strony była wściekła na niego, ale z drugiej jej zaimponował. Taki Jaruzelski czy Gierek to byli zwykli aparatczycy, zupełnie bez jaj i wyobraźni, zaś on był takim prawdziwym macho. Być może dlatego Kubańczycy go kochali, mimo że był zatwardziałym komuchem.

Na ziemi czekała już na nich wołga, którą pojechali do jednej z jego willi usytuowanej na obrzeżach Santiago, a tam czekał już mrożony szampan, homary i mnóstwo innych dóbr, nawet czarny kawior, ponoć przysłany przez towarzysza Andropowa prosto z Moskwy.

I jak tu nie stracić głowy dla takiego mężczyzny?

Dziś El Comandante poszedł o krok dalej.

– Zuzi, ty jesteś jak moja druga połowa. Ty jesteś wyjątkowa kobieta, ja cię chcę za żonę! – oznajmił jej niespodziewanie. I nawet na tę chwilę odłożył cygaro. To znaczyło, że sprawa jest bardzo ważna. Ponoć wcześniej tylko raz się to wydarzyło, a miało to miejsce wtedy, kiedy kontrrewolucjoniści wylądowali w Zatoce Świń.

Zatkało ją ze zdumienia, bo takiej propozycji się nie spodziewała. Zuzanna Castro brzmiało dziwnie. Chyba jednak wołała Lewandowska. Przynajmniej brzmiało swojsko.

– Żartujesz? – Na tyle ją było w tym momencie stać.

– Kiedy żartuję, to żartuję, ale nie teraz. Jeszcze żadna kobieta nie skoczyła ze mną z samolotu. Ty jesteś twarda babka i to mi się podoba.

Z kieszeni munduru wyjął pierścionek i jej go wręczył. Na pewno był wiele wart. Samo brylantowe oczko kosztowało fortunę.

– Nie jestem na to gotowa – bąknęła, mocno zmieszana takim obrotem rzeczy. Była na Kubie tylko dwa tygodnie, a w tym czasie jej życie wywróciło się do góry nogami. – Muszę się zastanowić.

– Co tu się zastanawiać? Będiesz żyć jak księżniczka, miliony kobiet by się nawet przez chwilę nie wahały.

– Zapewne, ale ja jestem Zuza Lewandowska.

El Comandante szeroko się do niej uśmiechnął.

– I to mi się w tobie podoba.

To była chyba najbardziej szalona ich wspólna noc. Zuza dosiadła El Comandante niczym dorodnego byka i bez końca go ujeżdżała. Dziś dała mu rozkosz, jakiej nie zaznał nigdy wcześniej. Tak w każdym razie twierdził, kiedy zasypiała w jego ramionach.

Zuza jak zwykle dopiero rano wróciła do hotelu. Kiedy przechodziła koło recepcji, zobaczyła gromadkę nowych gości. Kilka twarzy wydało jej się znajomych. No tak, to przecież Zarzycki i Murawski. Pamiętała, że udzielali się w płockim harcerstwie. Zobaczyła też Polakowskiego z Urzędu Miasta. Poznała go po wielkiej glacy, no i po potężnej posturze. Wszyscy byli ubrani w harcerskie mundurki. Oni też ją poznali.

– Pani mecenas tutaj? Co za niespodzianka! – wykrzyknął pierwszy z nich i ruszył w jej kierunku, żeby ją wyściskać.

– Jestem tu na ślubie brata, a panowie co tu robicie?

– Jesteśmy w ramach wymiany harcerskiej.

– Co proszę? – wydukała zdumiona.

– Najpierw byli u nas ich pionierzy, a teraz przyszła kolej na naszych.

– Coś mi wyglądacie na mocno przerośniętych harcerzy – zakpiła.

Mocno się zmieszali.

– Dzieciaki jeszcze zdążą polecieć, całe życie przed nimi. Zresztą przywieziemy im pamiątki – wtrącił się Polakowski.

– Na pewno się ucieszą. Będą niezmiernie szczęśliwi – odparła z przekąsem. – Przepraszam, ale muszę już iść. Innym razem porozmawiamy.

Minęła ich i udała się do windy. Tam spotkała lejtnanta, tego, z którym dzień wcześniej walczyła o ciszą nocną. Skłonił się jej, w jego oczach widziała szacunek. Nagle zdjął z ręki zegarek i wcisnął jej w dłoń.

– To zegarek oficerski. To prezent od naszej rebiaty. Jesteś baba gieroj!  
– Dziękuję – wydukała zdziwiona i nawet ciut wzruszona. Chyba nie wszystkie kacapy to sukinsyny. Naprawdę ujęli ją tym gestem.

Jednak to, co wydarzyło się wczoraj, czyli oświadczyły El Comandante, przyćmiło dziś wszystko inne. Miała teraz o czym myśleć.

Przebrała się i zeszła do restauracji na śniadanie. Lokal był wypełniony jak nigdy, a to przez tę wycieczkę z Polski. Informacja, że mecenas Zuza Lewandowska śpi w tym samym hotelu co oni, narobiła wśród nich sporo szumu, ale różnie na to zareagowali. Większość uczestników stanowili działacze partyjni, którzy dzięki układom i układzikom, a kosztem harcerzy załapali się na eskapadę życia. Oni, wiadomo dlaczego, spoglądali na nią z niechęcią, a niektórzy wręcz z wrogością, pozostali woleli udawać, że jej nie widzą, tak dla bezpieczeństwa, żeby im czegoś nie wytykano po powrocie do kraju.

Zuza jak zwykle usiadła przy stoliku w towarzystwie Ireny. Zaraz przysiadł się do nich Wokulski. Coraz nachalniej adorował dziewczynę, ale ona w ogóle nie reagowała na jego końskie zaloty. Kompletnie nie był w jej typie. Tak w każdym razie wyznała Zuzie. I znów na śniadanie serwowali bułki, margarynę i dżem z bananów. Początkowo się nim zjadały, ale to było tylko na początku. Teraz miały go serdecznie dość. Natomiast wycieczka z Płocka gremialnie się nań rzuciła. W ogóle, ona była bardzo hałaśliwa. Zachowywali się gorzej od kacapów.

– Zaraz pójdą na plażę, to będzie trochę spokoju – zauważył Wokulski. – Dobrze chociaż, że ja się nimi nie zajmuję, bo mogą być spore problemy.

Zuza, mocno zaintrygowana, spojrzała na niego.

– To znaczy? Co ma pan na myśli, panie Kamilu?

– Zawsze, kiedy rekiny kogoś zaatakują, i to z powrotem, tak jak było wczoraj, to później przez jakiś czas są bardzo agresywne. Miejscowi o tym wiedzą i mają się na baczności, ale ci nie mają o tym pojęcia.

– Okropne! Trzeba ich ostrzec. Pogadam z nimi.

Zuza podniosła się od stołu i podeszła do Zarzyckiego. Odciągnęła go na bok.

– Jeśli pójdziecie nad morze, to za żadne skarby nie wchodźcie do wody. Tu grasują rekiny, a z nimi nie ma żartów. Wczoraj rano doszło do tragedii, bo zjadły naszą koleżankę.

Mężczyzna, słysząc to, parsknął śmiechem prosto w jej twarz.

– Nie ma obawy. Czytałem w przewodniku, że tu w morzu są specjalne siatki i można bezpiecznie się kąpać. Pani koleżanka pewnie wypłynęła poza nią i dlatego zginęła.

– Siatki to może były, ale za Batisty. Teraz tu rządzą komuchy i jest typowy komunistyczny burdel. Róbcie, co chcecie, ale ja was ostrzegałam.

Wróciła do stolika. Była wściekła.

– I co? Będą ostrożni? – spytał Wokulski.

– Wyśmiano mnie. Powiedźcie mi, czemu w tym narodzie jest tylu debili?

Po śniadaniu usiadła w samotności na tarasie ze szklaneczką stocka w rękę.

Co i raz w myślach wracała do oświadczyń. Cholera, ten sukinsyn El Comandante nieźle namieszał jej w głowie. Zaczęła rozważać różne możliwości. Wiedziała, że mieszkając na Kubie, stanie się kurą domową, że będzie musiała zlikwidować praktykę adwokacką. Musiałaby też ściągnąć tu Borysa i Wrzoda i, co najgorsze, zdać mieszkanie. Najgorsze, bo rodzinne gniazdo, i to od wielu pokoleń, wpadłoby w obce ręce. Jakaś hołota z kwaterunku zniszczyłaby jej ojcowiznę. Natomiast tego, że El Comandante pojedzie za nią do Płocka, w ogóle nie brała pod uwagę. Nawet nie śmiałyby mu tego zaproponować.

Wtem zobaczyła Niemca, znów dokąś podązał samotnie. Długo się nie zastanawiała. Odstawiła szklaneczkę, poderwała się z krzesła i ruszyła za nim. Szła kilkadziesiąt metrów w tyle, tak żeby przypadkiem jej nie dojrzał. Tym razem poszedł w zupełnie innym kierunku niż poprzednio, a konkretnie udał się do portu. Znajdowało się w nim kilka statków, większość pod obcymi banderami. Te mniejsze przybiły do nabrzeża, inne stały na redzie. Wejście do portu było ogrodzone płotem i pilnowane przez uzbrojonych strażników. Niemiec podszedł do ich budki i chwilę z nimi rozmawiał. Zuza, ukryta za palmą, widziała, jak jednemu z nich wcisnął coś w dłoń. Łatwo było się domyślić, że to pieniądze. Strażnik otworzył furtkę i wpuścił Niemca na teren portu. Zuza nie mogła iść dalej, więc obserwowała wszystko z daleka. Mężczyzna szedł szybkim krokiem wzdłuż nabrzeża może kilkaset metrów i zatrzymał się przy jakimś statku, po czym po trapie wszedł na jego pokład, a po chwili zniknął w jego wnętrzu.

Zuza z tej odległości nie mogła dojrzeć, jaka jest jego nazwa ani jaka bandera łopecie na jego maszcie. Musiała to koniecznie ustalić, ale jeszcze nie miała pomysłu w jaki sposób. Tak czy owak, zachowanie Niemca było co najmniej zagadkowe. Czekala blisko godzinę, ale mężczyzna się nie pojawił. W tym czasie co chwila była zaczepiana przez ja-

kichś podpitych marynarzy. Wyposzczeni podczas rejsów zaczepiali wszystkie napotkane kobiety. W końcu znudziło się jej szarpanie z nimi i wróciła do hotelu. Przed wejściem znów natknęła się na tych mocno przerośniętych harcerzy z Płocka. Gorąco o czymś dyskutowali. Kiedy podeszła bliżej, usłyszała, że rekin zaatakował druha Zarzyckiego, szefa chorągwi, i odgryzł mu lewą nogę wraz z klejnotami.

Zabrano go do szpitala i teraz walczone o jego życie, ale pewnie nie przeżyje. Jednego debila mniej, pomyślała. Ostrzegając go, że może się to tak skończyć, ale jej nie posłuchał. Teraz może mieć pretensje tylko do siebie i do Przewodnika po Kubie. Jaka z tego płynęła nauka? Zawsze trzeba sprawdzać rok wydania.

Kiedy chciała odejść, ktoś chwycił ją za ramię i pociągnął. To ojciec Ireny.

– Możemy porozmawiać?

Nie bardzo miała ochotę teraz ucinać sobie z nim pogawędkę. Chciała zapalić, a papierosy zostawiła w pokoju hotelowym.

– A o czym? Nie może to poczekać?

– To tylko chwila, ale chcę pani powiedzieć coś bardzo ważnego.

– Dobrze – zgodziła się. – Chodźmy do tej knajpki naprzeciwko. Tam serwują dobry rum.

Ledwie usiedli przy stoliku, ojciec Ireny zawołał kelnera.

– Ja płacę za rum – oznajmił Zuzie, co było w dobrym tonie.

– O czym konkretnie chciał pan ze mną mówić? – spytała, wbijając w niego ciekawe spojrzenie.

– Ponoć prowadzi pani śledztwo w sprawie tego zabójstwa.

– Jakiego zabójstwa? Przecież pani Dworczyk została zjedzona przez rekina.

– Pani w to wierzy? Bo ja nie.

– Czemu pan uważa, że ktoś ją zabił?

– Pani Dworczyk śmiertelnie bała się wody. Ona jako dziecko o mało się utopiła. Taka trauma zostaje w człowieku do końca życia. A w ogóle ona nienawidziła opalania i upału.

– Dużo pan wie o pani Dworczyk – zauważyła Zuza. – Może wie pan coś jeszcze?

Spojrzał na nią niespokojnie.

– To znaczy? Co pani ma na myśli?

– Czemu wybrała się na tę wycieczkę? Czemu zabrała ze sobą tyle biżuterii? Wiem, że te cacka były warte krocie. A w ogóle, co się z nimi stało? Nie wie pan tego czasem?

– Nie mam pojęcia. Trochę o niej wiedziałem, bo była naszą dentystką zakładową. Nieraz sobie ucięliśmy pogawędkę.

– Na fotelu dentystycznym? Pewnie z tamponami w gębie – zakpiła.

– Nie na fotelu, ale na korytarzu. Co do biżuterii, to może to były tylko nic niewarte świecidełka? A może nie miała w domu bezpiecznej skrytki, więc wzięła to ze sobą? Aż na takiej stopie to z nią nie byłem.

– A na jakiej stopie jest pan z panią Pawłowicz?

– Pawłowicz? – zdziwił się. – Nie znam takiej.

– Przepraszam, miałam na myśli panią Małecką – zaraz się poprawiła.

– Na takiej jak pani. Jesteśmy na tej samej wycieczce i nic poza tym.

– Widziałam pana i pańską żonę, jak się z nią kłóciliście. O co poszło?

Zuza wbiła w niego nachalne spojrzenie. Mężczyzna się zmieszał. Widziała, że na szybko szuka jakiejś wykrętniej odpowiedzi.

– No wie pani – zaczął po dłuższej chwili. – Poszło o poglądy polityczne. Ta pani ma je dość wyrotowe. Na nic się zdała cała rozmowa, nie dało się jej przekonać.

Wiedziała, że kłamie.

– No dobrze, ale zesłaliśmy z tematu. Czy ma pan jakieś cenne informacje dotyczące pani Dworczyk? Może wie pan, kto ją zamordował? Może chociaż jakieś sugestie?

– Nie, nic nie mam. Ja tylko chciałem się z panią podzielić moimi i żony podejrzeniami i tyle.

– I to wszystko?

– Jest jeszcze jedno. Widziałem, jak pan Kamil, nasz przewodnik, coś szeptał do ucha tej pani. Później ona sięgnęła do torebki. Coś z niej wyjęła i wcisnęła mu w dłoń. Nie wiem, co to było, bo stałem od nich za daleko.

– Ale której pani, bo się już w tym pogubiłam?

– Mówię o pani Małeckiej.

– Mogła to być biżuteria? Co pan o tym sądzi?

Spojrzał na nią z przerażeniem.

– Myśli pani, że ona ją zabiła? To przecież taka sympatyczna kobieta.

– Odnośnie do tej pani to wiem dużo więcej niż pan. Poznałam ją z zupełnie innej strony. Proszę mi wierzyć, że ona ma dwa oblicza.

– Niczym Światowid.

– Nie, Światowid miał cztery oblicza, ale to szczegół. – Dopiła rum i podniosła się z krzesła. – Jak będzie pan miał jakieś nowe informacje, to proszę od razu walić do mnie. Radzę się nimi nie dzielić z innymi, bo tak naprawdę to nie wiadomo, kto może okazać się zabójcą, może to nawet być pańska małżonka.

– Stefka? Chyba pani żartuje? – obruszył się. Jak mogła podejrzewać jego żonę?

– Kiedy widzę wokół siebie tyle trupów, to odechciewa mi się żartów. Dziękuję za rum.

Wróciła do hotelu po ekstra mocne i udała się na pocztę, żeby znów zadzwonić do Polski. Coraz bardziej tęskniła za krajem, mimo że był opanowany przez czerwoną hołotę. Brakowało jej tu wielu rzeczy, jak choćby wciąż kaslającego Nowaka, a nawet huku bębnow proboszcza.

Na pocztę trafiła na tę samą urzędniczkę co poprzednio. Tym razem nie było żadnych problemów, choć na rozmowę musiała czekać godzinę, ale warto było, choćby dla usłyszenia głosu sierżanta.

– Co tam u was? Jak moje zwierzaki? Jaka u was pogoda i czy podlewacie moje paprocie, bo ta w kancelarii wymaga więcej wody? – zarzuciła go pytaniami.

– Wszystko w porządku. Możesz być spokojna. A jak udało się wesele?

– Nie było wesela. Eduardo w ostatniej chwili poszedł po rozum do głowy i stwierdził, że na co mu żona.

– Czy wracasz zgodnie z terminem? Wszyscy nie możemy się ciebie doczekać. Jolka co chwila spogląda nerwowo w kalendarz, Kowalski wciąż jest jakiś rozdrażniony, a Geńka się rozchorowała. Musisz wracać. Bez ciebie to tu jest jedna wielka pustka.

Zuza poczuła dziwny ucisk w piersi, to pewnie ze wzruszenia.

– Wracam, wracam. A co więcej u was słyhać?

– Bym zapomniał. – Głos Nowaka wyraźnie się ożywił. – Czy wiesz, że Opara był kawalerem i mieszkał sam?

– Już wiem – odparła. – I co z tego wynika? Mało mnie on obchodzi.

– Posłuchaj dalej. Weszli do jego mieszkania, żeby je zlikwidować, i wyobraź sobie, że było puste.

– Nie rozumiem, do czego zmierzasz. Przecież powiedziałeś przed chwilą, że mieszkał sam.

– Ale ono było dosłownie puste. Nawet meble zniknęły. Kiedy zasięgnąłem języka u jego sąsiadów, to się okazało, że wszystko sprzedał. Czy nie uważasz, że to dziwne?

– Owszem, nawet bardzo. Nic więcej dla mnie nie masz?

– Słyszałem, że mają zakazać Polakom zbierania grzybów w lesie pod karą więzienia.

– A co mnie to obchodzi? Ja nigdy nie byłam na grzybach. Co jeszcze masz dla mnie?

– Jeśli ci chodzi o informacje o tych ludziach, o które prosiłaś, to jeszcze nie mam nic, może jutro lub pojutrze. Nie mogę się dodzwonić do kolegi.

– Pewnie prędkiej wrócę do kraju. – Głośno westchnęła w słuchawkę i dodała: – No dobra, muszę kończyć, bo zapłacę fortunę. Pozdrów wszystkich i uściskaj moje zwierzaki.

Wyszła z poczty, stanęła na środku chodnika, zapaliła ekstra mocnego, głęboko się nim zaciągnęła i się zamyśliła. Czemu Opara pozbył się wszystkiego? Czyżby planował, że nie wróci z Kuby? Co tu chciał robić? Przecież tu jest dużo gorzej niż w Polsce. Owszem, klimat wspaniały, ale nic poza tym. Chyba że mu się Kuba pomyliła z Zachodem? Gdyby chodziło o Marińskiego, to nie wykluczyłaby tej możliwości, ale Opara był od niego dużo inteligentniejszy. Nieraz zastanawiała się, czy on przypadkiem nie udaje głupiego milicjanta, bo tak mu jest wygodniej, ale teraz w sumie to wszystko jedno, Opara zjedzony, przetrawiony i wysrany, temat zamknięty.

– Pani mecenas! Pani mecenas!

Ktoś krzyczał. Głos dochodził zza jej pleców. Odwróciła się, to Wokulski. Z daleka machał do niej ręką. W chwilę potem zziajany dobiegł do niej.

– Kto tym razem został zjedzony? – spytała z przekąsem.

– Na szczęście nikt. Chciałem coś pani powiedzieć na osobności.

– No to mów, chłopie. Tu na ulicy nikt nie zna języka polskiego.

– Czegoś się dowiedziałem o tej Małeckiej. Będzie pani zaskoczona.

Zuza roześmiała się w głos.

– Wątpię, ta pani już mnie chyba niczym nie zaskoczy. Za to pan? To kto wie.

– Nie rozumiem. – Spojrzał na nią zdziwiony. – Proszę mówić jaśniej.

– Chce mi pan powiedzieć jakieś rewelacje na temat pani Małeckiej, a po cichu kręci pan z nią jakieś lody.

Zbladł.

– Skąd pani o tym wie? – wydukał.

– Ktoś was widział i mi doniósł. Może najpierw o tym porozmawiamy?

– No wie pani, sama gaża przewodnika to jest jedno wielkie gówno. Trudno tu za to wyżyć, bo tych wycieczek jest jak na lekarstwo, więc sobie dorabiam na boku. Taki mały handelek, trochę złoto, trochę dewizy, trochę marihuana i inne takie rzeczy. Właściwie tu jak ma się odpowiednie kontakty, to można na wszystkim zrobić interes. Na Kubie jak i w Polsce wszystkiego brakuje i na wszystko znajdzie się klienta. Sama pani wie, ile kosztują oryginalne kubańskie cygara? Sam ich przemysł za granicę to złoty interes.

– Co pan sprzedał Małeckiej?

Wokulski spuścił głowę i zamilkł.

– Kurwa mać, a co z panem? Mów pan, do cholery, co kupiła od pana?

– Nie mogę tego powiedzieć. Nie ma mowy! Jeśli bym to pani zdradził i by się to wydało, to skończyłbym jak ten Opara albo ten goguś, którego potraktowano maczetą, czy też pani Dworzczyk. Nie ma mowy, tego się pani ode mnie nie dowie.

– To co chciał mi pan powiedzieć? – spytała, mocno rozdrażniona jego uporem.

– Jedna z osób z wycieczki harcerskiej rozpoznała tę panią Małecką. Znają się dobrze, rozmawiali ze sobą, a ja stałem niedaleko nich. Ona była bardzo spanikowana i groziła tamtej, że jak coś o niej piśnie, to w kraju nie wyjdzie z pierdła.

– W kraju? – Zuza się zdumiała. – Na pewno dobrze pan słyszał?

– Bardzo dobrze. Ona chyba jest ze służby bezpieczeństwa, tak zrozumiałem i teraz mam stracha. Nigdy bym z kimś takim nie handlował, bo jeśli to prawda, to już po mnie. Na pewno odwołają mnie do kraju i wsadzą za kraty. Już się dowiedziałem, ile mogę za to dostać. Nieprędko wyjdę.

W co jak w co, ale w to nie uwierzyła. Wokulski świadomie starał się jej kit wcisnąć. Ciekawe czemu? Może chciał odwrócić jej podejrzenia od kogoś innego?

– Jeśli to prawda, co pan słyszał, to może mieć pan problem, ale tylko tu. W Polsce nie powinni pana skazać za to, co tu się wydarzyło. Proszę się tego nie bać. W razie czego, wybronię pana. Nie chwaląc się, ale jestem w tym dobra.

– Wiem, słyszałem o pani, ale najpierw musi pani cało wrócić do kraju. Przepraszam, ale muszę już iść.

Skinął głową na pożegnanie i nim Zuza zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, zniknął w tłumie przechodniów.

Co ten sukinsyn miał na myśli?, zastanawiała się, idąc do hotelu. W holu znów natknęła się na wycieczkę z Płocka. Śpiewali Płonie ognisko w lesie i potrząsali proporcem chorągwi.

– Oni są jak robactwo w stołowie, wszędzie ich pełno – mruknęła pod nosem, starając się przez nich przecisnąć do windy.

– Kto idzie na wycieczkę do portu handlowego popatrzeć na wielkie oceaniczne statki, to proszę na lewo – powiedział donośnie Wokulski.

To coś dla niej. Natychmiast do niego podeszła.

– Panie Kamilu, zmienił pan wycieczkę?

– Nie, ale tamten przewodnik ma rozstrój żołądka i prosił mnie, żebym go zastąpił.

– Idę z wami – oznajmiła mu.

Nie wyglądał na zadowolonego.

– Ale pani mecenas, pani nie należy do tej grupy. Tak nie można – próbował zaprotestować.

– Po pierwsze nie należę do nikogo. A po drugie idę z wami i basta. Wyrzuci mnie pan? – spytała zaczepnie.

– No nie – bąknął. – Ale przecież, o ile wiem, to pani już tam była.

– Kurwa mać i co z tego? Mam ochotę obejrzeć port po raz drugi.

– Niech będzie, tylko proszę trzymać się grupy.

– Przecież nie zamierzam się zaokrętować, a w ogóle to cierpię na chorobę morską.

To była prawda, ale kiedyś. Kiedy El Comandante wziął ją na pierwszy rejs jachtem Hemingwaya, rzygała jak kot, i to prosto za burtę. Fidel się śmiał, że to była idealna przynęta na marlina, którego później złowili. Następnym rejs zniosła już dobrze.

Po kwadransie grupa z piosenką Płonie ognisko w lesie na ustach ruszyła w stronę portu. Wszyscy oni prócz Zuzy ubrani byli w zielone mundurki. Prawie wszyscy palili papierosy, niektórzy pociągali z piersiówek. Domyślała się, że te napoje mają blisko tyle samo procent alkoholu co ci harcerze lat. Gdyby to widzieli prawdziwi harcerze! Ale oni tego nie zobaczą. To, co wydarzyło się na Kubie, pozostaje na Kubie.

Kiedy doszli do portu, Wokulski pokazał strażnikom jakiś papier i ich wpuszczono. Wolnym spacerowym krokiem zaczęli przechadzać się wzdłuż nabrzeża. Zuzę interesował tylko jeden statek.

To był „Feliks Dzierżyński” masowiec pod radziecką banderą. Trudno powiedzieć, że była tym zaskoczona, bo tak naprawdę to nie miała pojęcia, czego się spodziewać. Przynajmniej jednego się dowiedziała: skoro Niemiec chadza po kryjomu na ruski statek, to wszystko wskazuje na to, że romansuje z komuchami. Ciekawe, czy Pawłowicz o tym wie? Podejrzewała, że tamta nie ma o tym zielonego pojęcia.

Zatrzymała się i spojrzała na jego pokład. Korciło ją, żeby wspiąć się po trapie i na niego zajrzeć, ale to się mogło źle dla niej skończyć, tu nawet El Comandante mógłby jej nie pomóc.

– Nawet niech pani o tym nie myśli.

Usłyszała. To Wokulski, stał obok niej. Najwyraźniej domyślił się, co jej po głowie chodzi.

– Nie przesadzasz?

– Wcale. To są sukinsyny, i to do kwadratu. To nie jest zwykły statek, niech pani zerknie na jego anteny. On tu jest zacumowany od kilku lat.

Faktycznie, jego nadbudówka była naszpikowana masztami. Spojrzała na inne jednostki, tamte nie miały czegoś takiego.

– Zna się pan na tym?

– W wojsku byłem w jednostce zajmującej się radiolokacją. To jest wyposażenie szpiegowskie. To jest jednostka wojskowa, a nie statek handlowy. Lepiej chodźmy stąd, bo się nami zainteresują. Dwa lata temu jeden dziennikarz z NRD zajrzał na jego pokład i dwa dni później zniknął, wszelki ślad po nim zaginął. Ponoć zjadł go rekin, w co szczerze wątpię.

– Czy sugeruje pan, że pani Dworczyk zajrzała na ten statek?

– Ależ skądże. Tu w oceanie co roku giną setki Kubańczyków, drugie tyle zostaje kalekami.

Chodźmy już. Lepiej tu długo nie stać. – Pociągnął ją za rękaw sukienki.

Dołączyli do grupy.

Zuza siedziała na hotelowym tarasie, piła stocka i paliła cygaro. W głowie miała niezły galimatias. Pewne teorie, które sobie w myślach budowała, runęły dziś, kiedy była w porcie, bo Niemiec okazał się komunistycznym agentem. Co tu robił na tej przekletej wycieczce? To wszystko nie miało sensu, chyba że wśród uczestników był ktoś bardzo dla nich cenny. Kto mógł nim być? Na pewno nie ona, Pawłowicz chyba też nie. Na razie zostali tylko rodzice Ireny. Czyżby chodziło o nich? Dyrektor w centrali handlu zagranicznego i główna księgowa byli wariaci takiego zainteresowania? Nie, to musiało być jeszcze coś innego. Kurwa mać, w co ona wdepnęła? Nigdy wcześniej nie miała do czynienia z takim sprawami. Łapała zabójców, ale nie szpiegów. To stanowczo nie była jej bajka. W tym momencie wszystko stawało na głowie do tego stopnia, że zaczęła się zastanawiać, czy Pawłowicz faktycznie uciekł z Polski, czy może jedynie to upozorowano. Jeśli upozorowano, to na pewno tamtej nie było na rękę spotkanie jej tu na Kubie, a może to też było celowe. I bądź tu mądry.

No właśnie, dlatego wołała ścigać zwykłych morderców, przynajmniej w ich działaniu z reguły była jakaś logika, tu zaś trudno było jakąkolwiek znaleźć. Znowu nalała sobie szklaneczkę. Na pobliskiej palmie siedziała czerwona ara i ciskała jakimis pestkami w przechodniów. Złośliwa kanalia, wypisz wymaluj Zgaga. Ktoś z obsługi hotelu chwycił długą żerdź i chciał ją przegonić.

– Kuuutas! Kuuutas! – wydarła się na całą ulicę i odfrunęła.

Zuza zobaczyła Mariańskiego i Wokulskiego, szli w kierunku miasta. Pewnie na następny zastrzyk, zaśmiała się w duchu. Wiedziała o tym, że Wokulski go postraszył, że mu penis odpadnie. Jego choroba od wczoraj stała się tajemnicą poliszynela. Kiedy się zjawiał na obiad czy śniadanie, wszyscy wymieniali między sobą ukradkowe uśmiešky. W kawiarni naprzeciwko siedziała Irena z rodzicami. Czyżby się w końcu pogodzili? To dobrze, bo nie powinna sama się kręcić po mieście. Santiago, jak każde portowe miasto, nie było najbezpieczniejsze.

Zobaczyła też Niemca, znowu dokąds się wybierał. Odstawiła szklaneczkę, przygasiła cygaro i ruszyła w ślad za nim. Tym razem nie uszedł daleko, jedynie dwie ulice. Była tam jakaś obrzydliwa mordownia. Zuza nie wiedziała, co bardziej odstraszało, wygląd lokalu czy jego klienci, ich zakazane pijackie gęby. Nie mogła podejść blisko, więc schowała się w bramie kilka domów dalej. Stąd widziała, że obserwowany przez nią mężczyzna spotkał się z innym, to na pewno był Kubańczyk. Długo o czymś rozmawiali, potem podali sobie ręce i Niemiec wyszedł. Rozejrzał się,

sprawdzając, czy nikt go nie obserwuje. Zuza szybko cofnęła się głębiej w bramę. Chyba jej nie zauważył, ale nie była tego do końca pewna. Odczekała chwilę i ponownie wyjrzała, ale już go nie było. Natomiast tamten nieznaną jej mężczyzna wciąż był w knajpie. Dosiadł się do niego inny, widać było, że się dobrze znają. Coś wypili, zjedli i mężczyzna opuścił lokal, a Zuza jak cień podążyła za nim. Od razu po chodzie poznała, że to marynarz, od razu pomyślała o statku „Feliks Dzierżyński”, ale nie wyglądał na Rosjanina. Skręcił do portu, ale do rybackiego, i wsiadł na jeden z kutrów.

Zuza usiadła na nabrzeżu i czekała, nie bardzo wiedząc, co dalej czynić. Zapaliła ekstra mocnego i co chwila spoglądała w stronę łodzi o dumnej nazwie „Santa María”. Po jakimś czasie przyplątał się do niej jakiś Kubańczyk z gitarą w rękę i cały czas się do niej uśmiechał. Mógł mieć około pięćdziesięciu lat. Usiadł koło niej i na migi poprosił o papierosa. Poczęstowała go i w napięciu, z ciekawością czekała na jego reakcję. Zawiodła się, bo zapalił, zaciągnął się i nic. Sukinsyn musiał mieć stalowe płuca albo był przyzwyczajony do tak mocnych papierosów. Puścił do niej oko, domyślił się podstępu. Był coś za inteligentny jak na ulicznego grajka i za dobrze grał. Patrzyła na jego palce mknące po strunach, były bardzo delikatne, one zapewne nie widziały ciężkiej fizycznej pracy lub jej już nie pamiętały. Podniosła się i wolnym krokiem poszła w stronę miasta, co chwila z niepokojem zerkając za siebie, ale mężczyzna został na nabrzeżu. Wydawało jej się, że kiedyś już tego muzyka gdzieś widziała, ale za żadne skarby nie mogła sobie przypomnieć gdzie. Dałaby sobie głowę uciąć, że wtedy nie trzymał gitary w rękę.

Idąc do hotelu, zobaczyła kilku członków harcerskiej ekipy, między innymi tego Polakowskiego z Urzędu Miasta. Siedzieli już niezłe podchmieleni w jakiejś speluncie, trzymając na kolanach powabne Kubanki. Dziewczyny kleiły się do nich niczym muchy do lepu. Oj, panowie harcmistrze przywiozła do Polski nie tylko prezenty, ale i zaliczą dużo nowych sprawności, to są prawdziwi harcerze. Nagle tuż obok Zuzy zatrzymała się czarna wołga i uchyliły się tylne drzwi. Zajrzała do wnętrza, momentalnie uderzył ją w nozdrza zapach doskonałych cygar. Serce od razu mocniej jej zabiło.

– Moja Zuzi. – Usłyszała głos, który zawsze działał na nią jak jakiś afrodyzjak. Nawet się chwili nie zawahała. Wsiadła do auta, a ono zaraz ruszyło.

El Comandante objął ją swym silnym ramieniem.

– Jedziemy zagrać w bejsbol. Nie wiem, czy ci mówiłem, ale kiedy studiowałem w tej obrzydliwej imperialistycznej Ameryce, to chcieli mnie wziąć do reprezentacji uczelni. Tak byłem dobry – szeptał jej do ucha.

– A co to za statek stoi w porcie? – spytała go nagle.

– Jaki statek? – odparł, zdziwiony, pytaniem. – Nie wiem, o czym ty mówisz.

– „Feliks Dzierżyński”.

Twarz El Comandante na chwilę nabrała surowości.

– Zapomnij o nim. Omijaj go wielkim łukiem. Nie chcę, żeby moja Zuzi miała kłopoty. Życie jest piękne, a my mamy się bawić. Jutro ja ci pokażę, gdzie się ukrywałem przed rewolucją. Tam jest muzeum rewolucji. Ja ci pokażę zdjęcia moich towarzyszy, tych, co już nie żyją, jak choćby Che Guevary. Wiesz, że on był lekarzem, i to dobrym?

– Obrzydliwy bandzior i komuch – warknęła. Niejedno o nim słyszała i nigdy nic dobrego.

– Oj Zuzi, moja Zuzi. – El Comandante się roześmiał, mocno ją przytulając, po czym starał się ją pocałować. – Jak ty nie lubisz komunistów, a jak ty mnie kochasz. Ja nigdy nie zrozumieję kobiety.

– Ja też siebie nie rozumiem – wyszeptała.

Kiedy Zuza wracała do hotelu, nagle siłą wciągnięto ją do jakiejś kamieniczki. Była tak zaskoczona, że nawet się broniła. Zresztą na nic by się to zdało, bo pojmało ją trzech silnych mężczyzn. Wszyscy oni mieli maski skrzętnie skrywające przed nią ich twarze. To dawało nadzieję, że być może mają w planie na powrót obdarzyć ją wolnością. Inaczej by nie przywiązywali do tego żadnej wagi.

Wszyscy od południa szukali Zuzy. Irena pierwsza wszczęła alarm. Że mecenas Lewandowska nie nocowała w hotelu, to jej zbyt nie zdziwiło, ale że się na obiad nie zjawiła, to było już mocno niepokojące. Najpierw tylko studentka i Wokulski uczestniczyli w poszukiwaniach, później dołączyła do nich reszta, w tym wycieczka harcerzy. Przeczesywali miasto do nocy, ale bezskutecznie. W końcu zawiadomili policję, ale ich poszukiwania też nie przyniosły żadnego rezultatu.

Zuza siedziała przywiązana do krzesła na środku dużego pokoju w nieznanym jej mieszkaniu i w napięciu czekała na to, co się wydarzy. W końcu drzwi się rozwarły i pojawił się mężczyzna, ten sam, co przygrywał na gitarze w porcie. Tym razem się nie uśmiechał, był śmiertelnie poważny.

– Dzień dobry – odezwał się do niej po polsku. – Przepraszam, że tak panią potraktowaliśmy, ale proszę mi wierzyć: to dla pani bezpieczeństwa.

Mówił idealnie po polsku, akcent pierwsza klasa.

– Faktycznie, skrzępowana czuję się bardzo bezpiecznie – zakpiła.

Roześmiała się.

– Słynie pani z ciętego języka, ale nie tylko.

Otworzył papierową teczkę, którą dotąd cały czas dzierzył w dłoni.

– Właściwie mam tu wszystko o pani, pani rodzicach, nawet o pociotkach. Trzeba powiedzieć, że szacowna rodzina, ręce same składają się do oklasków.

– No to klaszcz, sukinsynu, ale najpierw mnie uwolnij.

– Bez obaw, i na to przyjdzie czas. Chciałbym mieć gwarancję, że na spokojnie wysłucha pani tego, co mam do powiedzenia.

– Nie zostałam spytana, czy chcę tego słuchać. A w ogóle, kim jesteś? Ja ciebie nie znam, ale i mnie ręce się składają, tyle że w pięści. Rozwiąż mnie sukinsynu, bo chcę zapalić.

– Nie zajmę pani dużo czasu. Ma pani szansę się zrehabilitować.

– Że co? – wydukała Zuza. – A o czym ty mi tu pieprzysz? Rozwiąż mnie, i to natychmiast.

– No wie pani, taka zażyłość z komunistycznym watażką to spora plama w życiorysie.

– Kurwa mać, kim ty, do cholery, jesteś?

– Powiedzmy, że pracuję dla pewnego zachodniego państwa. – Uśmiechnął się tajemniczo.

– No i? Wyduś w końcu dla kogo. Lubię wiedzieć, z kim rozmawiam.

– Ten kraj leży niedaleko Kuby.

– Przynajmniej jedno już wiem. Spytałabym, jak się nazywasz, ale nie warto, bo i tak skłamię. Lepiej spytam: czego ode mnie chcesz? Streszczaj się, bo mnie aż ssie na palenie. Cholerny nałóg.

– Chcemy pani zaproponować życie w wymarzonej Ameryce. Co pani na to?

– To chyba jakieś nieporozumienie? Ja nigdy nie chciałam tam zamieszkać.

– No jak to nie? – zdziwił się. – Od lat starała się pani o paszport.

– Owszem, ale nie żeby wyjechać na stałe. Skoro wszystko już sobie wyjaśniliśmy, to odwiąż mnie i wracam do hotelu.

– Spokojnie, jeszcze nie teraz. Czy wie pani, ilu ludzi przetrzymuje w więzieniach reżim Fidela Castro?

– Nie, ale pewnie sporo, tak jak każdy reżim. Co jeszcze?

Zuza była coraz bardziej wściekła, bo zawsze ponad wszystko ceniła wolność, a nawet ci obrzydliwi komuniści nigdy nie odważyli się przywiązać jej do krzesła.

– Potrzebujemy pani. Tylko pani może uwolnić ten biedny naród od tego despoty.

– Ja? – Parsknęła mu śmiechem prosto w twarz. – Czy dobrze zrozumiałam? Chcecie, żebym zabiła El Comandante? Popierdoliło was, i to kompletnie. Gdybym miała mordowanie we krwi, tobym prędzej zabiła Jaruzelskiego lub któregoś z jego sługusów, a nie Fidela Castro.

– Zawrócił pani w głowie? Nie pierwszej i nie ostatniej, do tej pory miał kobiet na pęczki. Teraz kiedy pani tu jest, on pewnie już jest z inną i ją czaruje.

– Może i tak, ale to nic nie zmienia. Kuba to piękny kraj i nic więcej. Dziwię się, że się akurat do mnie z tym zwróciliście. Jeśli liczyliście, że się zgodzę, to jesteście skończonymi głupcami. – Zuza ponownie parsknęła śmiechem. – Może gdybym miała rodzinę, to moglibyście mi czymś zagrozić, a tak to możecie mnie jedynie cmoknąć w zadek i tyle.

– Nie szkoda tak niszczyć opinię o rodzinie Lewandowskich? Jeśli ta sprawa wypłynie w pani mieście, to będzie pani skończona.

– Czyżby? Myślisz, gnoju, że sobie z tym nie poradzę? A może myślisz, że stracę klientów?

Jeśli tak uważasz, to znaczy, że zawartością tej teczki możesz sobie dupę podetrzeć. Mój ojciec zawsze mi powiedział, że polityka to najgorsze szambo i należy się od niej trzymać z daleka. I ja to całe życie czynię. Odwiąż mnie wreszcie, bo moja cierpliwość jest na wyczerpaniu.

– Proszę mnie wysłuchać do końca. Na Castro było już ponad pięćset zamachów i zawsze wyszedł z nich bez szwanku. Wielu dzielnych ludzi zginęło i na próżno. Pani ma do niego dostęp, wystarczy rozkruszyć ampułkę i jej zawartość wsypać mu do picia. Jeszcze tego samego dnia wywieziemy panią z Kuby. W Ameryce damy dom, pozwolenie na pracę i na początek dużą kwotę dolarów na koncie. Będzie pani mogła rozpocząć nowe życie.

– Nie i jeszcze raz nie! Stanowczo odmawiam. Sukinsynu, powiem ci tylko, że jestem wami bardzo rozczarowana. Jeśli szukaliście drugiego Oswalda, idioty, którego na tyle omotacie, że stanie się bezwolnym narzędziem w waszych



łapach, to zupełnie pomyliliście adres. Zuza Lewandowska nigdy z nikim nie spiskuje przeciwko komukolwiek, taka już jestem, a teraz mnie rozwiąż.

Wyraz twarzy mężczyzny gwałtownie się zmienił. Dotąd przyjazna maska zmieniła się w ponurą.

– Problem w tym, że się zdemaskowałem. Nie mam gwarancji, że pani tego nie wykorzysta – rzekł, a w jego głosie zabrzmiała groźna nuta. – Za późno...

– Myślisz, że doniosę na ciebie? Nic z tych rzeczy, ale w końcu mnie uwolnij, bo już jestem nieźle wkurwiona.

– Przykro mi, ale pani nie wierzę. Jeśli komuniści dowiedzą się, kim jestem, to pięć lat pracy wielu ludzi weźmie w łeb i trzeba będzie to budować od nowa, a nie możemy sobie na to pozwolić. To jest za duże ryzyko.

Zuza w mig się zorientowała w jego zamiarach. Sukinsyn chce ją uciszyć, i to na amen. Kurwa mać, oni są tacy sami jak komuchy. Niczym się nie różnią.

– A więc należy mnie ukatrupić? Tak jest najprościej?

Nic na to nie odrzekł. Podszedł do krzesła stojącego pod ścianą i wziął z niego długi metalowy drut, z wyglądu przypominający strunę fortepianową. Cholera, to się dzieje naprawdę, ten sukinsyn chce ją zamordować, i to za pomocą garoty. Znała to okrutne narzędzie zbrodni, zaczęła się szarpać, starając się uwolnić, ale bez skutku. Wtem ktoś zajrzał do pokoju i wywołał mężczyznę. Ten natychmiast rzucił drut na podłogę i wybiegł. Zuza została sama.

Co się dzieje?, zastanawiała się. Co było ważniejsze od przyjemności pozbawienia jej życia?

Znów drzwi się otwały i zobaczyła... Mariańskiego. Tak, nie myliła się, dobrze widziała. Zresztą przy jego gabarytach trudno było o pomyłkę. Kapitan wkroczył do pokoju, i to w asyście dwóch policjantów. W tym momencie jego mina była bezcenna. Nie spodziewał się, że oto uratował życie zniechęconej mecenas. Policjanci rozciągli sznur i ją uwolnili. Wezwano zaraz Wokulskiego, jako tłumacza. Jak się później okazało, kapitan śledził Zuzę. Jednak nie zauważył samego momentu porwania i myślał, że dobrowolnie weszła do kamienicy. Podejrzewał, że spiskuje przeciwko władzy, więc pobiegł po policję. Łudził się, że jak nie w Polsce, to tu przyskrzyni swojego największego wroga. Niestety, znów los spletał mu paskudnego figla.

Zuzę zasypano mnóstwem pytań, ale za wszelką cenę starała się wykręcać od odpowiedzi. Od razu na wstępie oznajmiła, że twarzy żadnego z porywaczy nie widziała, więc ich nie rozpozna. Kiedy spytano ją o cel tej napaści, to uparcie twierdziła, że to był rabunek i nic więcej. Czy uwierzyli? Mało ją to obchodziło, ale w końcu chyba uwierzyli.

Było późne popołudnie, kiedy wreszcie mogła opuścić kamienicę. Na ulicy natknęła się na dobrze już jej znaną grupę harcmistrzów. Szli w stronę oceanu, śpiewali: „Czerwona róża biały kwiat, tarara, wędruj harcerko, harcerko wędruj...” i podejrzenie chwiali się na nogach. Pomachali do niej proporcem i ją minęli.

Nareszcie dotarła do hotelu. Była śmiertelnie zmęczona, ale wiedziała, że coś jeszcze musi sprawdzić, nim pozwoli sobie na odpoczynek, bo jutro może być na to za późno. Wypiła szklaneczkę stocka, wypaliła cygaro i ruszyła w stronę portu rybackiego. Zabrała ze sobą Wokulskiego. W pierwszej chwili opierał się, za wszelką cenę chciał się od tego wymigać, ale mu zapłaciła, i to w dolarach, a był na nie wyjątkowo pazerny. Kuter „Santa María” wciąż był przycumowany do nabrzeża. Uważała, że kryje on wiele tajemnic, i chciała choć część z nich poznać. Ażebym tego dokonać, musiała wejść po trapie na jego pokład, ale zanim to uczyniła, rozejrzała się czujnie po okolicy. Nigdzie nie zauważyła mężczyzny, który próbował ją namówić do zabójstwa El Comandante. Pewnie teraz przyciął się w jakiejś dobrze zakamuflowanej kryjówce, żeby przeczekać to całe zamieszanie. Nie mógł przecież wiedzieć, co Zuza zeznała policjantom.

– Miej oczy otwarte na wszystko. Bądź czujny – rzekła do Wokulskiego, po czym weszła na kuter.

Wróciła po kwadransie, a tym, co tam ujrzała, była do głębi wstrząśnięta. Usiadła na najbliższym murku i nagle wybuchnęła śmiechem.

– Czemu się pani śmieje? Co pani tam zobaczyła? – zaczął się dopytywać Wokulski, gdyż jej zachowanie było co najmniej zdumiewające.

– Nic takiego, nieważne – bąknęła i dalej się śmiała. Po dłuższej chwili w końcu się uspokoiła, wstała z murku, otrzepała sukienkę i sięgnęła do torebki po ekstra mocne.

– Papieroska?

– Nie, dziękuję. To za mocne dla mnie. Nie powie mi pani, skąd ten śmiech? Może i ja pójde tam zajrzeć?

– Nawet się nie waży! – ryknęła na niego. – To, że się śmieję, nie jest związane z tym kutrem. Po prostu coś sobie przypomniałam. Może z boku to wyglądało dziwnie, ale taka jest prawda. Chodź, wracamy do miasta. Chyba za chwilę będą podawać kolację, a ja jestem cholernie głodna. Bądź co bądź, ten dzień był dla mnie pełen mocnych wrażeń.

Nim weszli do hotelowej restauracji, natknęli się na Irenę.

– Czy to prawda? Pan Mariański opowiada okropne rzeczy, od ich słuchania ze strachu aż mnie ciarki przechodzą.

– Nie wiem, co on opowiada – mruknęła Zuza pod nosem i weszła do lokalu, a dziewczyna podążyła spieszenie za nią.

– Podobno uratował pani życie. Gdyby nie on, to bandyci by panią zamordowali. To wszystko prawda?

– W pewnym sensie tak. Pewnie nie wspomniał o tym, że nie taki cel mu przyświecał. Wymyślił tym swoim miniaturowym mózgiem, że coś kombinuję przeciw władzy. Sama nie wiem co, może jakiś spisek, i chciał mnie złapać na gorącym uczynku, ale mu się nie udało. Tymczasem okazało się, że to zwykli rabusie. Nie wiem, czemu się tym chwali, przecież znów poniósł smrotną porażkę.

– Ale pani żyje i chwala Bogu.

– Moja droga, nie mieszaj do tego Boga, po prostu miałam szczęście. Siadajmy do stolików, bo kiszki mi marsza gają, dziś to nawet zjem chleb kukurydziany z tym przeklętym dżemem bananowym.

Kapitan Mariański nachylił się nad kartką i pisał następny tajny raport.

#### Tajny raport w Kuba.

Dzisiaj pszy współpracy tutejszej polici rosbiliżmy szaike bandytów, ktuży wienzili jedno obywatelke nijaką Lewandowską. Wcionż ślecimy tom obywatelke Lewandowsko. Wnioskowiłmy do polici o pszeszłuhanie zabujcy obywatelki Dworczyk nijakiego rekina, ale oni nie chco ze mno współpracować. Tu dokoła mnustwo rurznych elementuw w tym muzynuw. Potszebujemy wiencej dolaruw na opserwacje.

Zuza, wracając z kolacji, przy wchodzeniu do windy zderzyła się z mężczyzną akurat z niej wychodzącym. Niespodziewanie wcisnął jej coś w dłoń i zanim się zorientowała, o co chodzi, opuścił hotel. To się rozegrało tak szybko, że nawet nie zapamiętała jego twarzy. Pojechała do góry, trzymając szarą kopertę. Otworzyła ją, i to bardzo ostrożnie, dopiero w pokoju i wysypała jej zawartość na dłoń. To była ampulka z jakimś proszkiem. Od razu się domyśliła, że to cyjanek potasu lub coś o podobnym działaniu. Przekaz był oczywisty. Widać, że sukinsyny z niej jeszcze nie zrezygnowali. Dziwne, bo przecież chyba wyraziła się jasno, mało tego, jeszcze kilka godzin wcześniej chcieli ją zamordować. Tak czy owak nie zamierzała im pomagać. Poszła do łazienki i podniosła deskę klozetową z zamiarem pozbycia się ampulki. W ostatniej chwili rozmyśliła się, to zawsze zdąży zrobić. Wzięła butelkę stocka i cygara, po czym udała się na balkon patrzeć na zachód słońca, a przy okazji przeanalizować od początku wszystko to, co się tu wydarzyło. Z racji dzisiejszych wydarzeń było to całkowicie uzasadnione. Nalała sobie i upiła łyk.

– Mnie też nalej – usłyszała.

Odwróciła się. El Comandante stał tuż przed nią i uśmiechał się. Nachylił się i wtedy poczuła jego zapach, jego gesty zarost otarł się o jej szyję, to było jak zawsze bardzo ekscytujące, nie mówiąc już o gorącym pocałunku.

Podniosła się z fotelika i poszła po szklaneczkę, bo nie było tu kieliszków. Nie cierpiała ich, bo były ciężkie, wykonane z grubego szkła i wyglądem przypominały musztardówki. Na szafce leżała koperta z ampulką, dyskretnie schowała ją do szuflady. Co by było, gdyby El Comandante to zobaczył? Byłoby mnóstwo pytań. Czyby jej uwierzył? W to wątpiła.

– Od teraz, moja Zuzi, masz ochronę. Mój człowiek będzie cały czas chodził za tobą. Gwarantuję ci, że żadna krzywda cię więcej nie spotka – oznajmił jej, gasząc cygaro i przypalając nowe.

– Nie trzeba – zaprotestowała. – Dam sobie radę.

– Wierzę, ale ja wtedy będę spokojny. Czy już podjęłaś decyzję? Czy zostaniesz moją żoną?

Chwyć ją w ramiona...

Kiedy się Zuza obudziła, słońce było już dość wysoko na niebie. Zerknęła na łóżko, ale El Comandante tak jak zawsze ulotnił się nad ranem. On dużo nie sypiał, on był jak jakaś maszyna, a nie człowiek. Kiedy zeszła na śniadanie, już przy stoliku dopadła ją Irena.

– Pani mecenas, co się dzieje? Przez całą noc hotel był obstawiony przez wojsko. Sprawdzali każdego, kto wchodził lub wychodził. Kobietom nawet do torebek zaglądan.

– Nie mam pojęcia – skłamała i zabrała się do jedzenia.

– A może znów kogoś zabito? – Dziewczyna zaczęła się zastanawiać. – Zobaczymy, czy nikogo nie brakuje.

Zuza wzruszyła ramionami.

– Może i tak, kto wie. Swoją drogą, to jak dotąd tylko ten podstarzały goguś został zarżnięty, bo reszta to ofiary wypadków. W każdym razie tak twierdzą władze. Ale zakładając, że nie mają racji, to jak myślisz, kogo tym razem zamordowano? Prócz nas zostali już tylko twoi rodzice, Mariański i ten niby Niemiec ze swoją grubą towarzyszką Pawłowicz vel Małecką. Jeśli wśród nas jest zabójca, to z tego grona spada jedna osoba.

– A pan Kamil?

– Wokulski? Nie sądzę, żeby on był zabójcą.

– No to nie wiem.

– Nie przejmuj się, lepiej nasmaruj się kremem i idź na słońce. Nie marnuj czasu, bo niebawem trzeba będzie wracać do Polski.

– Ale ja się boję, pani mecenas. A jak ktoś mnie napadnie?

– Spokojnie. Tu krokodyli nie ma, a do oceanu nie włącz, to ustrzeżesz się przed rekinem.

Irena odeszła do stolika rodziców, a do Zuzy od razu przysiadł się Wokulski.

– Dziś w nocy jeden z kutrów wymknął się na morze i przepadł – szeptał. – Na mieście mówią, że uciekł do Ameryki.

– No i co z tego? Czemu mi to mówisz? O ile wiem, to nie jestem w zarządzie portu – zakpiła.

– Ale to ponoć „Santa María”.

– I co z tego? O co ci tak naprawdę chodzi? Wał prosto z mostu, bo coś mi tu owijasz w bawełnę.

– To przecież ten kuter, na którym pani wczoraj była.

– Tak? – Uśmiechnęła się doń szeroko. – Nie przypominam sobie. Chyba coś ci się, kochasiu, pomyliło. Ja przecież nie byłam na żadnym kutrze. Może to ktoś inny?

– Co proszę? Przeci... – urwał w pół słowa. Patrzył na nią zdumiony. Nic z tego nie rozumiał. W końcu podniósł się z krzesła i mrucząc coś sam do siebie, wyszedł z restauracji.

– Panie Kamilu! – Jeden z harcmistrzów złapał Wokulskiego przed hotelem. Chwycił go za ramię i odciągnął na bok, żeby przypadkiem nikt nie usłyszał tego, co ma mu do powiedzenia.

– My z kolegami mamy problem – zaczął mu szeptać do ucha. – Chyba coś tu złapaliśmy. No wie pan. – Mrugnął do niego znacząco. – Przecież nie możemy tak wrócić do kraju. Nie zna pan jakiegoś lekarza? Dobrze zapłacimy.

– Złapaliście chorobę weneryczną?

– Ciszej! – Tamten rozejrzał się nerwowo. – Ktoś może to usłyszeć. Chyba nam się to cholerstwo przytrafiło. Tak w każdym razie twierdzi druh Antosik. On już kiedyś, kiedy był w Gruzji na wymianie młodzieży, miał podobne objawy. Tyle że tym razem wystąpiły one dużo szybciej. Potrzebujemy lekarstwa, i to pilnie.

– To może być tropikalna odmiana syfa, ona atakuje dużo szybciej. Nazywają ją mięsożerną, bo zjada tkanki.

Harc mistrz nagle zaczął się cały trząść.

– Czy to znaczy, że może mi tego, no...? – wydukał.

– Owszem. Nieleczona nawet na pewno. Niejednemu już odpadł.

– Ratuj pan. – Harcmistrz zaczął go szarpać za rękę. – Cena nie gra roli! Błagam!

– Dobrze, zobaczę, co da się zrobić, ale na pewno nie będzie tanio. Idę poszukać specjalisty, bądźcie tu za godzinę. Wrócił po dwóch.

– Aż tyłu? – spytał zdumiony, bo stała przed nim cała grupa z Płocka ubrana w zielone harcerskie mundurki. Wszyscy mieli zawstydzone miny. Tym razem nikt nie śpiewał *Plonie ognisko w lesie*, mimo że ich konary były rozgrzane do czerwoności. Szkoda, że o skutkach nie pomyśleli, nim przyczyny wzięli na kolana. Pewnie felczer się mocno zdziwił, jak mu przyprowadzi taką wycieczkę. Ciekawe, czy ma tyle antybiotyku?, pomyślał.

– Dwadzieścia dolarów od każdego na początek – oznajmił im.

– Aż tyle?! – wykrzyknął druh Antosik. – To zdzierstwo!

– Można się nie leczyć. Nie ma sprawy. Nie targujcie się, bo taniej nie będzie.

Chwilę się po cichu naradzali, aż w końcu zebrali wymaganą kwotę i podali ją Wokulskiemu.

Powoli ją przeliczył i schował do kieszeni.

– Zgadza się. Wycieczka, idziemy w miasto. Trzymać się razem. Niech nikt się mi po drodze nie zgubi – rzekł kpiąco i ruszył jako pierwszy.

Kiedy doszli na miejsce, akurat dom felczera opuszczał Mariański. Widząc tak liczną grupę, kapitan stanął zdumiony i z wrażenia aż zaniemówił.

Patrzył na nich zachłannym wzrokiem, starając się zapamiętać wszystkie twarze. Przecież ta wiedza była dla jego zwierzchników bezcenna, bo dawała możliwość szantażu. Nie pomyślał, że to działa w dwie strony, że jego też widziano.

### Tajny raport w Kubie

Dzisiaj nakryliśmy cało wycieczkę charceży z Płocka na wizycie u konowała. Oni wszyscy po kryjomu złapali syfa. Moszna to wykozystać, mogo świąteczć pszećiw obywatelce Lewandowskiej. Podaje naswiska: Antozik, Polakowski, Kowalski, Bucholc...

Wokulski siedział w swoim pokoju hotelowym i przeliczał dolary. Uzbierała się ich pokaźna kupka, w tym lwia część dzięki napalonym harcmistrzom. Reszta była z nielegalnego handlu. Ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę! – krzyknął, szybko chowając gotówkę.

Do pokoju wszedł jakiś Kubańczyk w jasnym garniturze. Zaświecił mu przed oczami legitymacją służby bezpieczeństwa.

– Co wiecie o tej Polce Lewandowskiej? Czy nie spotykała się tu z jakimś podejrzanym elementem?

Wokulski czuł, że jest cały mokry od potu, to ze strachu. Wiedział dobrze, że z nimi się nie zadziera, bo bardzo łatwo można zniknąć, i to na amen. Jego kolega Sánchez dwa lata temu im się postawił. Poszło o jakąś głupotę, ale konsekwencje były straszliwe. Zniknął, a po tygodniu woda wyrzuciła jego szczątki rozszarpane przez rekina.

– To znaczy z kim? – spytał.

– Wiecie z kim. Nie udawajcie idioty.

Domyślił się, że chodzi im o ludzi z tutejszego półświatka. W Santiago co i raz wykrywano jakieś grupy przemytnicze, a rok temu zlikwidowano zamachowca, który przygotowywał zamach na życie Fidela Castro. Osaczono go w jednej z kamieniczek starego miasta. Zażarcie się ostrzeliwał, aż w końcu strzelił sobie w łeb.

– Ona chadza własnymi drogami. Raz tylko poszła na spacer w moim towarzystwie.

– Dokąd poszła?

– Do portu. Chciała popatrzeć na statki. Ona mieszka w centrum łądu i nieczęsto ma okazję być w jakimś porcie.

– Dużo o niej wiecie jak na jeden spacer.

– Kilka razy rozmawialiśmy w większym towarzystwie i to wszystko.

– Obserwujcie ją, a gdybyście zobaczyli coś podejrzanego, to macie dać znać. Tu macie nasze namiary.

Funkcjonariusz bezpieczeństwa podał Wokulskiemu mały kartonik z numerem telefonu i jakimś nazwiskiem, po czym wyszedł.

– Uff! – odetchnął przewodnik z ulgą i zaraz poszedł zmienić przeпоconą koszulkę.

Mariański siedział w parku w cieniu palm i rozkoszował się chłodniejszym powietrzem. W słońcu już nie dawało rady usiedzieć. Z twarzy wielkimi płatami schodziła mu skóra, na policzkach miał rany, których pochodzenia nie do końca był pewien, bo równie dobrze mogły to być pamiątki po jego gorącym romansie. Trzymał w dłoni zrolowaną gazetę i wymachiwał nią przed nosem. Siedział tak z dobry kwadrans, kiedy na okoliczne drzewa zleciały się papugi i zaczęły mu dokuczać. Jedne ciskały w niego twardymi jak skała daktylami, a inne zaczęły się na niego wydzierać.

– Kuuurwa maaa! Paaaalant! Mariiiiański toooo chuuuuj! Preeecz z Caaaastro!

W pewnym momencie schylił się, by ze ścieżki złapać kamień, i cisnął nim w ptaki. Z głośnym jazgotem podewrzały się do góry. Rozległ się brzęk tłuczonej szyby w nieopodal stojącym samochodzie i zaraz potem donośne krzyki kierowcy. Kapitan, widząc, co się dzieje, wstał z ławki i zaczął uciekać. Cholera, musimy schuć, pomyślał.

Dziś był ostatni dzień ich pobytu w Santiago. Następnego dnia skoro świt mieli ruszyć w drogę powrotną do Hawany. Zuza spakowała walizki i poszła na pocztę zadzwonić ostatni raz do Polski. I tym razem tak jak poprzednio nie miała żadnych problemów z uzyskaniem połączenia, pomijając długie na nie czekanie. Tak jak zawsze zadzwoniła do Nowaka. Odebrała jego żona, poznała ją, a że jej nigdy nie lubiła, to jak zwykle była bardzo opryskliwa. Sierżant w odróżnieniu od niej bardzo się ucieszył.

– Świetnie, że dzwonisz, bo to znaczy, że u ciebie wszystko w porządku. Martwimy się. Przyjeżdżaj jak najszybciej, bo tam u was na Kubie ponoć jakieś zamieszki. Jacyś Polacy chyba chcą obalić tego Castro.

Co on w kółko pieprzy o jakichś Polakach?, zdziwiła się. Jak wróci, to go o to dopyta.

– Jak moje zwierzaki? Nie tęsknią za swoją panią?

– Bardzo dobrze. Borys raz na spacerze uciekł Jolce, ale wieczorem się odnalazł. Jeśli zaś chodzi o Wrzoda, to jakimś cudem wymknął się z mieszkania proboszcza i zawędrował do kościoła. Stało się to podczas niedzielnej mszy. Kocisko nie wiadomo czego się przestraszyło, może grających organów, a może gromady ludzi, i spanikowane zaczęło wskakiwać na modlących się. Zrobiło się spore zamieszanie. Ludzie wpadli w histerię, niektórzy krzyczeli, że to sam Lucyfer przyszedł po proboszcza, bo ten przegrywa w karty tiry z pomocą, i wszyscy zaczęli szturmować wyjście. W efekcie trzy osoby wylądowały w szpitalu, ale jemu się nic nie stało.

– I to jest najważniejsze. A co słychać w kancelarii?

– Niedużo wiem, bo dawno tam nie byłem, ale chyba panuje ogólny zastój. Twoi klienci niecierpliwie czekają na twój powrót. Jolka coś mi wspomniała o całej masie telefonów z pytaniem, kiedy wracasz.

– Miałaś mi się jeszcze dowiedzieć o kilku osobach. Zapomniałaś?

– Pamiętam, pamiętam. Niestety, jak się okazało, kumpel z Komendy Głównej poszedł na emeryturę i nici z tego. Jeszcze jedno. Proboszcz szykuje się, żeby jechać po ciebie na lotnisko. Ponoć wspólnie robiliście jakiś biznes?

O kurwa mać, dobrze, że jej to przypomniał, bo zupełnie zapomniała. Przecież należy mu się doła za sprzedaż medalików i różańców. Gdyby nie Nowak, pewnie by wszystko wydała na cygara i prezenty.

– Zmusił mnie, ale dobra, niech jedzie. No to muszę już kończyć. Pozdrów wszystkich.

Odłożyła słuchawkę na widełki, zapłaciła i opuściła pocztę. Po ulicy goniło się kilku подростков i po polsku krzycało na siebie.

– Mariiiiiianski tooo chuuuuuuj! Caaaastrooo toooo chuuuuuuj! Preeeecz z koooooomuną!

Widać było, że się świetnie przy tym bawią, choć na pewno słów nie rozumieli. W mijanym akurat barze przygrywała jakaś miejscowa kapela. Nawet ładnie grali. To była romantyczna ballada. Zuza w mig w hiszpańskim tekście piosenki wychwyciła polskie słowo „chuuuuuj”. Była coraz bardziej zaskoczona tym, w jakim tempie wyzwiska Zgagi rozprzestrzeniły się po wyspie. To było nieprawdopodobne. Teraz doceniła klasę El Comandante, bo przecież na pewno musiał być wściekły, a mimo to zachowywał się przy niej jak dżentelmen. Ze Zgagi nie zrobił gulaszu, choć na to zasłużyła, mało tego, jeszcze obdarował ją wolnością. Podejrzewała, że nie tylko jej związek na tym zaważył, że było jeszcze coś innego. Zabicie papugi ośmieszyłyby go w oczach jego narodu, a tym samym runąłby jego wizerunek, wizerunek prawdziwego macho. A na to nie mógł sobie pozwolić.

– Pani mecenas!

To Irena, szła z naprzeciwka i machała do niej ręką.

– Co tam się wydarzyło? Znów kogoś zjedzono? – zażartowała Zuza.

– Na szczęście nie. Może pójdziemy się przejść nad morze?

– Nie tym razem. Muszę kupić jakieś prezenty do Polski. W końcu zbliża się mój powrót. A wy kiedy wracacie?

– Za dwa dni.

– To tym samym samolotem?

Trudno było w jej głosie usłyszeć entuzjazm, ale dziewczyna nie zwróciła na to uwagi.

– Dużo ich nie lata, nie ma chętnych, bo mało kto dostaje paszport.

– Faktycznie, tylko ci, co trzymają władzy palec w dupie. Ja jestem tu wyjątkiem potwierdzającym regułę. Ty nie idziesz na poszukiwanie pamiątek?

– Nie, może później – bąknęła Irena, zmieszana. – To w takim razie pójdę na spacer z panem Kamilem, bo sama się nie odważę.

Zuza puściła do niej oko.

– Na pewno ci nie odmówi.

## POLSKA

**P**ułkownik Kozioł siedział przy biurku i czytał szyfrogram. Kiedy skończył, sięgnął po słuchawkę.  
– Kasin do mnie! – krzyknął.

Nie trwało dłużej niż minuta, gdy chorąży prężył pierś przed zwierzchnikiem.

– Słuchajcie, mamy problem, i to duży. Właśnie dostaliśmy depezę z Hawany. Ambasada alarmuje, że niejaka Lewandowska, ta, co ją już raz pochowaliście, mocno tam namieszała. Właściwie o mało nie doprowadziła do kontrrewolucji, ale na szczęście w porę zażegnano kryzys. Za kilka dni owa Lewandowska wraca do kraju i to jest wasze nowe zadanie.

Kasin spojrział zdziwiony na pułkownika.

– Nie rozumiemy.

– Kurwa mać, czego nie rozumiecie? Macie nie spuszczać z niej oka, macie ją śledzić dzień i noc. Macie współpracować z tym durniem Mariańskim.

– Ale jak mamy ją śledzić w nocy?

– Jak to jak? Kasin, ruszcie głowę, trzeba ją podsłuchiwać. Załóżcie podsłuchy w jej mieszkaniu i kancelarii.

– W barze mlecznym też?

– A po chuja w barze? Ona tam jada?

– Od zawsze.

– No to i w barze. Nagrywajcie wszystkie jej rozmowy, nawet te prowadzone przy jedzeniu ruskich pierogów. Wszystkie to wszystkie. Zrozumiano?

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku. Jeszcze dziś założymy mikrofony. Mamy jeszcze jedno pytanie.

Kozioł zerknął na niego z ciekawością.

– No mówcie, o co chodzi?

– A w kiblu też mamy je założyć?

– Też. Nie pomyśleliście, że podczas srania może gadać sama do siebie? My tak robimy.

– Tak jest, towarzyszu! Czy możemy się odmeldować?

– Możecie!

Kasin wyszedł, a pułkownik ponownie chwycił za słuchawkę.

– Wezwijcie mi tu porucznika Głównię.

W chwilę potem zjawił się wezwany oficer.

– Siadajcie, Głównia. Wy ponoć kiedyś byliście klerykiem. To prawda?

Twarz porucznika pokryła się czerwienią.

– Do dziś się tego wstydzimy, ale zmieniliśmy się, już nie wierzymy w tego Boga i te inne rzeczy. To było dawno.

– No właśnie, macie to teraz odkręcić.

Głównia się zdumiał.

– Nie rozumiemy, towarzyszu pułkowniku. Jak mamy się odkręcić?

– Macie udawać, że znów wierzycie, że nie cierpicie komunistów i tym podobne.

– Ale po co?

– Zaprzyjaźnicie się z proboszczem z fary. Gracie na jakichś instrumentach?

– Jak byliśmy dzieckiem, to tak, graliśmy na mandolinie.

– Tfu! – Pułkownik ostentacyjnie splunął na podłogę. – Obrzydliwy pedalski instrument. Macie się nauczyć grać na czymś innym.

– To znaczy na czym, towarzyszu pułkowniku? Może na flecie?

Kozioł, słysząc to, złapał się za głowę w geście rozpacz.

– Kurwa mać, już lepiej niech będzie ta mandolina. Zaczynicie od jutra. Idźcie do kościoła, może do spowiedzi, nawiążcie więź.

– I mam ze wszystkiego się wypowiadać?

– Z kim my pracujemy? Ja pierdołę! Czy wy się sami słyszycie? Pamiętajcie, na temat waszego zadania to morda w kubel, nawet podczas spowiedzi. A teraz idźcie już, bo mamy mnóstwo roboty.

## KUBA

Zuza wróciła do hotelu objuczona kapeluszami sombrero, oraz wypchanymi żółtami i małymi krokodylami, bo nic innego się jej nie podobało. Kiedy pakowała to wszystko do walizki, w ręce trafiła jej ampulka z trucizną. Co z nią zrobić? Przecież jej nie wyrzuci. Kiedyś może wsypie jej zawartość do ciasta, które następnie wyśle Mariańskiemu w prezencie. Aż się uśmiechnęła, kiedy o tym pomyślała. Wcisnęła ampulkę do kosmetyczki. Potem wszystko docisnęła kolanami i zamknęła walizkę. Teraz była już gotowa na powrót do Hawany.

Poszła do knajpki naprzeciwko hotelu na rum. Siedzieli tam już Niemiec z Pawłowicz. W milczeniu sęczyli jakieś drinki. Mieli pośpne miny. Na widok Zuzy chcieli się podnieść i wyjść.

– A dokąd go? – Sama ich zaczepiła. – Wiem, że wam spieprzyłam interes. Sporo forsy przeze mnie straciliście?

– Nie wiem, o czym mówisz – warknęła Pawłowicz.

– Dobrze wiesz. Naprawdę myśleliście, że niczego się nie domyślę? Działacie we wszystkim razem czy macie przed sobą jakieś słodkie tajemnice? Bo twój kochaś romansuje z Ruskimi.

Pawłowicz nerwowo się poruszyła. Zerknęła na swojego współtowarzysza, ale w tym spojrzeniu trudno było znaleźć sympatię. Chyba jednak nie wszystko o nim wiedziała.

– Spytaj go, co robił na sowieckim statku „Feliks Dzierżyński”, a to nie jest zwykła łajba, tylko naszpikowana antenami jednostka szpiegowska.

– Skąd to wiesz? – wydukała.

– Że to trefny statek, to wie każdy mieszkaniec Santiago. Wystarczyło tylko trochę popytać. Widzę, że nie wiedziałaś, że kochaś robił cię w konia. Nie masz szczęścia do mężczyzn, już Mariański okazał się niewdzięcznikiem – zakpiła.

Pawłowicz poderwała się z krzesła i wyszła z lokalu, nie oglądając się na Niemca. Ten patrzył z wściekłością na Zuze.

– I po co ci to było? – rzekł w pewnym momencie. – Z nami się nie zadziera. Niebawem wrócisz do kraju, a tam cię ten brodaty goryl nie obroni.

– Grozisz mi, sukinsynu? Myślisz, że się przestraszę?

– Ja? – Parsknął szyderczym śmiechem. – Ależ skądże. Jakbym śmiał.

Wstał od stolika i ruszył do wyjścia, ale nie zdążył tam dojść, kiedy podeszło do niego dwóch tajniaków. Coś zagadali do niego po hiszpańsku i wyprowadzili go. To znaczyło jedno – El Comandante dotrzymał słowa.

Wieczorem harcmistrze urządzili im pożegnanie, bo oni zostawali tu jeszcze na tydzień. Nie było typowego ogniska, ale było hucznie, śpiewano *Płonie ognisko w lesie*, później *Czerwona róża, biały kwiat...*, a na koniec *Hej, sokoły*. Alkohol łał się strumieniem. Płockie „zielone ludziki” i Mariański zaliczyli nową sprawność – wspólne schlanie się do nieprzytomności, Zuza nie piła wcale, tak jak rodzice Ireny i ona sama. Pawłowicz i niby-Niemca na imprezie zabrakło.

To był przykry ranek dla kapitana. Ból związany z kacem dosłownie rozsadzał mu głowę, a musiał wstać bardzo wcześnie, żeby zdążyć pójść do felczera na ostatni zastrzyk. Wracając, znów natknął się na tę dziewczynę, przez którą stracił ubranie, portfel i, co najważniejsze, zegarek Poljot. Rzucił się na nią z łapami, chcąc wymierzyć jej sprawiedliwość. Ta w krzyk i natychmiast zrobiła się zadyma na pół ulicy, bo w mgnieniu oka zbiegli się mieszkańcy pobliskich domów i wszyscy jak jeden mąż stanęli w obronie dziewczyny. Zaczęła się ostra szarpanina, tym bardziej że kapitan nie zamierzał odpuścić. W końcu interweniowała policja, która zapakowała kapitana do gazika i dowiozła na miejsce zbiórki. Ledwie zdążył na autokar. Był w oplakanym stanie, podbite lewe oko, rozcięta warga, z której sączyła się krew, a na dodatek podarta koszula. Kiedy tylko wsiadł do autokaru, ruszyli w drogę powrotną. Do kompletu zabrakło Pawłowicz, ale ponoć oznajmiła Wokulskiemu, że zostaje tu jeszcze na kilka dni. Zuza podejrzewała, że w ten sposób chciała się pozbyć towarzystwa Niemca. Nie tęskniła za nią i miała nadzieję, że ich ścieżki więcej się nie skrzyżują.

Wyjeżdżając z centrum Santiago, Zuza przez szybę zobaczyła grupę płockich harcmistrzów, którzy z piosenką *Płonie ognisko w lesie* na ustach zmierzali w stronę domu felczera na kolejny zastrzyk, gaszący ich płonące konary.



Do Hawany dotarli późnym wieczorem. W hotelu na Zużę czekała niespodzianka. Otóż przeniesiono ją do apartamentu na ostatnim piętrze. Od razu się domyśliła, kto maczał w tym palce. Kiedy otworzyła drzwi, poczuła znajomy aromat cygar, a w salonie w specjalnym metalowym wiaderku mroził się szampan. Po chwili zjawił się on, w białym frotowym szlafroku, z nieodłącznym cygarem w ustach i kieliszkiem w dłoni. Posłał jej ten swój zniewalający uśmiech i zrzucił z siebie odzienie. Zrobiła to samo. Dzisiejsza noc była ostatnia i musiała być niezapomniana. Skoczyła na niego, po czym zaczęła go namiętnie całować. I tak ją posiadał dziś pierwszy raz, przypierając plecami do ściany. Wciąż szeptał jej do ucha komplementy, jednocześnie kęsając ją swoją męskością. To trwało i trwało bez końca. I znów powracało pytanie o decyzję. Czy już ją podjęła? Czy chce zostać Zużą Lewandowską-Castro? I znów chciała krzyknąć „Tak! Tak!!”. I znów tego nie zrobiła, bo coś ją przed tym powstrzymało.

Tak jak zawsze, zniknął przed świtem.

Zuza zeszła do restauracji na śniadanie. Irena z rodzicami już tam byli. Ostatnio chyba się między nimi polepszyło. To dobrze, pomyślała Zuza, zerkając na nich. Nie zdążyła usiąść przy stoliku, kiedy zjawił się Eduardo. Od razu ją wyściskał, i to tak serdecznie, że poczuła to w kościach.

– Siostra, jak ja się cieszyć, widząc ciebie w zdrowiu! Ty przejść tyle niebezpieczeństw i ty żywa. Ty mieć szczęście! Dziś ja ciebie zabrać na Hawana do moja rodzina.

– A jak twoja narzeczona? – spytała prowokacyjnie, bo pamiętała, że do ślubu nie doszło.

– E tam. – Machnął ręką. – Ona poleciała do Polska. Ona myśleć, że ja tu milioner, a kiedy zobaczyć, że ja biedak, to ona nie chce być moja żona. Ja się cieszyć, bo na świecie tyle piękna kobieta. Ja teraz mieć śliczna Kubanka. Ona kończyć szkoła muzyka, tylko ta wyższa.

– Konserwatorium?

– No. Tak, ale ja tego słowa nie powtórzyć. Ona grać na wiolonczela. Ona być wyjątkowo uzdolniona.

– No to się cieszę, ale zanim gdzieś z tobą pojedę, muszę najpierw zobaczyć, co dzieje się ze Zgagą.

– Ach, siostra. Z tą twoją papuga to być wielka afera. Wszyscy powtarzać jej słowa, ale ich nie rozumieć. Jej słowa to prawdziwa kontrrewolucja, za nie wsadzać do więzienie. Ja wszędzie mówić, żeby ludzie nie mówić „Caaaastro toooo chuuuuuj!” czy „Preeeeecz z koooomuną!” ale oni mnie nie słuchać. Ja się boję myśleć, co będzie, jak ty wyjechać! Może ty zostać?

– Zostać? Może bym i chciała, ale nie mogę.

– Siostra, ty przemyśleć to.

– Dobrze, zastanowię się nad tym – obiecała mu tak dla świętego spokoju.

Umówili się na popołudnie.

Zaraz po śniadaniu wzięła taksówkę i pojechała do Zgagi. Kiedy weszła do hangaru z klatkami, przywitał ją chóralny okrzyk:

– Kooochamy Caaaastro! Kooochamy Caaaastro!

El Comandante powinien być zadowolony, bo Zgaga wywiązała się z zadania, i to wzorowo. Zuza podeszła do jej klatki i nachyliła się nad nią. Ptaszysko siedziało na drążku i udawało, że śpi. Zuza za dobrze ją знаła, żeby dać się nabrać. Gdyby tylko zbliżyła dłoń do krat, od razu nastąpiłby atak, a w konsekwencji w najlepszym wypadku plaster, a w najgorszym szycie. Nagle jedno oko się otworzyło, papuga przekrzywiła łeb i wydarła się na nią:

– Suuuuka! Suuuuuka!

Cała Zgaga. Zuza roześmiała się w głos.

Kiedy wracała do hotelu, na ulicy zobaczyła Mariańskiego trzymającego w objęciach jakąś już nie najmłodszą Kubankę, a na dodatek grubą. Sukinsyn, mało miał wrażeń? Potrzeba mu nowych?, zdziwiła się. Dojrzała i Wokulskiego. Też w objęciach kobiety. Wiedziała, że Irena kilkukrotnie dała mu kosza i pewnie teraz to w ten sposób odregowywał.

Po pobycie na Kubie będzie wiedzieć jedno: tu najlepiej sprzedają się kobiety i penicylina, a dopiero później cygara i rum. Pewnie taka kolejność jest zachowana w wielu krajach latynoskich, a to wszystko to wina gorącego klimatu. W końcu sama też poznała na własnej skórze jego działanie.

Całe popołudnie spędziła z Eduardem i jego rodziną. Ten pożegnalny wieczór to było wspaniałe przeżycie. Nawet nauczyła się tańczyć habanerę, taniec rytmem zbliżony do tanga. Innych, tych szalonych jak salsa czy mambo, nawet nie próbowała, bo były dla niej za skomplikowane. Tym razem to ona częstowała wszystkich cygarami, miała ich w bród od El Comandante. Z chęcią je zapalili, bo Eduardo, podobnie jak większość Kubańczyków, do tak dobrych gatunków nie miał dostępu. Do hotelu wróciła dopiero późno w nocy.

## POLSKA

**N**owak przyszedł do kancelarii już z samego rana, żeby złapać Kowalskiego, bo organizował wyjazd po Zuzę do Warszawy na Okęcie, a od Jolki wiedział, że tamten będzie cały dzień w sądzie.

- Robię listę chętnych na powitanie naszej przyjaciółki.
- A kto jedzie? – spytał Kowalski, nawet nie podnosząc głowy znad papierów.
- Ja, proboszcz, no i to jak na razie wszyscy.
- Weźcie Jolkę, ja mam kupę roboty – odburknął.

Sierżant spojrzął na niego uważnie. A jemu co na nos usiadło? Jak rozmawiali wcześniej, to był pierwszym chętnym.

- Dobrze, nikt tu nikogo do niczego nie zmusza. A ty jedziesz? – zwrócił się do aplikantki.
- No pewnie, a po drodze wstąpimy w Warszawie do jakiegoś komisju na Rutkowskiego? Kupiłabym sobie buty. Szefowa tam kupuje, a ma zawsze pierwszorzędne.
- Mam wjechać samochodem do centrum? Nie znam na tyle miasta. Trasę na lotnisko to już opanowałem.
- Oj, nie bądź taki. – Chwyciła go pod ramię i zrobiła maślane oczka. – Wezmę plan Warszawy. Podziałało, Nowak natychmiast zmiękł niczym wosk.
- No dobra, ale w takim razie musimy wyjechać dużo wcześniej. Teraz pójde do proboszcza, żeby potwierdzić jego uczestnictwo.

Zastał go w kościele, robił porządki w zakrystii, nucąc: „Moja droga ja cię kocham, My darling, I love you!” Bobby’ego Vintona i popijając przy tym wino mszalne.

- Był wyraźnie zły, że Nowak go na tym nakrył.
- O co chodzi? – spytał szorstko.
- Nasz wyjazd po Zuzę dopinam na ostatni guzik.
- Przecież mówiłem, że jadę. Co jeszcze?
- No nic – bąknął sierżant, zaskoczony gburowatym zachowaniem duchownego. – Będę tu o dziesiątej – dodał.
- A po co tak wcześniej? Przecież przylatuje po południu?
- Jolka chciała jeszcze do komisju po buty.
- Ach te baby – westchnął proboszcz i wrócił do robienia porządków, tym samym dając Nowakowi do zrozumienia, żeby sobie już poszedł.
- Idąc Grodzką, natknął się na Piosika.
- A to już cię wypuścili?
- To była pomyłka. Świadek mnie pomylił z innym. Słyszałem, że pani mecenas wraca. Ale nam zrobiła kawał z tą śmiercią. Do dziś na melinach gadają tylko o tym. A czyja to była stopa, bo w końcu mi się to wszystko we łbie popierdoliło?
- Żebym to ja wiedział. Zuza, jak wróci, to nam powie.
- Dobrze, że tego Oparę wpierdolił krokodyl, bo z niego to był kawał skurwysyna. On był gorszy od tego pojeba Mariańskiego.
- Czemu tak uważasz?
- Bo on się tak łatwo nie dał w chuja zrobić.

El Comandante siedział przed klatką Zgagi i uczył ją od dwóch godzin: „Zuzi, Ty poślubić Fidela!”.

- Zaraz zawiozę cię do Zuzi i ty masz krzyczeć: „Zuzi, Ty poślubić Fidela!”. Pamiętaj, jeśli to się uda, jeśli się zgodzi, to wtedy zostanieie tu na Kubie. Inaczej wrócisz do Polski, a tam zimno, po ulicach chadzają białe niedźwiedzie, noc trwa prawie na okrągło. Powtórz: „Zuzi, Ty poślubić Fidela!”.

– Zuuuuuzi Tyyyy pooooósluuuuubić Fiiidela! – rozwrzeszczała się papuga. – Zuuuuuzi Tyyyy pooooósluuuuubić Fiiidela!

Twarz El Coamndante się rozpromieniła.

– Świetnie! Jesteś bardzo mądra papuga!

Nad hotelem Nacional de Cuba zawisł helikopter, by po chwili wylądować na placu przed nim. Z jego wnętrza wyłonił się El Comandante w otoczeniu kilku ochroniarzy. W dłoni trzymał klatkę przykrytą ręcznikiem. Wszedł do środka i od razu udał się na ostatnie piętro.

Staął przed Zuzą i raptownym ruchem ręki zdarł ręcznik z klatki. Zgaga zatrzepotała skrzydłami i wydarła się:

– Caaastro tooooo chuuj! Preeeeecz z koooomuną!

Zuza, w pierwszej chwili poważna, nagle wybuchnęła śmiechem, a El Comandante ze zdumienia cygaro wypadło z ust na podłogę. Z trudem pohamował wściekłość. On, wielki przywódca, którego boi się każdy Kubańczyk, został ponizony przez zwykłą papugę. Tego było już za wiele. Postawił klatkę na podłodze. Podszedł do Zuzy, namiętnie pocałował ją w usta i wyszedł bez słowa. Poczula silny ucisk w sercu. Wiedziała, co to oznacza. Żegnaj, mój El Comandante. Żegnajcie, upojne noce pod rozgrzanym kubańskim niebem, żegnaj, niezapomniana wakacyjna przygoda.

Eduardo zawiózł Zużę i Zgagę na lotnisko tym samym buickiem pożyczonym od wuja, którym ją z niego odbierał. Kiedy się żegnali, widziała łzy w jego oczach.

– Siostra, ja przyjechać do Polska. My się niebawem widzieć.

– Będę czekać i dziękuję za wszystko. To był wspaniały pobyt, którego nie zapomnę do końca życia, tego jestem pewna.

– Przepraszam, czy to señorita Zuzi Lewandowska? – padło nagle w języku rosyjskim.

Przed nimi stał mężczyzna w mundurze, z wielką paczką w rękach.

– Tak, a o co chodzi?

– To prezent od naszego El Comandante. Prócz tego życzy pani dobrego lotu. I jeszcze jedno.

Zza pazuchy wyjął kopertę i ją jej podał.

Domyśliła się, że to list. Schowała go do torebki, postanowiła przeczytać go w samolocie. Obładowana bagażami, udała się w stronę bramek dla pasażerów przed odlotem. W kolejce do odprawy stali już Mariański i niby-Niemiec, a po chwili zjawiła się Irena z rodzicami. Ci mieli wyjątkowo mało bagażu, co Zuzy nie dziwiło, bo wiedziała od dziewczyny, że nie wieźli do Polski żadnych prezentów.

Po dwóch godzinach il 62 LOT-u stał na pasie startowym, czekając na zgodę na start. Zuza przez okienko widziała czarną limuzynę zaparkowaną na skraju płyty lotniska. Dobrze wiedziała, kto w niej siedzi, czuło to jej serce, które w tym momencie prawie oszalało. Sama już nie wiedziała, czy dobrze zrobiła. Wreszcie ruszyli, samolot mknął coraz szybciej, aż w pewnym momencie poderwał się w górę. Zuza sięgnęła po list. Czytała go, jednocześnie dyskretnie wycierając łzy płynące jej z oczu. Twarde babki nie płaczą, ale były momenty, gdy żałowała, że jest jedną z nich, bo byłoby jej dużo łatwiej.

Po trzech godzinach lotu przysiadła się do niej Irena, bo tak się złożyło, że miejsce obok niej było puste.

– Szkoda, że nie wracamy w komplecie – zagałała do Zuzy.

– Oparom i Dworczykowej nie szkoda – odparła z uśmiechem.

– Nie rozumiem. – Dziewczyna spojrzała na nią badawczo.

– Czego nie rozumiesz? Że was wszystkich przejrzałam, i to już dawno.

– O czym pani mówi?

– Zaraz ci wyjaśnię. Kiedy byliśmy w Santiago, któregoś dnia zakradłam się na pewien kuter rybacki o wdzięcznej nazwie „Santa María”. Myślałam, że znajdę tam groźnych bandytów, może przemytników, a znalazłam połowę naszej wycieczki. Kapral Opara, pani dentystka o tym samym nazwisku, jak się okazało, jego kuzynka, i pani Dworczyk. Wszyscy cali i zdrowi, nawet Opara. Wyobraź sobie, że cudownie odrosła mu stopa.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Przestań mi tu pieprzyć takie głupoty. Wiedziałaś o wszystkim. Wszyscy mieliście nawiać do Ameryki, a przeczut organizowała Pawłowicz razem z Niemcem. Powiem ci więcej: wśród was jest szpieg, którego miano tam razem z wami przeszmyglować. Chodziło o to, żeby go w ten sposób uwiarygodnić. Tylko dlatego udała się ta operacja. Całkiem sprytny plan. Komuniści przymknęli na wszystko oko, mało tego, jeszcze wam pomagali. Niestety, ale kto z was jest tym szpiegiem, tego nie udało mi się ustalić. Może wszyscy nimi jesteście? Tego też nie wykluczam, bo tak naprawdę to nic o was nie wiem. Kapitan kutra, dowiedziawszy się o mojej wizycie na pokładzie jego łajby, spa-

nikował i jeszcze tego samego dnia wypłynął w morze. Przez to tobie i twoim rodzicom nie udało się ucieczka. Ciekawe, co miało się wam przytrafić? Krokodyl już był, rekin także. Może zaspokoisz moją ciekawość? – zakpiła.

Irena nie odezwała się, więc Zuza kontynuowała:

– Przykro mi, że pokrzyżowałam wam wasze plany, ale skąd mogłam o tym wszystkim wiedzieć? Przecież nie jestem jasnowidzem. Jedyne starałam się rozwiązać zagadkę, która nurtowała mnie od zajścia z Oparą, bo cały czas coś mi tu nie grało.

– Pani mecenas, o tych planach dowiedziałam się już tu, a dokładnie w Santiago. Słowo! Chciałam pani wszystko powiedzieć, ale rodzice mi zabronili. To przez pani bliskie kontakty z Fidelem Castro. Nie ufali pani.

– I to był ich błąd. Powiedz mi, skąd mieliście stopę i te resztki z brzucha rekina? To mnie ciekawi.

– To załatwiła pani Małecka. Stopę ponoć odkupiła od miejscowego grabarza.

– Faktycznie, podczas oględzin wydała mi się coś za ciemna, ale pomyślałam, że ściemniała od wysokiej temperatury panującej na dworze. A głowa w brzuchu rekina?

– To był zwykły przypadek, który pani Małecka i ten jej znajomy postanowili wykorzystać.

– Trzeba przyznać, że jej nie doceniałam. Wciąż jednak nie wiem, kim ona naprawdę jest i dla kogo pracuje. A może wiesz, kto zabił tego Bojarskiego? Sama bym go zarznęła za to, że używał wody kolońskiej Brutal, ale tego nie uczyniłam, bo być może po prostu nie zdążyłam.

– Nie mam pojęcia. Słowo. Wiem, że wciąż chodził za panią Małecką, sama to zauważyłam, ale to wszystko. Policzka twierdziła, że morderca to ktoś miejscowy, że się przyznał do zbrodni. Ponoć przywłaszczył sobie jego zegarek.

– Może i tak. Tak z ciekawości spytam, ile zapłaciliście za tę usługę?

– Nie wiem, ale mnóstwo pieniędzy. Rodzice sprzedali mieszkanie na Mokotowie i ledwie starczyło.

– Czyli nie macie dokąd wracać?

– Pewnie zatrzymamy się u babci – mruknęła Irena pod nosem, spuszczać wzrok.

– A jak Opara i Dworczyk trafili do Santiago?

– Ktoś po nich przyjechał i ich wywiózł.

– Ale czemu sfingowaliście te wypadki? Pewnie chodziło o to, żeby was nikt nie szukał i dlatego dostaliście nowe papiery. Domyślam się, że pan Kamil je wam załatwił.

– Skąd pani to wie?

– Widziałam, jak ktoś mu je przekazywał, a on mu płacił. W pierwszej chwili myślałam, że to jakiś przemyt, ale co można z tego biednego kraju szmuglować? I co planujecie dalej?

– Jak to co? – Irena spojrzała na nią nerwowo. – Nie mam pojęcia. Błagam panią, niech pani tylko tego nie rozpowiada. Rodzice i tak będą mieć okropne problemy.

– Dlaczego? – Zuza wbiła w nią wzrok, w duchu zastanawiając się, co oni jeszcze ukrywają.

– Tata coś wywiózł z kraju i to coś ktoś nam wykradł. Mieliśmy za to się urządzić. Teraz wszystko przepadło.

Irena wróciła na swoje siedzenie. Zuza widziała, że rozmawia z rodzicami, pewnie relacjonowała ich rozmowę. Świadczyło o tym choćby to, że co chwila zerkali w jej kierunku. No cóż, nie mogli mieć do niej pretensji, po prostu mieli pecha.

Zuza obudziły turbulencje, spojrzała na zegarek, już tylko godzina do lądowania. Zerknęła w stronę rodziców Ireny. Nagle Bandurski wstał i ruszył do przodu samolotu. Podszedł do stewardesy, jedną ręką ją objął a drugą podniósł do góry.

– Mam tu ładunek wybuchowy. Jeśli nie skierujecie samolotu na lotnisko Tempelhof w Berlinie Zachodnim, to go zdetonuję! – krzyknął.

W pierwszym momencie pasażerowie zaczęli krzyczeć, ale za chwilę zapanowała grobowa cisza. Wszyscy w skupieniu i z przerażeniem w oczach patrzyli na porywacza. Faktycznie trzymał w dłoni granat. Skąd go miał i jak go przemycił na pokład?

– Ja nie żartuję. Nie mam nic do stracenia. Każcie pilotowi zmienić kurs, i to już! – W głosie ojca Ireny nietrudno było wyczuć determinację. Na pewno nie blefował.

– A więc to jest plan B. Kurwa mać, chyba wie, co robi? – zaklęła Zuza pod nosem.

Irena tym razem powiedziała jej prawdę. Oni nie mieli gdzie wracać i porwanie samolotu to było dla nich jedyne rozwiązanie. Byłe jej ojciec nie spierdolił tego, nie spanikował, nie poszedł o krok za daleko i nie odpalił tego urządzenia, bo wtedy wszyscy zginą.

Zerknęła na Mariańskiego, siedział jak posąg, cały blady. No i niech się nie rusza. Niech nie prowokuje tamtego. Niepokoił ją tylko ten niby-Niemiec. Zajmował miejsce bardzo blisko Bandurskiego. Oby nie próbował go obezwładnić. W tej sytuacji to byłby czysty idiotyzm.

Któraś ze stewardes poszła do załogi przekazać żądanie. Po chwili samolot zaczął raptownie skręcać, a zatem jak na razie wszystko szło po myśli porywacza. Pasażerowie w napięciu czekali na rozwój wypadków. Czas biegł powoli. Kilka osób trzymało się za serca, bo stres był okrutnym ich testerem. W końcu il zaczął tracić wysokość, zapewne podchodził do lądowania.

– Proszę zapiąć pasy, lądujemy! – ogłosiła jedna ze stewardes, tym samym potwierdzając przypuszczenia Zuzy.

Musieli być już bardzo nisko, bo przez okno widziała dokładnie zabudowania dużego miasta. To pewnie Berlin, tylko czy to to lotnisko? Czy to zachodnia część miasta? Oby, oby tym ludziom udało się ucieczka. Po cichu trzymała za nich kciuki. W pewnej chwili poczuła, jak samolot kołami dotknął ziemi. Odetchnęła z ulgą. Udało im się szczęśliwie wylądować. Zerknęła na Bandurskiego i nagle zobaczyła, jak Niemiec podnosi się raptownie z fotela i próbuje tamtemu wyrwać granat z ręki. Szarpali się i wtedy granat wyslizgnął się z dłoni Bandurskiego i upadł na podłogę, po czym w kompletnej ciszy zaczął się po niej toczyć.

To była chwila, rozległ się potworny huk, chmura ognia i dymu wypełniła wnętrze samolotu, a zaraz potem jego kadłub rozerwał się na kilka części.

## POLSKA

**K**owalski z Jolką i proboszczem już od ponad godziny dreptali nerwowo po sali przylotów, czekając na samolot z Hawany. Najpierw ogłoszono kwadrans spóźnienia, później godzinę. W końcu z głośników popłynął komunikat mrozący krew w żyłach.

„Samolot lecący z Hawany przez Lizbonę do Polski lądował awaryjnie w Berlinie Zachodnim na lotnisku Tempelhof. Podczas lądowania na pokładzie maszyny doszło do silnej eksplozji. Ze smutkiem informujemy, że jest dużo ofiar śmiertelnych, głównie obywateli polskich. Więcej szczegółów podamy później”.

Z przerażeniem spojrzeli po sobie.

KONIEC